

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 9/167

1961



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

A. BOBKOWSKI:

FRAGMENTY Z NOTATNIKA

W. A. ZBYSZEWSKI:

**PODŁOŻE HISTORYCZNE GOSPODARKI
FRANCUSKIEJ**

MIKOŁAJ ARŻAK : **RĘCE**

SPIS RZECZY

Józef Czapski:	<i>Querido Bob</i>	3
Andrzej Bobkowski:	<i>Fragmenty z notatnika</i>	10
K.A. Jeleński:	<i>Trzy pory roku Kazimierza Wierzyńskiego</i>	14
W.A. Zbyszewski:	<i>Podłoże historyczne gospodarki francuskiej</i>	31
Stanisław Mackiewicz:	<i>Prof. Wł. L. Jaworski, St. Car i... de Gaulle</i>	49
Aleksander Kawalkowski:	<i>Instytut jednego człowieka</i>	57



Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Drugie przyjście</i>	67
Mikołaj Arzak:	<i>Ręce</i>	83

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Wojna o Niemcy</i>	89
Bihdan Osadcuk:	<i>Testament Chruszczowa</i>	97
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	108

KRONIKA KULTURALNA

Józef Wittlin:	<i>Hemingway, śmierć i zabijanie</i> ..	115
----------------	---	-----

KSIAŻKI

Paweł Hostowiec:	<i>„Skąpani w ogniu”</i>	122
Paweł Hostowiec:	<i>„Młody poeta w zamku”</i>	125
Aleksander Hertz:	<i>„Socjologia” Jana Szczepańskiego</i> ..	128
Marian: Kukiel	<i>Wspomnienia gen. Zamoyskiej</i> ..	130
Stanisław Vincenz:	<i>Iliada</i>	137
Tymon Terlecki:	<i>Raptularz poetycki Jastruna</i>	142
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i> ..	147



J. Grobicki, W. Kuss, sr., P. Podgórski, M. Romeyko, S.K., St. Sep-Szarzyński, B. Bornstein, A. Nichtberger, M. Szczęsny:	<i>Listy do Redakcji</i>	149
---	--------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Wrzesień – Septembre 1961

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ "KULTURY"

Anna Teresa Serafin-Poniatowska, Phoenix, Arizona, (USA)	
po raz piąty	15,00 NF
A. Kocur, Dunellen, N.J. (USA)	10,00 „
Prof. Zb. Brzeziński, Englewood, N.J. (USA)	100,00 „
Mirek C. Wierzbicki, Brighton, Mass (USA) po raz piąty ..	25,00 „
Bezimiennie po raz drugi (Argentyna)	81,00 „
Dr K.S. Roszek, Bathurst, N.B. (Kanada)	50,00 „

DZIEKUJEMY

"ZESZYTY HISTORYCZNE"

Redakcja „Kultury” zdecydowała się na publikowanie corocznie (niezależnie od kontynuowania działu *Najnowsza Historia Polski*) dwóch dużych tomów, zawierających każdy ok. 240 stron, w serii ZESZYTY HISTORYCZNE. Żeby zapewnić temu wydawnictwu niezbędną ciągłość chcemy je oprzeć na prenumeracie, z tym że każdy prenumerator „Kultury” będzie otrzymywał te dwa tomy za dodatkową opłatą 3 dolarów, (NF 15 — 22 sh.). W sprzedaży księgarskiej cena ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH będzie dwukrotnie wyższa to jest dolarów 3, lub równowartość, za każdy tom.

Zgłoszenia na prenumeratę ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH przyjmujemy również od subskrybentów „Politycznej Historii Polski” Wł. Pobóg-Malinowskiego.

Z chwilą zebrania minimum 1000 prenumerat ukaże się pierwszy tom ZESZYTÓW.

Zgłoszenia na prenumeratę przyjmuje Redakcja KULTURY i jej przedstawicielstwa.

Querido Bob

Andrzej Bobkowski umarł w Gwatemali

Jakże o nim pisać? Człowiek przesłaniał mi zawsze pisarza, bo też Andrzej nie był „czystym” pisarzem, nie lubił „czystych intelektualistów”, miał sklep w Gwatemali, zespół modelarski tam stworzony, sama walka o byt, o niezależność, czy wprost leżenie na trawie, pływanie — to było dla niego równie ważne, jak pisanie.

„Jacques wykazuje już symptomy czystego intelektu, boi się wody i wysiłku fizycznego. Grozi mu wyrośnięcie na jedną z wielu orchidej umysłowych. Żal mi chłopca. Jakże wdzięczny jestem memu ojcu że choć nieraz brutalnie, ale uformował mi ciało na obraz i podobieństwo ludzkie. Dziś równie dobrze i łatwo pływam jak myślę” — zapisuje z młodzieńczą dumą Andrzej.

Chciałbym pisać o nim, jak list do niego, z czułością czy z wymyślaniem, z tą swobodą i bezpośredniością z jaką on pisał zawsze. Andrzej Bobkowski nie tylko że nie bał się posądzenia o takie czy inne „przestępstwo” (zły Polak, żaden lewicowiec, zły katolik, czy właśnie, że katolik) nawet lubił wszystkich prowokować, jakby zwady szukał. Ale ten gwałtownik był zawsze podszyty humorem, gotów każdej chwili przeciwnika zaprosić na wódkę, martini czy jaki inny mocny trunek gwatemalski, by starcie przyjaźnie zapić. Ani śladu celinowskiej goryczy, przy tym pisał bez lusterka, bez „chytrej” dialektyki, nienawidził jej, i nieraz niemądrze nienawidził, angażując się zawsze w każdym słowie i bez reszty.

Odczytuję jego listy do „Kultury” i to co drukował w „Kulturze”, wracam do „Szkiców Piórkiem”. Gdy się ukazały, nie potrafiłem ich docenić, zdawały mi się po młodzieńczemu zbyt zadzierzyscie otwierające drzwi otwarte i dziś dopiero widzę, jak wątki tej książki, wśród z dnia na dzień notowanych trafnych, plastycznych obserwacji, komentarzy do wypadków i

przeczytanych książek, są nasycone myślami, które Andrzej po-
trafił całym swoim bujnym i szlachetnym życiem „testować”.
W tych zapiskach sprzed 20 laty odnajduję te same moralne
reakcje na otaczający go świat; już wtedy odrzuca go równie
gwałtownie każdy oportunizm, hipokryzja, wniosłe zakłama-
nie, tchórzliwe uciekanie od wszelkiej odpowiedzialności, skła-
danie jej na innych, np. na państwo, wszelkie totalistyczne czy
nawet demokratyczne „zbaranie”, które w „Szkicach” oku-
pacyjnych każe mu bronić, tłumaczyć każdy indywidualny anar-
chiczny wybryk; i wielbić prawie chuliganów i „cyników”, do
których coraz to stara się paru dosadnymi opisami czy słowami
upodobnić.



Opuścił nas w Paryżu już w 1948 roku i tak mi pozostał
w pamięci, jak go wówczas pewnego dnia zobaczyłem. Była to
chyba bardzo wczesna wiosna, niedziela, słońce. Włóczyłem się
po Quai d'Orléans, na wyspie Św. Ludwika i naraz z góry,
od Biblioteki Polskiej, zobaczyłem zakochaną parę, spacerują-
cą tuż przy falach Sekwany pod tymi wielkimi, „nadwiślań-
skimi” topolami, które tam rosną. Widzę ich jeszcze przez bez-
listne gałęzie, wyglądali tak zakochani i zatopieni w rozmowie,
że się na nich zapatrzyłem.

Nagle poznałem ich: to był Andrzej z żoną Basią, radzili o
czymś. Kiedy zeszedłem do nich, aby się przywitać, poczułem
zaraz, że im przeszkodziłem w ważnej bardzo chwili, omawiać
musieli jakąś ich własną wielką sprawę.

Już nie pamiętam czy wtedy, czy parę dni później, wyznali
mi ukrytą jeszcze pod siedmiu pieczęciami tajemnicę: za parę
tygodni wyruszają w daleki świat.

Tak mi pozostali w pamięci oboje w przedwiosennym słońcu
z wyrazem ludzi skupionych i bardzo szczęśliwych przed wielką
przygodą.

Patrzę na małą kolorową fotografię, którą przysłali nawet
nie rok temu: oboje uśmiechnięci, Andrzej w niebieskiej roz-
chełstanej koszuli, Basia w niebieskim sweterku na tle czerw-
onych krzewów, wzgórz zielonych, dziwnej architektury z przy-
sadzistymi kolumnami. Zdają mi się po 13 latach tacy sami
uśmiechnięci i sobie najbliżsi. A przecie już śmierć Andrzeja
jest bliska: „...afirmacja życia... do czego oczywiście dochodzi
się dopiero jak się stoi wyraźnie nad grobem i jak się o tym
wie” — pisze Andrzej w 1959 roku.

Wielką przygodą Andrzeja był wyjazd do Gwatemali w 1948
roku, marzył on zawsze, ten wyznawca Conrada, o dalekich
krajach. Pierwszą próbę ucieczki przeżył w czwartej klasie
gimnazjalnej, a w „Szkicach Piórkiem”, a więc w czasie oku-
pacji, coraz to powraca marzenie wyjazdu z Europy, tej kolebki
„kultury i obozów koncentracyjnych”.

Po tych latach Paryża, po przebijaniu się z dnia na dzień,
pracy w fabryce, potem w organizacjach emigracyjnych, w

NIDzie, w placówce paryskiej 2-go Korpusu w Hotel Lambert,
redagowaniu tygodniowego biuletynu z informacjami o Polsce,
Andrzej rusza z żoną do kraju, gdzie nikogo nie zna, bez okre-
ślonego zawodu, bez języka, prawie bez środków; chce poza
Europą zacząć nowe życie. „Chcę mieć prawo zdechnąć z głodu,
jeśli nie dam rady”. Ten refren coraz to wraca w jego listach
i artykułach.

W Gwatemali Bobkowski „zaczynając z niczego, wyrzeka-
jąc się wszystkiego” dłubie kuchennym nożykiem (nie stać go
było na „narzędzia”) drewniane zabawki, pracuje po 14, 16
godzin na dobę, uczy się na gwałt hiszpańskiego, czytając Ma-
dariagę. Nie ma wcale uczucia, że trafił do małego miasta, ale
na kontynent niezmierny, kipiący życiem. Wszystko go z po-
czątku czaruje i wymyśla na Europę, która drży przed Sowie-
tami, na lewicę europejską, wciąż jeszcze zafascynowaną komu-
nizmem, Stalinem, i na siebie, twierdząc, że dopiero teraz sam
widzi jak „zdiplisiał”. Z właściwą mu swadą urąga i na nas,
emigrantów: pod wzniosłymi deklaracjami, że nie możemy żyć
bez kultury europejskiej, tkwi w nas zwyczajny strach przed
wolnością, strach samodzielności, oczekiwanie co nam dadzą
IRO, Marshall, *Aide aux émigrés*, kwakrzy, Joint, czy arcybis-
kup Paryża.

Skarży się, że nie ma fachu, ale pociesza się, że prze-
cież umie rozróżnić pilnik do żelaza od pilnika do paznokci, czym
już przewyższa pisarzy realistycznych i marksistowskich w
Polsce.

Po paru miesiącach wścieklej pracy ma już trochę narzędzi i
frezerkę do drzewa i patrzy z irytacją na zachowanie tkwiących
obok, po lokalach IRO, emigrantów „kulturalnych”, urągają-
cych na „chamską” Amerykę, na IRO, które ich utrzymuje
dając zawsze za mało.

Wrasta w życie Gwatemali, jak sam pisze, zakochuje się
w niej. Na początku zdaje się widzieć same jej zalety, w miarę
lat sądy jego coraz bardziej się precyzują i różnicują, i tu nie
szczędzi krytyki. Dostaje się naiwnym lewicowcom i lewicowym
spryciarzom za ślepy kult Sowietów, i warstwom najbogatszym
za ich drapieżny, tępy antyamerykanizm, idący tak na rękę
Sowietom, wyrastający najprościej z tego, że szukając fantastycz-
nych i najszybszych zysków, nie są w stanie konkurować z plan-
tacjami, fermami przybyszów ze Stanów, którzy umięją przy
wielkich dochodach stwarzać swym pracownikom Indianom
ludzkie warunki, opiekować się nimi rzeczywiście. Atakuje
modny, i według niego całkowicie „abstrakcyjny”, antyamery-
kanizm Europy i samej Ameryki. Marzy o jakimś gwatemalskim
Gombrowiczu, który by roztrącił tę wściekle naiwną powagę,
która ten naród oślepia i nie pozwala spojrzeć mu na siebie bez
patosu i płynącego z tego patosu zatracania proporcji. Coraz to
porównuje te kraje z Polską zaczepiając przy tym o niejedną
nasz komunał patriotyczny.

Materialnie Bobkowski po 6 latach pracy usamodzielnia się ma sklep z samolotami-zabawkami różnych typów, stwarza co raz to nowe modele, tworzy pierwszy w mieście „hobby-shop”, organizuje młodych chłopców, entuzjastów, w ekipę modelarzy, uczy ich aeromodelarstwa. Ci chłopcy, których do pracy wciągnął, dziś dorosli, żonaci, kochają go. Dla nich Andrzej jest *Querido Bob, grand hombre*. Ten zespół, trochę „zakon”, jak pisze Andrzej, bierze już udział w światowych zawodach modelarzy w Anglii i w Stanach. Andrzej do ostatniego tchu pracuje rekordowo i kocha ten warsztat, swój sklep wciąż rozbudowuje i (o zgrozo!) błogosławi „bezlitosne prawo kapitalistyczne na wolnokonkurencyjnym rynku, bez którego zamarłbym w bezruchu”. Tą pracą wyzwala się coraz bardziej z wszelkiej zależności, „nie wolnictwa”, jak pisze. Nie wstydzi się, nie ukrywa, ale głośno się cieszy z materialnych sukcesów swej pracy, ze swego auta, którym objeżdża Gwatemalę. Zachwyt nad urodą tego kraju jakby wciąż w nim wzrasta i zdaje mu się, że już nie potrafiłby żyć gdzie indziej. Planuje coraz dalej, coraz szerzej. Ale zdrowie zaczyna zarywać; przechodzi szereg operacji. W listach pełnych humoru i „sportowej werwy” pisze o cieniu śmierci spod którego się już nie wyzwoli i każde parę miesięcy po każdej nowej operacji uważa za parę miesięcy darowanych: „a potem zobaczymy”.

Namiętna pasja pracy konkretnej, celowej, jak pisze „egoistycznej”, walka codzienna, materialna, zdobywanie gruntu pod nogami, nie tylko nie osłabia go pisarsko, ale go — jako pisarza — pogłębia i karmi. Jeszcze w Paryżu notuje: „prawdziwy pisarz to nie ten, który dobrze pisze, ale który *najwięcej dostrzega*”.

Andrzej dostrzega coraz więcej. Ten pisarz, który rzucił Europę bo znienawidził „zmurszałe ideologie”, bo chciał *po prostu żyć*, poprzez to wzrastające zespolenie z każdą pracą, której się bez przymusu z zewnątrz podejmuje, przez to czucie, widzenie, reagowanie na cały świat go otaczający, zdaje się podchodzić jakby na nowo do tych samych problemów, które go w Paryżu trawiły. Każde jego opowiadanie, każdy jego list, wszystko wiąże się z zasadniczymi problemami życia. Jego ideologia, jeżeli użyć tego znienawidzonego przez Andrzeja słowa, wyrasta z jego *własnego* doświadczenia, a siła tego doświadczenia z każdym rokiem, z każdym miesiącem, staje się coraz bogatsza, cięższa i po mimo sukcesów, „werwy sportowej”, coraz boleśniejsza, jakby ostateczna. Jego myśli o pracy, o strachu i odwadze, o śmierci, o woli i miłości życia, o *sensie* życia, o Bogu, modlitwie, stanowią nurt ukryty jego opowiadań. Te myśli rzadko wyrażone „frontalnie” jakby „wyskakują” to paradoksem, to żartem, drastyczną „przyziemną” metaforą, cza-

sami są w samej tkance opowiadania najdelikatniej insynuowane.

„Kultura” drukowała w ubiegłych latach cały szereg jego nowel, i jedną sztukę teatralną: „Nekyia”, „Coco di Oro”, „Siódma”, „Spotkanie”, „Punkt Równowagi”, „Czarny Piassek” — oraz eseje jak „Trzęsienie spodniami”, „Notatki modelarza”, „Wielki akwizytor”, „Kosmopolak” i wiele innych.

Wittlin w wygłoszonym odczycie nazwał Andrzeja Bobkowskiego zawiedzionym kochankiem Francji, bo nie wiadomo czy w jego francuskim dzienniku z lat okupacji i kolaboracji, więcej jest zachwyty i poczucia związania, czy krytyki i gwałtownej parodii Francuzów. Dla niego kultura która nie chce się bronić, która ulega bez walki, przestaje być siłą twórczą a jest siłą rozpadu i rozkładu. Rozszerzyłbym słowa Wittlina: Bobkowski był zawiedzionym kochankiem całej Europy, zdawała mu się już bezsilna, zatruta strachem przed Rosją. Pamiętajmy, że opuścił ją w okresie chyba szczytowej paniki i szczytowych iluzji o Sowietach.

Antykomunizm Bobkowskiego jest konsekwentny i zabarwiony pasją; za paryskich czasów nieustannie porównuje go ze znienawidzonym hitleryzmem, już wtedy demaskuje złudzenia i optyimizmy, dotyczące błogiej ewolucji komunizmu po wojnie. Ale dla Bobkowskiego każdy socjalizm jest już podejrzany, to zasadzka na wolnego człowieka, to, według niego, ruch, który jeżeli zwycięży wychować może jedynie posłusznych urzędników, ludzi niezdolnych do ryzyka, gotowych tylko *mówić* o wolności. Z jaką satysfakcją cytuje list Conrada z 1885 roku, jeden z pierwszych pisanych po angielsku: „Socialism must inevitably end in Caesarism”. Dlatego i na odwilż w Polsce i na cały rewizjonizm patrzył z największym sceptycyzmem, z ironią.

Andrzej pożera w Gwatemali książki i pisma z Polski, a dochodzi ich wiele; zdaje mu się to wszystko zafałszowane, zaciadziałe tchórzliwym oportunistycznym zmieszaniem z nieszczerem sentymentalizmem i polskimi koturnami. Komu się tam nie dostaje od Bobkowskiego: i Żółkiewskiemu i Putramentowi, Brandysowi i Rudnickiemu, zresztą i Hłasko nie jest oszczędzony. W jego artykułach i listach ciągi spadają na tę „elitkę”:

„Oczywiście według ich pojęć parsknięcie śmiechem w twarz komedii i elitce, tym pieszczoszkom intelektualnym, jest kpina z Narodu, ba z Polski całej. Czy mamy prawo mówić czy mamy prawo drwić z „bohaterskiego oportunizmu” (jakich określeń nie wynajdą jeszcze na niebohaterskie kurwienie się) czy mamy prawo dostrzec to bez kolorowych światel sentymentów, tęsknot, bez przeczedzania przez nasze głupawe kompleksy winy, iż nie będąc z nimi, nie przeszedłszy tego co oni, nie mamy prawa sądzić?... chodzi się na palcach wokoło, uśmiecha się porozumiewawczo pobłażliwie czytając wyczyny Kazików, Antonich, Jarosławów, Julianów i wszystkich świętych z marksistowskiego almanachu. „Nie wolno sądzić”. A im wolno? Wolno, bo tylko oni mają monopol na polskość”.

W listach z większą jeszcze swadą szarżuje na pisarzy w Polsce „już przeczytałem jednym tchem... Brandysa i Rudnickiego — „ubaw po pachy”. Panie! to nowi ewangelici, to wszystko pisane tonem ewangelii, akcentem satanizmu, szatana (kapitalizm) i chwilami tak wzruszające, jak ci konkwistadorzy hiszpańscy tutaj, co widząc indyjskie chaty malowane na biało, przysięgali, że mają domy ze srebra...”

Potem się Bobkowski znów hamuje: „Muszę jeszcze rozważyć, trzeba być sprawiedliwym... ale takie książki są jednak pasjonującym studium klinicznym... ta łatwość załatwiania wszystkiego „okresem wypaczeń”.

W jednym z ostatnich listów do J. Giedroycia zaczyna rewizjonizm. Cały rewizjonizm dla Bobkowskiego to nie jest nic innego jak „chęć zdobycia jakichś tam nieokreślonych wolności bez pozbycia się wszystkich korzyści, bardzo określonych, niewolnictwa. Ludzie nie chcą być wolni, nie chcą ponieść ryzyka wolności”.

Bobkowski jest na pewno niesprawiedliwy, gdy sędzi wszystkich w czambuł, spieszo mu, węzły rozcina nie próbując ich rozplątywać, więc dlaczego czuję potrzebę, pisząc o nim, cytować właśnie te wypady i ataki? Bo tu zdaje mi się zawsze świetny, dosadny, bo umie, może jak nikt, przekłuwać nadęte pęcherze, zmuszając *każdego z nas* do zastanowienia się nad sobą.



Kto napisze o Bobkovskim pisarzu, kto przepracuje, prze-myśli jego opinie? Wystarczy wyrwać tendencyjnie, bez kontekstu parę cytatów, polemicznych szarż i można zrobić z tego wroga *każdego* totalizmu — półfaszystę, tak jak na emigracji usiłowano z Miłosza zrobić agenta bolszewickiego!

Kto prześledzi rozwój jego myśli od szlachetnego, męskiego anarchizmu Polaka, któremu zbrzydł i polski sentymentalizm i polskie krzyżowanie się i obsesja polskości i tylko polskości, aż po myśli ostatnie, o tyle dojrzałsze, kto przemyśli tę walkę ze „zmurszałymi ideologiami”, walkę o „człowieka z krwi i kości”, człowieka pełnego, wolnego, którego wolność nie byłaby zasłoną złości ani pustym frazezem.

Kto napisze o jego prozie, która w miarę lat staje się coraz gęstsza. Jeszcze w „Szkicach Piórkiem”, zdaje się chwilami wprawka, zdolnego pisarza-realisty, wyznawcy Goncourt'ów, Flauberta i przede wszystkim Balzaca, ale w miarę lat staje się naprawdę wyrazem nie tylko myśli autora, ale samego rytmu, oddechu tego pisarza, który namiętnie — jak Hemingway — kochał życie, przygodę i męstwo, ale myślał i samym głębokim nurtem świadomości sięgał może głębiej i dalej.

W jego obserwacji, więcej, w jego wtapieniu się w otaczającą go przyrodę, nie tylko *widzimy* naturę, to słońce tropikalne, pomarańczowe, potem miedziane, tak szybko wpadające na czubki drzew, czy słońce matowe, białe jak pastylka aspiryny,

przebijające się z trudem poprzez zawiesiste mgły, czy aksamitny lot nietoperza pod czarną koroną liści albo świetliki podobne do *tracer'ów* wystrzelonych z nadbrzeżnego gąszczu, ale my tę naturę jednocześnie *słyszymy*. Ileż tu prób przekazania nam słuchowych wrażeń, które stokrotnie potęgują ostrość ewokacji; warkot latających chrabąszczy, coraz częstszy w miarę narastania wieczoru i ciszy, tupanie królików w klatce, rytm i charakter ich tańca, czy zdławiony ciszą, tępy plusk pelikana spadającego do wody w pogoni za rybą, brzęk miliardów komarów okrywających cały kadłub wielkiego wodnopłatowca dźwiękowym całunem i te krzyki *gruyas* (żurawi?) monotonne, płaczliwe, irytujące jak płacz głupiej kobiety.

*Kiedy się pisze tak jak pisać można
więcej niż głosem, całą naszą mową,
to nie potrzeba wtedy szukać dna
bo dno jest wszędzie jak niebo nad głową*

pisze Wacław Iwaniuk w swym pięknym wierszu „Dno”.

Wystarczy się wczytać, naprawdę wczytać w Andrzeja Bobkowskiego, by odczuć że to *dno jest wszędzie*. Pisarz dotyka w opowiadaniach swoich, w miłosnych, czujnych opisach natury, w nagłych opowieściach przerywających rozważaniach, wyznaniach, nie tylko świat i człowieka, ale jakby *samą istotę*, tej ścieżki trudnej, po której do ostatniej chwili siedł. Co chwila *dotyka dna*.

„Nie chcę sobie podchlebiać” — pisze w jednym z listów — „ale obawiam się, że mnie tam, w Polsce, mają specjalnie dobrze zapisanego. Należę do tych nielicznych o których jest *Toischweigen*”.

To „na śmierć milczenie” o nim w Polsce jest zrozumiałe i rzeczywiście pochlebia Bobkovskiemu, bo on właśnie — ten syn Conrada — mógłby się okazać towarzyszem niezastąpionym dla niejednego młodego Polaka, marzącego o przygodzie, o życiu bez cenzury, bez sztuk łamanych z nakazu, „zmurszałej ideologii”, o życiu z własnego wyboru odpowiedzialnym i pełnym.



Andrzej Bobkowski został pochowany w grobie rodzinnym doktora Quevedo, którego czterech synów od 12 lat uczył aeromodelarstwa. Wszyscy do ostatnich jego dni wiernie przy nim przetrwali.

Ten grób w kraju, gdzie spędził ostatnie lata życia, gdzie zdobył tylu przyjaciół i „spełnił prawdziwy obowiązek Polaka na obczyźnie bo nauczył wielu imię polskie szanować” nie ma jeszcze płyty grobowej.

„Kultura” ogłasza zbiórkę na tę płytę wśród jego polskich czytelników — znak pamięci i wdzięczności nas wszystkich, którzy go kochaliśmy.

Józef CZAPSKI

Fragmenty z notatnika

Gwatemala 6.10.1958

Wieczorem. Za oknem staniolowy chrzest deszczu na blaszanych dachach wokół. 5-go września, miesiąc temu, lekarz zaniepokoił się powiększeniem gruczołu w pachwinie. Analizy, — w poniedziałek 8 września postanowił, że musi operować. Operacja 11-go wrz. W międzyczasie dni, które zrobiły ze mnie już innego człowieka. Tym razem już wyraźnie i otwarcie zacząłem liczyć się z możliwością śmierci. I dalej z nią się liczę. Trzeba by cudu... Dlatego przyjąłem koniec w jakiejś nieokreślonej, dalszej lub bliższej przyszłości, jako zupełnie realną możliwość. Trudno. I teraz mimo woli, skazany na bezruch rekonwalescenta, spoglądam wstecz na całe życie. Minęło tak prędko, chwila niemal.

Uczucie oderwania (już, już?) wobec wszystkiego co otacza. Budzę się, śniadanie, dziś już umyłem się sam, potem zapuściłem silnik w samochodzie, żeby bateria trochę się naładowała, a sam chodziłem przed domem z książką w stołcu. Męczące. Żyje się, wykonywuje się coraz więcej rzeczy tak samo jak dawniej, ale na dnię ciągle uczucie oderwania. Spokojne, poważne, może nawet bardzo godne. Może nawet w obliczu śmierci przybiera się pewną pozę? Oczywiście, gdy się ma na to czas tak jak ja.

Nic mi się nie chce, nawet pisać. Dużo czytam. Ale nawet o tym nie chce mi się pisać. Wiem, że powinienem starać się nie myśleć, wrócić do normalnego życia natychmiast, gdy cięcie się zagoi. I wróć. Ale chyba tylko na powierzchni. Na dnię będzie już zawsze tkwiło przygotowanie...

15.2.1959.

Wróciliśmy z week-end'u w Antiqua. Pogoda nieziemską. Wszedłem do nagrzanego pokoju i nagle przyszło mi na myśl, że mi się nie chce umierać — w tym sensie, w jakim nie chce się człowiekowi wykonać jakiejś męczącej i nudnej pracy. Nie chce mi się, strasznie mi się nie chce. To chyba szczyt lenistwa.

15.3.1959.

Trzy dni nad morzem. Tropik. Gorące dni. Noce, woda, wszystko. Miałbym ochotę robić tylko i wyłącznie to, na co miałbym ochotę. W marcowym „Atlantic” znowu reportaż z Polski jakiejś Amerykanki. Ciągłe to samo: wy nas nie możecie zrozumieć. Nowe wcielenie naszej ukochanej hojczyzny. Kobieta ibsenowska, kobieta której nikt nie rozumie i nie może zrozumieć. I nigdy nie zrozumie — amen. Tymi samym pięcioma wyrazami Gwatemalczyki i cały kontynent od Rio Grande aż po przylądek Horn maskują swój kompleks niższości Ustedes no nos pueden comprender. Po czym pławią się w swojej hojczyźnie. Jak my. Polska zawsze ugniatała nam mózg — dziś doprowadza do powolnego rozmiękania tegoż mózgu. Nawet wśród młodzieży, poza tym zupełnie normalnej i chyba inteligentniejszej od dawnych pokoleń.

12.4.1959.

Żyję „teraz”. Żaden inny czas dla mnie nie istnieje. I to „teraz” które dawniej było tak nieuchwytne, materializuje mi się na każdym kroku. O przeszłości nigdy nie lubiłem myśleć, o przyszłości teraz w ogóle nie myślę. I to ma wielki urok.

2.6.1959.

Znowu. Wczoraj w czasie badania miesięcznego, lekarz stwierdził powiększenie gruczołu pod lewą pachą. Kartka do radiologa — prześwietlić płuca. A już mi się zdawało... Miałem wrażenie, że ktoś gorącą, świeżą krwią oblał mi głowę. Zewnętrznie spokój I pierwsza myśl: nie odrywać się od życia, nie kopać rowu między światem żyjącym a mną. Nie pozwolić, aby on sam się wykopywał. Zdychające zwierzę zaszywa się w kąt, odosobnia się — tę samą skłonność czuję w sobie. Wydaje mi się, że wiem o śmierci wszystko, a tymczasem nic nie wiem. Wczoraj przyszły poezje zebrane Wierzyńskiego:

„Wszystkimi słowy, które od nas biegą
Jak głos w pustyni w niezgłębione dno
Tak długo życiu mówimy dlaczego
Aż raz się śmierci zapytamy: co?

CO?

9.6.1959.

A więc jednak. Po jutrze operacja — trzecia runda meczu bokserkiego. Wycięcie gruczołów pod lewą pachą, drobna operacja. Czuję się jak salami — po plasterku. Kupiłem w południe flaszkę whisky „Canadian Club” (nie znoszę szkockiego, lubię ten słodkawy smak kanadyjskiej) i dobrze mi. Jestem trochę pijany. Na tamtym świecie nie można się zalać. Smutne to — życie pozagrobowe bez whisky. Niech to szlag trafi.

Rano wstałem wcześniej, o 7-mej i bez śniadania pojechałem do kościoła, do „Maryknoll” (1) do spowiedzi i do komunii. Jak się należy do tego „Dżokej klubu” to trzeba zachowywać reguły. Nie wiedziałem właściwie z czego się spowiadać. Tak jak w mojej sztuce mówi gdzieś Maria: „Jest tylko jeden grzech — wyrządzić komuś krzywdę”. Nikomu jej nigdy nie wyrządziłem. Katabas był w kłopotcie — raczej on nie ja. — Did you get angry? Spowiedałem się po angielsku, z fasonem. — Angry? Niby dlaczego? Nigdy. Po cholere get angry, gdy życie jest takie piękne? Że Basia czasem, „sobie” gada? No to co? Od tego jest żona, kochana i biedna żona. Poranne odgłosy miasta. Powiedziałem pocziwemu „pomidorowi” (Nie wiem dlaczego, ale tak nazywaliśmy w gimnazjum naszego katechetę ks. dr. Czopułę) — że w czasie tej przerwy między rundami z tą wściekłą chorobą, miałem ochotę przestać wierzyć. Niby co? Śmierć. To znaczy nic — przechodzi się w nicość. Jeszcze nigdy dotąd nie miałem takiej pokusy powiedzenia sobie „Nic”. To nawet ciekawe. Ale jak mu to powiedziałem, to przyszło mi na myśl „Szatan czuwa” — jak te napisy we francuskich pociągach w czasie wojny. Der Feind hört zu. Nie — WIERZĘ. Niech się dzieje co chce — wierzę. Parę dni temu, pijąc kawę przy kontuarze spotkałem studenta amerykańskiego z Texasu. Rozmowa zesłała na te rzeczy. „Gdyby nie wiara, że coś się dzieje potem, to to życie byłoby nonsensem” — powiedział mi w pewnej chwili. Rzeczywiście to całe życie nie miałoby sensu. Po cholere męczyć się, nie wyrządzać krzywdy, not to get angry etc, po cholere pytam się.

Uczucie pośpiechu jak przed podróżą. Gdzieś z daleka odgłosy radia, piosenki meksykańskie z jakiegoś odległego głośnika. I księżyc w kształcie smakowitego „croissant”, lśniący, lukrowany. I moje koty — zezowaty „Zyziu”, i dorastający „Puś”. Czy tam są koty? Death in a slow motion. Śmierć skradająca się wolno do typu, który czuje się jak byk. Widocznie nie jestem zupełnym ama-

(1) Nazwa zgromadzenia misyjnego, amerykańskiego, mają tu swoją parafię i szkołę.

torem-pisarzem, w tej chwili to co mnie najbardziej pochłania to skończyć moją sztukę. Pośpiech. Porządki w moim sklepie, a jeszcze to, a jeszcze tamto. W czasie porządków znalazłem kilka fotografii obrazów Józia Czapskiego. Jego akwarele, takie notatki „malarskie” mam na ścianie w moim pokoju. Anemony z podpisem „Andrzejkom na szczęście”. 12.6.48.

Jedenaście lat temu. Minęły jak mgnienie oka. Jak to dobrze, że Józio nie wlaźł w abstrakcję. Myślę o nim — odkryją jego obrazy jak go już nie będzie.

Tymczasem żyje się, pije się, obżarłem się na kolację i dobrze mi. Idę spać. A jutro znowu ta klinika, te pielęgniarki kurlewskie, wszyscy słodcy, a pojutrze znowu w półśnie wwożę mnie do pokoju narkozy — cholera, cholera, cholera. Do kliniki kupiłem sobie „Dawida Cooperfielda” po angielsku.

22.12.1960.

Rok i pół. Nic. Chłodny wieczór. Odgłosy petard z ulicy. Rok i sześć miesięcy minęły jak mgnienie oka. Nie myślałem, że dożyję do dzisiaj. Cieszę się życiem, choć śmierć stale stoi poza moimi plecami. Czuję ją zawsze. Przeszedłem na koegzystencję i jakoś się to udaje. Szalona rozkosz życia, zwyczajnego istnienia, kręcenia się, pracy, najdrobniejszych głupstw. Na stole rzodkiewka. Jedzmy rzodkiewkę. I pijmy piwo. Ubóstwione piwo. Nastrój przedświąteczny.

Bez daty

Raz w czasie wojny spotkałem się z moim bratem ciotecznym, myśliwcem z R.A.F.'u I on opowiadał mi o śmierci. Jak straszliwie się boi, co działo się z nim i w nim, gdy z uszkodzonymi sterami i goniony nisko nad ziemią przez trzy Focke-Wulfy zobaczył nagle palący się motor i wiedział, że życie może potrwać jeszcze 30-40 sekund, w najlepszym wypadku minutę. Potem precyzował mi z pamięci jakieś swoje dwa wiersze, które ułożył dla matki. Ciepłe pełne słońca i uśmiechu. Czy człowiek dla którego śmierć jest jak zamknięcie papierosa — trzask i nic więcej, który boi się jej tylko tak jak zwierzę prowadzone na rzeź, czy ten człowiek może pisać wiersze? Czy w ogóle jest człowiekiem?

Andrzej BOBKOWSKI

Trzy pory roku Kazimierza Wierzyńskiego

Przedwojenny monopol „Wiadomości Literackich” „opinia” Ipsu i Simu, „górką” w „Ziemiańskiej”, kabarety, związki z liberalną lewicą i pułkownikowską górą zapewniły Skamandrytom międzywojenną i powierzchowną przewagę nad awangardą, za którą drogą po wojnie zapłacili. Pozostał co prawda niemal nietknięty prestiż Tuwima, w Polsce nadal pisze się z szacunkiem o poezji Iwaszkiewicza i Słonimskiego (ale Iwaszkiewicz „Skamandryta” żyje tam z dywidendy świetnego narratora, Słonimski-poeta korzysta z rosnącej wciąż sylwetki polemisty i człowieka); emigracyjni inteligenci po czterdziestce wierzą na słowo, że Lechoń i Wierzyński są „wielkimi poetami”. Za to wśród młodych poetów, „awangardowych” krytyków, a nawet w drobnym stosunkowo gronie autentycznych czytelników poezji obowiązujący jest lekko pogardliwy, protekcyjny stosunek do Skamandra, jeśli nie zdeklarowana wrogość. Środowisko o pewnym poziomie literackiego smaku najbardziej interesuje się spośród poetów polskich „międzywojennego” pokolenia Julianem Przybosiem i Czesławem Miłoszem, głównym teoretykiem awangardy i poetą, który z awangardy wyrósł i pierwszy wniósł do polskiej poezji intelektualną medytację nad człowiekiem w kleszczach między przyrodą a historią. Uwagi te mają oczywiście ściśle kronikarski charakter i odnoszą się do procesu całkowicie naturalnego, a w wypadku Skamandra spotęgowanego poprzez literacko-historyczne nieporozumienie. Banalem jest „burzenie wczorajszych bogów” i nie dziwi nas, że czwartorzędny symbolista francuski pogardzał Victorem Hugo. Dzisiaj nawet powiedzenie Gide’a „Victor Hugo hélas” brzmi jak tani paradoks: dlaczego ten genialny, wspaniały starzec miał być „niestety” największym poetą francuskiego XIX wieku?

W wypadku Skamandra sprawa nie jest tak prosta. Skamandryci głosili w swoim manifestie z r. 1920: „Wierzmy głęboko w dzień dzisiejszy”, ulegli oni w pewnym stopniu reto-

ryce futurystów, ale to co awangarda wносиła istotnego i nowego zupełnie ich nie interesowało. Samoloty, fabryki i wynalazki opiewali Skamandryci czasami (na równi z egzotyką, snem, dzieciństwem, prowincją i — oczywiście — miłością), ale klasycyzująco-romantycznym wierszem. Stąd wrogość awangardy do Skamandra wydaje mi się całkowicie zrozumiała i nie dziwi mnie wcale, że przetrwała po dziś dzień u Juliana Przybosia czy Jana Brzękowskiego cierpiących na uraz zapoznanych przez lata odkrywców, których przekreślony patent lansowała wspaniale prosperująca firma. Wydaje mi się jednak, że czas, nie tyle na „rehabilitację” Skamandra (gdyż nie chodzi mi o grupę, którą łączy jedynie „teoria”: jej punkt najslabszy) co na nowe spojrzenie na kilku poetów. „Szkice do Portretów” Jerzego Kwiatkowskiego (1) są tego rodzaju próbą. Tomik Kwiatkowskiego zawiera szkice o Lechoni, Iwaszkiewiczu, Słonimskim, Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Wydaje mi się, że przecenia on Lechonia. Przypomina nam co prawda, że w „Karmazynowym Poemacie”, „Duch na Seansie” to pastisz Słowackiego, „Moch-nacki” to kontynuacja „Koncertu Jankiela”, do którego droga wiedzie zresztą przez orotowski „Koncert Chopina”. Ale Kwiatkowski poważnie traktuje powojenną twórczość Lechonia, ma szczególną słabość do zaczerpniętych z barokowej poezji antytez i *pointes* „Srebrnego i Czarnego”, a za „jeden z najpiękniejszych dwuwierszy polskiej poezji” uważa:

*„Nie ma nieba ni ziemi, otchłani ni piekła,
Jest tylko Beatrycze. I właśnie jej nie ma”*

dwuwiersz, który wydaje mi się ściśle retoryczny (2).

Zgadzam się natomiast całkowicie z jego entuzjastyczną oceną poezji Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Osobiście stawiam Pawlikowską jeszcze wyżej. Jest ona dla mnie największym — większym od Tuwima — poetą grupy Skamandra, jednym z najoryginalniejszych i najgłębszych współczesnych poetów polskich.

Już sam fakt zresztą, że Pawlikowska była Skamandrytką powinien uwolnić nas od wszelkich zbiorowych uprzedzeń. O Słonimskim pisze Kwiatkowski z dużą sympatią, widać, że go lubi i szanuje. Słonimski, zdaniem Kwiatkowskiego „daje odpowiednik nieistniejącej u nas prawdziwie naówczas współczesnej wielkiej poezji pozytywizmu”. Kwiatkowski ogranicza się właściwie do przedwojennej twórczości Słonimskiego i wydaje mi się, że uszedł jego uwagi fakt szczególny, wzbogacenia i pogłębienia poezji Słonimskiego w ciągu ostatnich kilku lat.

(1) Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1960.

(2) Lechoń chciał tu prawdopodobnie wyrazić nie nową zresztą „myśl”, że w życiu ludzkim nic nie ma znaczenia prócz miłości, która jest nieosiągalna. Pierwsza linia jest kwintesencją retoryki. Co do drugiej „Beatrycze” jest właśnie symbolem tej miłości, która „jest” i której „nie ma”. Wystarczyłoby (jeśli się już chce) „Jest tylko Beatrycze”.

Brak w książce Kwiatkowskiego szkicu o tak wybitnym poecie grupy Skamandra jak Kazimierz Wierzyński. Podczas gdy wiersze Wierzyńskiego tłumaczą poeci amerykańscy i angielscy, podczas gdy przypadała mu po śmierci Lechonia rola „wieszczka emigracji” (ale niepokoi tu odpowiednik londyńskiego „Zamku”), w Polsce o Wierzyńskim pisać nie wolno, nieliczne zaś artykuły na temat jego poezji, jakie ukazały się w prasie polskiej na Zachodzie, są bądź zdawkowo pochwalne, bądź traktują tę poezję jako pretekst do historyczno-literackich porachunków. Wyjątek stanowi piękny i przenikliwy „List do Kazimierza Wierzyńskiego” Pawła Hostowca, w ostatnim numerze „Kultury”.

A przecież w ciągu ostatnich dwóch lat ukazały się pięknie wydane „Poezje Zebrane” Wierzyńskiego oraz nowy tom „Tkanka Ziemi”. Krytyk dysponuje więc wyjątkowo obfitym i łatwo osiągalnym materiałem: może ogarnąć jednym spojrzeniem bogatą twórczość poety na przestrzeni ostatnich czterdziestu kilku lat: jego wiosnę, lato i jesień.

Jedną z bolączek emigracyjnej krytyki jest jej dorywczność, przypadkowość. Pisarze, poeci, eseści, dziennikarze, którzy na emigracji zajmują się również krytyką literacką, piszą zazwyczaj o książkach, które chcą bądź wynieść pod niebiosa, bądź bezlitośnie zjechać. Stąd moje wahania, gdy lektura Kwiatkowskiego zachęca mnie do do wypełnienia narzuconej luki, do napisania szkicu o poezji Wierzyńskiego. Moja formacja intelektualna, mój rodzaj wrażliwości sprawiają, że poeci awagardy są mi na ogół bliżsi od poetów Skamandra; zaś wśród poetów Skamandra znany, niemal klasyczny, Wierzyński radości życia i gry mięśni był mi przed wojną najbardziej może daleki i obcy. Jestem natomiast gorącym zwolennikiem powojennej poezji Wierzyńskiego. Zbliżyły mnie do niej niektóre wiersze z „Korcia Maku”, a oczarowała „Tkanka Ziemi”. Wczesny Wierzyński interesuje mnie głównie jako świadek epoki; jako zjawisko historyczno-socjologiczne. Pasjonuje mnie natomiast sekret późnego rozkwitu i pogłębienia jego wizji poetyckiej.

ROZTARGNIONA WIOSNA

Poetyka „Wiosny i Wina” i „Wróbbi na dachu” jest bardziej niż prosta: prymitywna. Poeta jest młody, piękny, zakochany, roztargniony. Dobrze mu jest we własnej skórze, dobrze w Łazienkach, dobrze w Warszawie, dobrze w Tatrach, dobrze nad Bałtykiem, dobrze na wsi, dobrze w Polsce, dobrze w latach dwudziestych, dobrze w społeczeństwie, którego jest uroczym, ulubionym i marnotrawnym synem. Dlaczego pisze wiersze? Może dlatego że nie znosi naszego smutku, naszej samotności, naszych urazów. Jest na swój sposób szczodry. Jak wodzirej na balu chce żeby wszyscy razem z nim tańczyli wiosennego mazura.

„Hop, skaczę z łóżka! Jak młodo!
Serwus mój świecie kochany!
Oblewam się zimną wodą,
w pięć minut jestem ubrany”.

Wczesna mitologia Wierzyńskiego jest młodociano-figlarna, składają się na nią elementy włóczęgi, pijaństwa, łagodnej groteski. Jest to jedna z pierwszych manifestacji pewnej łatwej poetyki popularnej, która w 10 lat po „Wiośnie i Winie” i „Wróbbi na dachu” zawładnie francuską piosenką (Charles Trenet, Mireille). Poeta jest „wagabundem”, panem świata, jego rozbijająca naiwność i urok otwierają mu wszystkie bramy. Przychodzą niestety na myśl „Kochankowie” z rysunków Peyneta. Na cóż pieniądze, jeśli poeta ma gwiazdy, na cóż dom, jeśli ma namiot letniego nieba itd.

„Wagabunda i pijak, hrabia na Gierlachu” ma wszystkie atrybuty bezdomnego wielkopanstwa:

„Słońce jak monokl złoty noszę w oku,
Księżyc w pierścionku, gwiazdy w butonierce
Siedem mil robię w każdym moim kroku
i ze czternaście lat ma moje serce”.

Istnieją jednak szanse, że poeta „ustatkuje” się:

„Ach, pomyśleć, że mogę widzieć San Francisco,
Gdy 26 lat mam za sobą dopiero!
Panowie! Kiedy wszystko jest dzisiaj tak blisko,
Cóż znaczy, że dotychczas jestem wielkie zero?!”

„Za kilka lat przyjdziecie! Będę miał już willę
I żonę w białej sukni i na stole wino,
Zatańczymy szalone po parku kadryle
Pod rękę z pstrą młodością w kostiumie domino”.

Pierwsze zbiory Wierzyńskiego to nie bunt młodości, to szum młodości. A każde przyzwoite społeczeństwo wie, że młodość musi się wyszumieć, zanim dojdzie do willi i żony w białej sukni.

Z przedwojennej twórczości Wierzyńskiego najbardziej znany jest „Laur Olimpijski”, który w swoim czasie osiągnął rozgłos światowy. Jest to istotnie ciekawe doświadczenie poetyckie, które dziś, w epoce rosnącej wciąż popularności sportu, spotęgowanej możliwościami masowych środków komunikacji, nabiera cech prekursorskich. Oderwany od bicia własnego serca, gry własnych mięśni, do egocentrycznej euforii, zmuszony do wysiłku wyobraźni, do wczucia się w ruch, lot, bieg, wysiłek i radość innych ludzi, znalazł tu Wierzyński bardzo często szczęśliwy równoważnik słowny. „Paddock i Porritt”, „Skok o Tycze”, „Bieg Naprzetał”, „Fanfara na cześć Karola Hoffa” — to

wiersze w danej konwencji stylistycznej bardzo udane. Przeciwnim przemawia właśnie tylko konwencja stylistyczna, neo-klasycyzm lat trzydziestych, dekoracyjny cień olimpijskiego gaju. „Laur Olimpijski” to wykwit epoki, literacki ekwiwalent architektury B.G.K. Chcę podkreślić, że należy do najlepszych eksponatów epoki: nigdy te wiersze nie przywiodą na myśl retorycznych rzeźb Arno Breckera czy potwornego „Foro Mussolini”, które są tej samej konwencji karykaturą. Wierzyński klasycyzuje, ale nie w tekturze — jego wiersze są odpowiednikami pewnych rzeźb Bourdelle’a, Maillola, pod stylizacją czuć autentyczną wrażliwość, najlepiej pojęty realizm poetycki.

Przed wojną jeden tylko tom Wierzyńskiego był mi prawdziwie bliski: „Pieśni Fanatyczne”. Ale przemawia tu ten Wierzyński, który nigdzie indziej nie dochodzi do głosu, którego trudno nawet odgadnąć w autorze „Wiosny i Wina”, a będący być może właśnie tym poetą, który nawet hałaśliwego i szczęśliwego chłopca zmusza do pisania wierszy. Jest to poezja reakcji na radość życia, poezja przesytu, nudy i „kaca”. Tom ten zawiera paradoksalnie proroczy wiersz — „Pieśń ze Środka Miasta”:

*„Boże, zbaw mnie ze Świętokrzyskiej,
Ze środka miasta, z potopu kamieni,
Z wilgoci murów słotnej i śliskiej,
Z posuchy skwerów, z dusznej agonii,
Z szarości życia i monotonii,
Z gwałtu, pośpiechu, który nie zmienia
Tego do czegośmy przeznaczeni
I który w uszach jak popłoch dzwoni...”*

*...Ratuj nas
Z konwulsji zastygłych kamieni
Pozwól zdjąć z pleców mury
Wyjść z tej ulicy, co pali nam stopy
Asfalem wszystkich placów Europy
Pozwól wyzwolić, ocalić człowieka
Z gorączki, z pośpiechu, z nieprzytomności,
Niech stąd uchodzi, niech stąd ucieka,
Niech wszystkich zwola i wyprowadzi
Bezludnym, pustym wieczorem
Z miasta kamiennym tkniętego pomorem
Na emigrację wolności”.*

Ale w miarę jak zbliżał się „kamienny pomór”, w miarę jak otwierała się w złą godzinę wywołana droga „na emigrację wolności”, Wierzyński przeradzał się w poetę patriotycznego, podobnie jak Lechoń który kiedyś chciał widzieć wiosnę nie Polskę. Wojennego wieszcz z „Krzyży i Mieczów” zapowiada już piłsudczykowska historiozofia „Wolności Tragicznej”.

RETORYCZNE LATO

„Wolność Tragiczna” jest w każdym niemal wierszu monologiem Piłsudskiego. Przemawia tu oczywiście jedna z mitycznych wersji Piłsudskiego, ta z którą identyfikuje się Wierzyński. Gdyż nawet wśród „Piłsudczyków” mitologia Wodza nie była jednolita. Mamy magnetycznego „Komentanta”, dobrotliwego „Dziadka”, proste wcielenia „Ojca”, zarazem surowego i mądrego, który „wie lepiej”, często karze, ale zwalnia od poczucia odpowiedzialności: jest to Piłsudski większości rządzących legionistów, uwieczniony „Strzępami meldunków” Sławoja. Mamy kresowego szlachcica, który z manowców socjalizmu wraca w Nieświeżu do koncepcji Polski konserwatywnej, tradycyjnej: jest to Piłsudski Cata, Janusza Radziwiłła. Mamy wreszcie „Romantycznego Realistę”, który wbrew „dżungli” nacjonalistycznego Ciemnogradu chce wskrzesić koncepcję federalną, chce „uczyć Polaków wolności” i „skazuje na wielkość”. Ten Piłsudski jest wrogiem mordercy prezydenta Narutowicza, polskiego antysemityzmu, jego to oskarżają endecy w czasie kampanii kijowskiej o tajny układ z bolszewikami. Ta wersja mitu przez długi czas pozostanie bliska radykalnej lewicowej inteligencji, która przecież niemal w całości — z komunistami włącznie — opowiedziała się po stronie Piłsudskiego w chwili zamachu majowego. Najbardziej odpowiada ona jej liberalnemu odłamowi kresowego, szlacheckiego pochodzenia, do którego należeli mimo różnic wieku — Stanisław Stempowski, Piotr Dunin-Borkowski, Józef Czapski, w pewnym stopniu Maria Dąbrowska. Żaden esej historyczny, żadna interpretacja socjologiczna nie wyraża tego mitu równie precyzyjnie jak „Wolność Tragiczna” Wierzyńskiego.

Próba obiektywnej interpretacji: Polską rządzi dumny, samotny, zgorzkniały stary mizantrop, całkowicie pozbawiony kontaktu z rzeczywistością, na którego formację składają się poezja romantyczna i źle zrozumiana filozofia pozytywistyczna (skorygowana przez równie źle rozumiany marksizm). Stąd u Piłsudskiego pojęcie że jest „realistą” z tym, że pojęcie to przekształca się w idealizm, w niemal magiczną formułę (gdyż rzeczywistość: warunki i możliwości gospodarcze kraju, praca ludzka i dane socjologiczne nie wydają mu się godne zainteresowania).

Wierzyński zarazem odczuwa intuicyjnie ten typ psychologiczny i interpretuje go zgodnie z nostalgiami tego odłamu lewicy, który nadal ulega fascynacji mitu. Nie zaliczam „Wolności Tragicznej” (prócz kilku egzaltowanych wierszy po śmierci Piłsudskiego) do części retorycznej poezji Wierzyńskiego. Znaczna część „Wolności Tragicznej” należy do autentycznej poezji: Wierzyński dąży tu szczerze do błyskawicznego, skrótownego ujęcia historycznej sytuacji. Jeśli mimo to „Wolność Tragiczna” ma wydźwięk retoryczny to ze względu na retorykę samego mitu: mimo wysiłku identyfikacji, mimo, że poeta podsuwa

Piłsudskiemu „najszlachetniejsze” motywy, odpowiedź Piłsudskiego brzmi zawsze w ostatecznej analizie retorycznie.

Jednym z ważniejszych wierszy w „Wolności Tragicznej” jest „Rozmowa z Baryką”. Wychowany na Żeromskim Wierzyński nie może nie stać po stronie pochodu na Belweder, do którego przyłączył się Cezary Baryka, stąd duże napięcie dramatyczne, wywołane konfliktem lojalności. Konflikt ten stara się rozwiązać Wierzyński w różny sposób.

„— Co to za krzyk? I co za przybysz
Tak się po placu głośno szasta?
To lud Warszawy. Czy nie widzisz,
Epoka hurmą idzie z miasta.
— Powiedźcie im, że wiem, że słyszę,
I chyba każdy mi to przyzna,
Że tutaj rządzi...
— Towarzysze,
Niech głośniejsze mówi. Kto?
— Ojczyzna”.

Oto pierwszy argument, najprymitywniej patriotyczny, który poeta odrzuci zaraz ustami Baryki:

„On znów do blagi, sentymentu.
Odwal się bracie, z czym do gościa.
Tu idzie burza znad zamętu,
Lud — słyszysz — z własną świadomością”.

Kolejny argument „Romantycznego Realisty”.

„Wasza trzeźwość jest gusem, jak innych tysiące...”

Rewolucja? Tak — ale polska:

„Nie chcę by tutaj kosołki Scyta
Węszył po co i komu ta wolność zdobyta...
Oswobodzi się tutaj i z pęt się wywalczy
Kto jak ja własną drogę do końca wylamie
I — jak ja się od Polski uwalniam padalczej —
Wyjdzie z czadu i burzom narzuci swe ramię”.

Poeta czuje jednak, że trzeba to podbudować czymś konkretnym i korzysta ze świadomej retoryki Żeromskiego, aby „uto-
pijnemu” ruchowi rewolucyjnemu przeciwstawić „realizm”:

„Szkłane domy dla ciebie, rzeczywiste dla mnie.
Kamienie będą rzucał pod nogi pochodu”.

Gdzież jednakże kilkanaście lat po pochodzie te rzeczywiste domy? (3).

(3) *Wolność Tragiczna* była wydana w 1936 r.

Poeta zmuszony jest zdemaskować własną argumentację
nawrotem do retoryki mitu:

„Kto ze mną
Niech wymusza swą wielkość, bez niej tu daremno,
I ponad przesmyk dziejów: dwa młyńskie kamienie
Los przepycha rękami, ja go nie odmienię,
Pierś ma nad miarę kłęski, zwycięża lub pada,
Tworzy wolność tragiczną.
Wszystko inne — zdrada”.

Podobne motywy w ustach Piłsudskiego powtarzają się
często w „Wolności Tragicznej”:

„Cała pańska plugawość, lamus hańby naszej”
(Belweder)

„Z czego budujesz kraj ten?
Z czecotu, z jesionu,
Kruchy antyk i rzewność od wielkiego dzwonu”.
(Ojczyzna Choczołów)

W stosunku Wierzyńskiego do Piłsudskiego jest zawsze
niepokój poety bliskiego polskiej tradycji lewicowej. Jego Pił-
sudski jest o wiele bardziej złożony od romantycznej zjawy
Lechonia, na której po prostu „mundur szary”. Ale Lechoń
już w „Karmazynowym Poemacie” zapowiada Bogu-ojczyźnia-
nego pseudo Syrokomlę z okresu emigracyjnego:

„Dudni nam ziemia, dudni, dudni,
Radujcie się, majorze!
Tako się Polska nam rozczudni,
Gdy skwarny przyjdzie czas południ
Na nasze krwawe zboże”.

Do jednego wiersza z „Wolności Tragicznej” mam szcze-
gólną sympatię, mimo, że literacko jest to po prostu udany
pastisz folklorystyczno-wojskowy: do „Piosenki Ukraińskiej”
Zarzuca w niej poeta Piłsudskiemu zdradę ukraińskiego sprzy-
mierzeńca:

„Poszli nasi chłopcy w polskim wojsku służyć,
Poszli śmierć okrutną jeszcze raz powtórzyć,
Hej, hej komendancie, miły wodzu nasz...
Śmierć ich wypieściła, śmierć ich całowała
Hej, hej, komendancie, ale nie ty”.

Szkoda, że poeci często nie odczytują swoich wierszy. Na-
pisana w osiem lat później „Ballada o Churchill” zawiera
oskarżenia o wiele ostrzejsze, pomimo podobieństwa sytuacji.
Ale „Ballada o Churchill” należy już do najstarszego
okresu w poezji Wierzyńskiego, pod znakiem „Ziemi Wilczycy”

i „Krzyży i Mieczy”. Nie jest przypadkiem, że najlepszy wiersz z tych tomów to „W rocznicę śmierci Pułkownika Sławka”, właściwie epilog „Wolności Tragicznej”. Wiersze Wierzyńskiego z okresu drugiej wojny światowej są całkowicie retoryczne. Nie usprawiedliwia ich subiektywna szczerść poety, który na dalekim wygnaniu reaguje na wydarzenia polityczne i wojenne, pograżające coraz głębiej jego obraz Polski najpierw z szaleńczą nadzieją, potem z entuzjazmem i wiarą, w miarę jak dochodzą go echa polskich bojowych wyczynów na Zachodzie; z bólem i dumą przyjmuje on Powstanie Warszawskie, wreszcie z rozgoryczeniem i rozpaczą „zdradę Polski” przez Zachód. Nie usprawiedliwia ich również to, że umieli te wiersze na pamięć podchorążowie, kaprale z cenzusem, młodzi oficerowie na Zachodzie, że przepisywano je w powstańczej Warszawie: stanowiły one liryczny ekwiwalent tradycyjnej, patriotycznej retoryki. O ileż więcej poezji w epigońskich jeszcze, nieraz prymitywnych wierszach młodziutkiego poety z okresu kiedy sam był żołnierzem. Pisał wtedy Wierzyński:

*„Nie ma żadnego wyjścia,
Wiem to, wiem, z tego muru:
Szarokamienny ciężar
I szary worek munduru”.*

Nie porównywał on wówczas wojennego szlaku do „Via Appia”. Widział w nim rzeczy prostsze, prawdziwsze:

*„Spalenizna zmieszana z żywicą,
Poranną bielą wieją Karpaty
Idę bezludną, dudniącą ulicą,
Słychać armaty”.*

Albo

*„Z całego miasta zostały kominy
Chude, w rozpacz skamieniałe przejście
Mrok się po zgłiszczach włóczy czarno-siny
Spalone domy, nieszczęście...”.*

Ktoś mi odpowie, że było to inne wojsko, inna wojna. Ale, jeśli wojna w naszej cywilizacji może, niestety, mieć usprawiedliwienie polityczne (można wybrać barbarzyństwo wojny raczej niż barbarzyństwo totalitarnej dyktatury), jeśli „poezja” nie musi być jednoznaczna z „pacyfizmem” (mimo, że wielu poetów naszej epoki, podobnie jak sam Wierzyński w „Protezach” uległo tej najprostszej afirmacji życia), to „poezja wojenna” o ile ma ona w ogóle sens, nie może pominąć milczeniem tragicznego splotu indywidualnych losów i kolektywnych decyzji, nie wolno jej upraszczać, wołać o zwycięstwo do „Pana Zastępów”, cie-

żyć się z bomby która pada na niemieckie miasto, przeklinać „Moskali” czy „Ruskich”. Przestaje być wówczas poezją, a staje się odpowiednikiem rozkazów dziennych, kazań kapelanów, odezw premierów i naczelnych wodzów.

Uderza zresztą w „Krzyżach i Mieczach” powtarzający się jak refren upiorny nonsens retoryki polskich oficjalnych wystąpień z okresu II Wojny Światowej. Oto mniej więcej jej główne motywy: jedyna wśród wszystkich narodów świata, Polska jest niewinna, bije się o świat cały, o chrześcijaństwo i grecko-rzymską cywilizację. Tak dobra sprawa musi zwyciężyć. Wiara i honor więcej znaczą od sił materialnych. Polska bije się i dlatego, że „dała słowo” swoim sprzymierzeńcom, a Polska nie zdradza nigdy. Niestety zdradzają ją sprzymierzeńcy. Ale nawet klęska Polski jest zwycięstwem, gdyż prawda musi zwyciężyć...

Rok 1939, to oczywiście wiara w zwycięstwo „dobrej sprawy” nad orężną przemocą:

*„Nadludzkiej poddani próbie,
Tylekroć zaprawieni w cierpieniu,
Stawimy czoło idącej zgubie
Walczymy o siebie i świat...”*

*Nie wypuścimy z ręki
Sztandaru ludów...*

Musimy bić się...

Nad rozum, nad uczucie...

*Usłyszcie nasze wojenne trąby:
To naprawdę wolność,
To naprawdę honor!*

*Przeciw nam
Tylko tanki i bomby...*

W miarę lat pozostaje wiara w cud. Oto Powstanie Warszawskie:

*„I stać się może nagle, że z miastem co pada,
Runie wojsko zmiażdżone, twój lud i sztandary!
— Nie! Jozue nie zginął pod gruzem swej wiary”.*

Warszawa jednak pada. Ale:

„Umiera pokonana, umiera zwycięska”.

Dalsza walka byłaby szaleństwem? Poeta chwyci się tego szaleństwa, jak nadziei:

*„Tam, gdzie nikt by nie wytrwał, gdzie kruszy się męstwo
Czyżby wiara znów weszła, natrętna i młoda?
Ach, jeśli to jest polskie odwieczne szaleństwo,
W nawiedzeniu tym polska jest także metoda”.*

Powraca również jakby echo mesjanizmu:

*„Bo prawda jest nad klęską i nic jej nie zmienia...
Bo słowo wyszło z prawdy i stało się ciałem.
I stanie się wolnością i Bóg jej wysłucha
W imię Ojca i Syna i polskiego ducha”.*

Pozostaje wreszcie:

*„Polski cyrograf niepisany
Ze śmierć nie wieczna. Wieczna — Wiara”.*

Historyk Drugiej Wojny Światowej znajdzie w „Krzyżach i Mieczach” egzaltowany wyraz opinii, która przeważała w wojsku (zwłaszcza w 2 Korpusie i w Lotnictwie) oraz wśród pewnych politycznych kół emigracji („Zamek”, „Wiadomości”, Zygmunt Nowakowski, Cat-Mackiewicz). Jest to opinia szczególnie uczulona na utratę Kresów Wschodnich, nie tylko skrajnie anty-sowiecka, ale reagująca ze szczególną siłą na „zdradę” Anglii. Opinia „Rejtanów”. Historyka literatury uderzy chyba siłą z jaką narodowa tradycja „wieszczą” może obezwładnić współczesnego poetę. Daje temu mimowolne świadectwo sam Wierzyński w wierszu „Inter Arma”:

*„Muza! Nie lękaj się hałasu broni
I bitewnego nie unikaj szczerku,
To nic, że lira gdy podchodzisz do niej,
Pęka wśród jęku.*

*Bij w struny! Boskość cię do nich zaprzęgła,
Piorun do ręki podała panińskiej,
Jeśli pieśń przetrwa, będzie niedosięta
Nad wiekiem klęski.*

*Powróć nam wiarę, iż echem dalekim
Moc się z natchnienia w narody przemycą...*

*I pozwól także na chwilę tej ciszy,
W której powraca, co żyło w nas przedtem
O tym pod wieczór, gdy nikt nie usłyszy,
Zagadaj szeptem”.*

A więc Muza zmobilizowana, co nie przychodzi jej zresztą łatwo („to nic, że lira, gdy podchodzisz do niej, pęka wśród jęku”). Poeta niejasno przeczuwa, że koncepcja ta jest dziś

anachronizmem („Powróć nam wiarę...”). Ale najbardziej rewelacyjna jest inwokacja zawarta w ostatniej strofie. To „co żyło w nas przedtem” (coż innego niż człowiek i poeta?) ma tylko prawo do szeptu muzy „gdy nikt nie usłyszy”. Trudno o wyraźniejsze stwierdzenie rezygnacji z własnej autentycznej poezji na rzecz teatralnych rekwizytów: stroju „wieszczą”.

Nic dziwnego, że w wojennych wierszach Wierzyńskiego tak mało poezji, a tak wiele rekwizytów. Oto przypadkowa zresztą i nie pełna ich lista: Konrad, „Dziady”, Kordian, Sułkowski, grecka tragedia, Wawel, cmentarze ojcowskie, Nike Samotraczka, stare ateńskie zaułki, Akropol, Kapitol, Grecja, Rzym, Ateny Peryklesa, via Appia, Szekspir, Cyd, Corneille, Roland, Homer, Civis Romanus, Polska, Niobe, Ziemia-Wilczyca, Łuk Triumfalny, Victoria, Chrobry, Krzywousty, Jagiellonowie, Colosseum, Pallas Atene, Termopile, Somosierra, Elstera, Eloë, Genesis, Kiliński, Synaj, Jozue, polskie Madonny... Nie twierdząc oczywiście, że poeta nie powinien używać symboli o tak silnej kondensacji historycznej i emocjonalnej: ale zobowiązują one do szczególnej ścisłości. W wojennych wierszach Wierzyńskiego występują one po prostu w charakterze inwokacji, jak gdyby poeta szukał poważnego żyra „sprawy polskiej”.

Jeśli krytykuję tak ostro ten okres twórczości poety, którego wysoko cenię i którego powojenne wiersze są mi bliskie, to dlatego, że żał mi pięciu straconych dla tej twórczości lat. Wierzyński mógł nam wiele powiedzieć o ptakach Południowej Ameryki, o swym ponownym spotkaniu z Ameryką Północną gdzie kiedyś widział jak:

*„Rudym stadem młodziutkie tarzają się foki,
Panięskie, krągłe brzuszki, rozśmiane szczenięta”*

Z polskiej emigracyjnej poezji wojennej najwyżej cenię „Szkicownik Poetycki” Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Tuwim w „Kwiatach Polskich” potrafił być często olśniewający. Ale w jednym i drugim wypadku dlatego, że nie zrezygnowali oni ze swej poezji na rzecz patriotycznej retoryki.

URODZAJNA JESIEŃ

Co za ulga w „Korcu Maku”! Wierzyński zwolna odnajduje siebie, my odnajdujemy poetę. Jest to tom, w którym Wierzyński często powraca do literackich (ale nie retorycznych) motywów swej twórczości młodzieńczej (egzotyzm, miłość, dziecięcy kaprys, sen o lekkości, o świecie pozbawionym praw grawitacji). Są w nim również wiersze będące przedłużeniem wojennej retoryki (ale o subiektywnej szczerości poety nie wątpię nigdy, a trudno po koszmarnym śnie odzyskać zaraz całkowity kontakt z rzeczywistością: z poezją).

Spotykamy jednak także ze zdziwieniem poetę nowego, „Ballada o pewnej zgubie”, „Gramatyka na prywatny użytek”, to zastanawiające u Wierzyńskiego, intuicyjne odkrycie, że sednem poezji nie jest ani melodia, ani wzruszenie, ale słowo. a może trudny kontakt słowa z rzeczywistością. Czyżby poeta był nie skamadryckim słowikiem, a demiurgiem z Schulzowego „Traktatu o manekinach”? „Wiersz określający światowe znaczenie lisa”, poświęcony Jerzemu Stempowskiemu, wydaje mi się w twórczości Wierzyńskiego wierszem granicznym. Wierzyński często pięknie i melodyjnie utwierdzał nas w naszych przekonaniach o zwierzętach, ludziach i rzeczach; a ileż jest do przypomnienia w przekonaniach i obrazach, na które składają się tysiące lat! Często nawet — jak każdy prawdziwy poeta — dorzucał on do naszej wizji migawkę, ruch, błysk. Ale w tym wierszu o lisie, Wierzyński stara się stworzyć lisa, tak jakby przedtem nie istniał. Pracuje w słowie i rudej sierści. Lisieje.

Obietnice „Korca Maku” olśniewająco potwierdziła „Tkanka Ziemi”. Minęło roztargnienie młodości, wobec toku historii sam poeta usłyszał retoryczny dźwięk wierszy, w których zbyt długo utożsamiał się z polską romantyczną tradycją. Czas na rachunek z dawną twórczością. Przyszłemu czytelnikowi, pisze Wierzyński:

*„Pusta wśród wierszy ujawni linia
Co mnie obciąża i co mnie obwinia
I nie wiem czy mnie usprawiedliwi
Błądność w ułomnym człowieku,
Lecz pamiętajcie, wtedy, wy żywi,
Żem w omyłności nie tylko tu moje
Powtarzał był walki i siał niepokoje,
Skazaniec, syn swego wieku”.*

Intuicja poety jest słuszna, ale fałszywie brzmi jego usprawiedliwienie. „Pustą linią” w dawnej poezji Wierzyńskiego wydaje mi się właśnie to, że „nie tylko swoje powtarzał walki i siał niepokoje”. Jest nią częsty brak autentyczności, łatwość z jaką Wierzyński ubierał w melodyjną liryczną formę opinie zbiorowe, „duch czasu”, zamiast dążyć do poezji, odkrywać samemu, na własny rachunek, najdrobniejszy choćby wycinek rzeczywistości.

Podobną niepewność wyraża Wierzyński w innym wierszu:

*„Wiersze moje...
Nigdy mnie nie dogonicie:
Zanim wybiegłyście z milczenia
Wyprzedziło was,
Przesłoniło was,
Moje drugie życie.*

*Wiersze moje,
Krzyże, miecze, żołnierze,
Nigdyśmy naszych bitew nie wygrali:
Ledwieśmy wyszli na obronne wieże,
A już pogasły przed nami ogniska,
Hieny wyszły z pobojuwiska,
A życie pognęło dalej.*

*I chyba wciąż tak się będę powtarzał,
Sam siebie gonił, sam sobie się zdarzał,
I żył w niepojętym złudzeniu,
Że słowa moje co innego znaczą
Niż nocna rozmowa miłości z rozpaczą
O szczęściu w gorzkim, bezradnym istnieniu”.*

Otóż właśnie w „Tkance Ziemi” Wierzyński przestał „sam siebie gonić”, przestał się łudzić, że może on prawdziwą poezję wykrzesać z czego innego niż z „nocnej o szczęściu rozmowy, w gorzkim, bezradnym istnieniu”. Prawdziwa, autentyczna poezja Wierzyńskiego jest egzystencjalna.

Dopomoże nam do sprecyzowania tej ewolucji krótka analiza pięknego wiersza „Piąta pora roku”, który charakterystycznie jest wstępem do „Tkanki Ziemi”.

Zaczyna się od dwuwiersza, który jabym z kolei zaliczył do „najpiękniejszych w poezji polskiej”:

*„Plak przeleciał przeze mnie, ptak,
I drzwi zostawił otwarte...”.*

Poeta nawraca do pór roku swojej twórczości:

*„Jedna była młodzieńcza, wesola,
Jeszcze śni mi się, jeszcze mnie woła,
(Ach, pusty śmiech, niedorzeczność!)
Druga była żarliwa, gorąca,
Czerwoną wargą jeszcze mnie trąca,
Trzecia — jesienna, czwarta — zimowa
A piąta — śmierć i wieczność”.*

Zasadniczy klimat „Tkanki Ziemi” trafnie określił Paweł Hostowiec w swym „Liście do Kazimierza Wierzyńskiego” (Kultura, lipiec-sierpień, 1961). Polega on na eksploracji tej „strefy granicznej na której sprawy ludzkie się kończą i za którą więcej nic nie ma”. W urodzajnej jesieni Wierzyńskiego są echa młodości, ale jest też przeczucie zimy i „piątej pory roku”. „Piąta pora roku” — świadczy o tym i wiersz pod tym tytułem i cały tom — to dla Wierzyńskiego nie oderwane „metafizyczne” rozważania, lecz sama tkanka ziemi i wiecznie odnawiające się misterium przyrody.

*„Obszyłem się liśćmi, porosłem górami,
Palily się we mnie ogniska pastuchów
Pod drzewem, w deszczu, przykryci workami
Podobni byli do duchów.*

*Spalem na siennych, wygrzanych polanach,
Gałęzią chojar kotysał mnie niski,
Budziły mnie sarny, kobiece w kolanach,
Skacząc jak wodotryski”.*

Wieczność? Chyba przyrody i człowieka w ogóle, łańcucha pokoleń:

*„Wiem. Dawno temu doszczętnie wymarłem.
A jednak trwam znów, i łokciem o góry
Jak tamci z mego plemienia się wsparłem.
I patrzę, synów mych szukam, czy który
Obszył się liśćmi i porósł lasami
A może stoi przy ogniu pastuchów
I pójdzie śladem co został za nami,
I znów powtórzy przyrodę tych ruchów
Gdy zgrzane życie porami gęstymi
Dyszało w słońce i szło do księżyca,
Gdy we mnie ciekła krew mojej ziemi
A w matkach mleko i w sosnach żywica”.*

W swej podziemnej podróży napotyka oczywiście Wierzyński na drogowskazy związane z jego literacką genealogią. Mit Kory i Demeter fascynował już Wyspiańskiego. W swej rozległej klasycznej kulturze natrafia jednak tym razem poeta na tradycję orficką, związaną zarazem z mitem podziemnej podróży i z esencją poezji. Ileż razy bogowie Olimpu byli w poezji Wierzyńskiego ornamentami, jak posągi w łańcuchowskim parku? „Słowo do Orfeistów” świadczy dziś o głębszym o wiele, trudniejszym podejściu do mitologii. Co jednak wydaje mi się najszczęśliwsze w „Tkance Ziemi”, to, że Wierzyński natrafił wreszcie na swój własny element wyobraźni materialnej, którym jest ziemia. Uwaga ta oparta jest oczywiście na mym przekonanym do teorii Bachelarda, który poezję analizuje od strony „elementów”: istnieją dla niego poeci ognia, poeci powietrza, poeci wody, poeci ziemi. W swej wczesnej twórczości Wierzyński mógłby być uznany mylnie za poetę powietrza. Ileż w „Wiośnie i Winie” i „Wróblach na Dach” wiatrów, wicherów, przestrzeni i wzlotów. Ale Wierzyński nie ma psychicznej lekkości Ariela. Jego lot to nie głęboka identyfikacja psychiczna z czystym, nieodpowiedzialnym, przezroczystym powietrzem, to raczej odbicie się od ziemi w nagłym przypływie sił witalnych, to piękny „skok o tyczce”. Ale skakać umie również Pan, pozostając przy tym bożkiem leśnym:

*„Jest tylko ziemia,
Ziemia przed nami i po nas”.*

mówi nam dziś Wierzyński. Mało kto spośród polskich poetów potrafił podobnie wczuć się w samą jej tkankę: pokrewieństwo twórcy i tworzywa pozwala mu między sobą a ziemią rzucić pomost nowego słowa.

W powojennych wierszach Wierzyńskiego czuć czasem nutę pewnej goryczy. Trudno się dziwić, że ten wiecznie młody człowiek odczuwa nostalgie do tego przedłużenia młodości jakim jest żywy kontakt z następnym pokoleniem. Świadczy o tym melancholijny „Toast”:

*„Poetów wybiera się sobie za młodu
Ale co począc, gdy młodzi są tam,
Postawię to wino na środku stołu,
Zasiądę przy nim z troskami po społu,
Upiję się sam.*

*Niech sobie kogo innego wybiorą,
(Tam są ich tłumy) nie mnie.
Za wasze zdrowie, moi utraceni,
Ten haust czerwonej od ognia jesieni
I czarny osad na dnie”.*

Istnieją jednak paradoksalne kompensaty. Może banalne stwierdzenie, że „życie nie znosi zbyt wielkich wybrańców losu” zawiera w sobie w tym wypadku coś z prawdy. Wierzyński młody, piękny, zdrowy, kochany i sławny nie często był poetą wielkiej miary. Otoczony dziś „zmową milczenia”, żyjący na obcej ziemi, osiągnął wspaniałe twórczą jesień. Jest to oczywiście stwierdzenie retoryczne: gdyż właśnie wygnanie, skupienie, pozwoliło Wierzyńskiemu rozwinąć w pełni swój geniusz poetycki.

Napotykamy również w „Tkance Ziemi” inną skargę: na trudności w pisaniu.

*„365 razy tłukłem głową o mur,
365 razy wiedziałem, że góra urodzi mysz”.*

Mówiąc o nowoczesnej poezji Czesław Miłosz napisał niedawno: „Zakładając, że dziedziną poezji jest rozpaczliwa walka z zasadniczą niekomunikatywnością języka, każdy wiersz należy ze smutkiem nazwać myśłą i samo stękanie góry jest wtedy ważniejsze” (Kultura lipiec-sierpień 1961).

Dziwne na pozór zbliżenie dwóch poetów, mających tak odmienne pojęcie o „sztuce poetyckiej”. Wierzyński-teoretyk po dziś dzień utrzymuje, że poezja to właściwie melodia, Wierzyński-poeta wie już na szczęście, że tak nie jest. Świadczy o tym zartobliwie „Pracownia poety” w „Korcu Maku”:

„Wynieśliśmy z żoną stół pod drzewa,
Bo nagle przyszło mi do głowy,
Że łatwiej byłoby wprost
Z powietrza przepisać jak śpiewa
Nad srebrną kałużą drożd...”.

„Więc piszę. Rysuję drzewa,
Ptaka co skacze (scilicet: śpiewa)
I sosny i klony wysokie i duże,
I drę to wszystko raz, drugi i trzeci,
Sosny wciąż pachną, liść każdy świeci,
A ja papierem zaśmieciam kałuże”.

Wierzyński przestał „śpiewać jak słowik”, a wkroczył w trudną, poważną dziedzinę słowa-poezji. W „Rozmowie z Amerykanką o tłumaczeniu wierszy”, pisze o tym znów żartobliwie:

„Owszem. Ale jakby to zrobić?
I czy w ogóle można tłumaczyć
Tak trudną rzecz jak rośliny?
Każda kwitnie inaczej:
Jednodniowe powoje,
Długotrwałe byliny.

Wszystkie mają oczywiście jakąś nazwę łacińską
Prócz tego jednak angielską, francuską, hiszpańską,
Polską, a w polskiej wierzyńską —
I jakże damy sobie z tym radę?
Trudno przecież przy tych różnicach
Przesadzać w grządkach, inspektach, domicach
Tę samą rozsądę”.

Do przedwojennej poezji Wierzyńskiego będą często powracać historycy literatury. Mało kto tak precyzyjnie świadczy o swoim czasie. „Laur Olimpijski” pozostanie na przykład klasykiem pewnej epoki i pewnego stylu — neoklasycyzmu z lat trzydziestych. Ale myślę, że w poezji polskiej pozostanie Wierzyński powojenny, dziś w pełnym twórczym rozwoju. Wiersze Wierzyńskiego w ostatnim numerze *Kultury* „Ogrodnicy”, „Melo-dramat”, „Emily Dickinson” są dowodem młodości, bardziej przekonującej od biologicznej młodości, którą się tak cieszył poeta w „Wiosnie i Winie”: młodości twórczej, wzbogaconej przez doświadczenie.

K. A. JELEŃSKI

Podłoże historyczne gospodarki francuskiej

Z góry proszę czytelników o łaskawą wyrozumiałość. Nie ma tezy ekonomicznej, która nie byłaby sporna. Nawet przeszłość może być rozmaicie interpretowana: dotąd zdania są podzielone, jeżeli chodzi o ustalenie przyczyn Wielkiego Kryzysu, czy, jak nasi zamerykanizowani rodacy go nazywają, Wielkiej Depresji. Nie ma też teorii, poglądu, który by nie był po stokroć wypowiedziany. Miejsca na nowe, rewolucyjne poglądy gospodarcze jest w ekonomice równie mało, co na nowe koncepcje w dziedzinie teologii. Relatywizm, zwany często w Ameryce pragmatyzmem, dominuje dzisiaj nad frontem ekonomicznym, tak samo jak za-panował nad fizyką. Wydaje mi się, że zarówno *Homo Oeconomicus* klasyków, jak jeszcze bardziej proletariusz czy członek społeczeństwa klasowego Marksa byli tylko uproszczeniami, nawet pożytecznymi dla wyjaśniania pewnych zjawisk współczesnych, ale poza tym obaj należą do dziedziny mitologii. Te mity, podniesione do rangi rzekomych (a w rzeczywistości w ogóle nie istniejących) „praw ekonomicznych”, wyrządziły nam nieopisane krzywdy i spowodowały katastrofy, gdy ludzkość próbowała rozwiązać trudności lat trzydziestych za pomocą deflacyjnych teorii pieniężnych Ricarda, czy dziś jeszcze, kiedy trzecia część ludzkości upiera się widzieć w dość trafnej analizie sytuacji ekonomicznej w Anglii w drugiej połowie XIX wieku, dokonanej przez Marksa, jakieś prawidłowości czy nawet metafizyki o ponadczasowym i uniwersalnym zastosowaniu. Życie ekonomiczne jest wielorakie: tylko nieznaczną jego część możemy uchwycić za pomocą procedurów statystycznych, jeszcze bardzo niedoskonałych. Wyciągać z tych fragmentarycznych danych jakieś recepty czy nauki niepodlegające dyskusji, jest szczytem zarozumiałstwa i lekkomyślności. Co najwyżej możemy opierać się na „prawach” wielkich liczb, możemy co najmniej twierdzić, że w danym kraju, w danym momencie takie, a nie inne środki polityki gospodarczej wydają się nam wskazane. Ale stąd do gło-

szenia uniwersalnych doktryn, coś dopiero metafizyki, jest nie-
 zmiernie daleko. Wydaje mi się, że nikt dzisiaj nie jest w stanie
 przewidzieć, jaka polityka gospodarcza będzie wskazana w roku
 Dwa Tysiące; wydaje mi się, że dzisiaj nie podobna nawet do-
 myśleć się błędów, które następne pokolenie będzie uważać za
 oczywiste, gdy zajmie się analizą postępowania dzisiejszych rzą-
 dów. W 1956 roku opinia zarówno rządzących, jak i rządzonych
 była pod wrażeniem braku (*shortage*) węgla i grożącego braku
 (*shortage*) nafty: nikt nie przewidywał, że ten *shortage* zamieni
 się w ciągu roku w nadmiar, w nadwyżki, z którymi rządy mu-
 szą się porać po dziś dzień, być może, porać się będą musiały
 dalej przez dziesięciolecie. Z grubsza, zarówno klasycy, jak i
 socjaliści wszelkiego typu nie przewidzieli olbrzymich przewro-
 tów technicznych, ani też stopnia ich wpływu na przebieg wypad-
 ków gospodarczych. Poza walką klas czy stopą procentową,
 poza inflacją i deflacją, poza ceną złota i *gold-exchange standard*,
 zjawiska nie podejrzwane przez Marksa tak samo jak i przez
 Stuart Milla, jak np. choćby zjawienie się maszyny do pisania,
 samochodu, nowych źródeł energii, materiałów zastępczych, re-
 wolucji w technice agrarnej i w transporcie, zaważyły decydująco
 na współczesnym obrazie ekonomicznym świata. Gdyby nie szyb-
 ki postęp techniczny, wszystkie prawa ekonomiczne wyglądałyby
 zupełnie inaczej. Czy mamy pewność, że ten postęp będzie
 możliwy do utrzymania? Czy mamy pewność, że wzrost
 dochodu społecznego będzie zawsze ważniejszy od jego po-
 dziła (jak to ma miejsce z całą pewnością dzisiaj)? Czy
 wiemy, w którym punkcie zjawiska gospodarcze, a więc np.
 wzrost stopy życiowej, zaczynają decydująco wpływać na zjawiska
 polityczne, a więc na stosunek ras między sobą? Czy wiemy,
 w którym punkcie ludzkość przestanie się interesować dalszym
 wzrostem stopy życiowej i konsumpcji osobistej, a więc mno-
 żeniem dóbr konsumpcyjnych? Czy tym bardziej możemy z pew-
 nością twierdzić, w którym punkcie przesyty konsumpcyjny staje
 się dla rozwoju intelektualnego i moralnego ludzkości szkodliwy?
 Czy możemy wiedzieć, w którym punkcie rozwój potencjału gos-
 podarczego, a więc *ex definitione* potęgi politycznej, przestanie
 być celem, wzbudzającym entuzjazm i poparcie szerokich mas
 danego kraju i państwa? Wydaje mi się, że wszystko co możemy
 powiedzieć na temat rozwoju ekonomicznego musi być niezmiernie
 tentative, nieśmiało, że poza tym musimy się liczyć z
 podstawową charakterystyką naszych czasów, a mianowicie z
 nieprawdopodobnym tempem ewolucji zjawisk i faktów. Francja
 chciała opanować Saarę, bo uważała węgiel za fundament nie-
 podległości i potęgi gospodarczej: w ciągu 10 lat, polityka, która
 miała sens i logikę w 1945, stała się pełnym anachronizmem.
 Francja dzisiaj pragnie zachować Saharę, jako źródło nafty i
 gazu ziemnego. Znowuż, w świetle naszej dzisiejszej wiedzy o
 źródłach energii i ich rozmieszczeniu, polityka ta wydaje się
 jak najbardziej uzasadniona. Ale czy za 10, za 20 lat sytuacja
 ta się nie odwróci? Czy wówczas nowe, obfite złoża nafty i gazu

ziemnego nie będą odkryte w samej metropolii, względnie czy
 energia atomowa nie osiągnie w tym czasokresie takiego roz-
 woju, iż wszystkie inne, źródła energii będą już za parę dzie-
 siątków lat równie szczątkowe, jak torfowiska czy opał drze-
 wem? Nie pretenduję do nieomyślności, i nie będę miał do ni-
 kogo pretensji, jeżeli wszystkie me wywody podda druzgocącej
 krytyce. Nienawidzę tylko apodyktyczności naszych ekono-
 mistów: zarówno marksiści (ci przede wszystkim), jak i ich prze-
 ciwnicy mają tendencję do głoszenia wiecznych prawd, prawd
 niezmiennych, jakby posiadali klucz do wieczystych tajemnic.
 Obyż w dziedzinie ekonomiki wolno nam było przynajmniej mieć
 własne zdanie, i zdanie to bez obsłonek i ogródek wypowiadać.



Trzy kraje są odpowiedzialne za 60% produkcji Zachodniej
 Europy: Anglia, Francja i Niemcy Zachodnie. To znaczy, te
 trzy kraje dominują nad Zachodnią Europą, i decydują o jej
 standingu gospodarczym. Włochy się zbliżają do tej Wielkiej
 Trójki, ale jeszcze im dość daleko do ich cyfr produkcji, obro-
 tów, kapitalizacji i spożycia. Tak więc, badania nad krajami
 nawet tak bogatymi, jak Szwajcaria, mogą być zajmujące, ale
 nie mogą nam przesłaniać zasadniczej konfiguracji Europy.

Z tych trzech krajów Anglia zajmowała pierwsze miejsce od
 bitwy pod Waterloo po rok 1955, choć, w latach 1910-1914 była
 bardzo bliska do ustąpienia tego pierwszego miejsca rywalowi
 niemieckiemu. Anglia była znowuż bliska do oddania tego pry-
 matu Niemcom w latach 1936-39, ale wówczas mogła się slusz-
 nie pocieszać myślą, że ówczesna ekspansja Niemiec była oparta
 na inflacji i na autarkii, więc na momentach sztucznych, że więc
 z chwilą powrotu do warunków normalnych Niemcy muszą prze-
 żyć kryzys i cofnąć się w hierarchii państw i mocarstw. Tak by
 się zapewne stało, gdyby do wybuchu wojny w 1939 r. nie
 doszło. Od 1955 roku, sytuacja jest o tyle radykalnie inna (i tym
 bardziej dla Anglii groźna), że obecna ekspansja ekonomiczna
 Niemiec odbywa się na podstawie zdrowszej od tej, na której
 opiera się dzisiaj Anglia: śladu inflacji w Niemczech nie ma, nie
 ma też śladu autarkii, przeciwnie handel zagraniczny Niemiec
 wyprzedził obroty angielskiego eksportu. Jako rynek finansowy
 Anglia wciąż jeszcze góruje nad Niemcami, ale ten awantaż
 może się skończyć lada rok, a w razie (prawdopodobnej) dewa-
 luacji funta skończy się natychmiast: i wówczas marka niemiecka
 stanie się, obok dolara, drugą wielką walutą „rezerwową” wol-
 nego świata (a nawet i niewolnego, bo Sowiety zaczną wówczas
 skupować marki, tak jak dzisiaj skupują funty dla potrzeb swego
 handlu zagranicznego).

Francja zajmowała pierwsze miejsce w gospodarce europej-
 skiej do końca 18 wieku, to znaczy tak długo, jak długo wyży-
 wienie stanowiło 80% prywatnej konsumpcji ludności, a więc
 rolnictwo było naczelną działalnością gospodarczą ludzkości. Gdy

powstały fabryki, nastąpiła zrazu powolna, później, po roku 1830, po rozpowszechnieniu kolei, szybsza ewolucja. W tej rozbudowie przemysłu, a co za tym idzie, w rozbudowie handlu zagranicznego i bankowości, Francja nie dotrzymała Anglii kroku. Co było powodem tego podstawowego dla francuskiej historii gospodarczej opóźnienia? Historycy wysuwają różne hipotezy, w których jest naturalnie zawsze pewna doza prawdopodobieństwa: nieszczęściem ekonomistów jest to, że nie mogą oni zjawisk gospodarczych izolować, jak to czynią ze zjawiskami naturalnymi fizycy, stąd muszą się gubić w hipotezach. Niektórzy uważają chronologicznie późniejszy start Francji za czynnik decydujący. Chyba nie, bo Niemcy zaczęli jeszcze później, niż Francuzi, a lepiej niż Francja nadrobili stracony czas i koło roku 1910 dołapali Anglię, czego Francja nigdy nie dokonała. Inni podkreślają zanik francuskiej prężności demograficznej w 19-ym wieku. Ten argument wydaje się bardziej przekonujący, ale można zagadnienie odwrócić: czy spadek stopy urodzeń we Francji nie był właśnie związany z jej zbyt słabym, zbyt powolnym rozwojem przemysłowym? Osobiście, przechyłam się do tej drugiej teorii: chłop nie chciał dzielić kawałka ziemi, a w sąsiednim miasteczku nie widział zatrudnienia dla dalszego potomstwa, więc je ograniczał. Podstawową przyczynę tego względnego zacofania Francji w rozwoju przemysłowym 19-go wieku upatrywałbym w braku źródeł energetycznych. Bez energii nie ma przemysłu. Jest to prawdą i dzisiaj — coś dopiero w 19-ym wieku, gdy narzędzia, inwestycje etc. były o tyle bardziej prymitywne. Francja nie miała węgla w tych ilościach, w jakich rozporządzały nim Anglia i Niemcy, później także Belgia, Stany, Rosja. Kraje równie czy bardziej ubogie, co Francja, jeżeli chodzi o źródła energetyczne, wykazywały podobną anemię i zacofanie w rozwoju przemysłowym: wymienimy choćby Niderlandy. Szwajcarię, Austro-Węgry, Włochy przede wszystkim. Dopiero w 20-ym wieku zjawiają się nowe źródła energii, a więc energia wodna, która zmienia radykalnie oblicze Szwajcarii, przedtem żyjącej niemal wyłącznie z sera, czekolady i turystów, a teraz z potężnego koncernu przemysłowego, więc ropa naftowa, więc ostatnio gaz ziemny. Ten punkt jest niezmierznie ważny. Jeżeli względnie powolne tempo uprzemysłowienia Francji w 19-tym wieku miało swe źródło w braku surowców energetycznych, to dzisiaj ten powód powinien odpaść: i Francja, która ma i zwiększone o 50% wydobycie własnego węgla, i wodę Alp i Pirenei, i ropę, i gaz Sahary, nie mówiąc o perspektywach atomowych, powinna mieć wszelkie szanse prześcignięcia i Anglii i Niemiec: oba te państwa są uboższe w zasoby wodne, w ropę i gaz od Francji. Obyż tak więc było.



Obok braku surowców energetycznych, powolnego tempa uprzemysłowienia i słabej ekspansji demograficznej, czwartym

naczelnym rysem Dziewiętnastowiecznej Francji była *stałość* Franka. Nie podobna przeceniać znaczenia tego czynnika. Frank został stworzony dekretem Napoleona i wszedł w obieg w dniu 1-ym września 1804, na trzy miesiące przed koronacją Imperatora. Przywitany nieufnie i niechętnie, frank francuski okazał się najmocniejszą, najpewniejszą walutą europejską; przez sto dzieść lat, do wybuchu wojny 1914 roku kurs franka nigdy nie sięgnął, i to pomimo tyłu rewolucji, zmian ustroju, kryzysów ministerialnych i wojen. Nawet katastrofa pod Sedanem i Komuna Paryska nie zdołały zachwiać kursem franka. Cóż więc dziwnego, że Francuzi zaczęli mu przypisywać walory metafizyczne, ponadnaturalne, że stałość waluty wgrzyła się w sam rdzeń myśli francuskiej, i wywarła największy wpływ nie tylko na życie ekonomiczne, ale i na psychologię czyli duszę narodu. Pamiętamy, że nawet funt angielski wykazywał po wojnach napoleońskich poważne *disagio*, i odzyskał swój parytet dopiero po wejściu w życie *Banking Act* z 1844 roku. Tak więc frank zachował niezmienny parytet przez 40 lat dłużej, niż funt: a jak wyglądały inne europejskie waluty? Niemcy ustabilizowały Reichsmarkę dopiero po wojnie 1870 roku, Austria potrafiła ustabilizować koronę dopiero za Dunajewskiego w latach dwudziestych, a Rosji udało się to dopiero za hr. Witte w początku XX wieku, zresztą tylko dzięki pomocy francuskiej. Bez tej fenomenalnej stałości franka, Francja nie przeżyłaby bezkarnie tylu przewrotów. Ale ta fenomenalna stałość sprawiła, że Francuzi zatracili poczucie związku między pieniądzem a produkcją. Finanse stały się we Francji pojęciem oderwanym od życia gospodarczego, stały się swoistą magią, oderwaną od ekonomiki. Poincaré uchodził za wielkiego znawcę finansów, a o ekonomii nigdy nie miał najmniejszego pojęcia. Co gorsze, ta fenomenalna stałość pieniądza skłoniła Francuzów do biernego stosunku do pieniądza. Przedsiębiorca stał się osobą drugorzędną, na pierwsze miejsce wysunął się rentier i wierzyciel. Francja stała się krajem o umysłowości rentierskiej. A mentalność ta nie jest zbyt odległa od umysłowości emerytalnej. Starzenie się społeczeństwa jeszcze bardziej sprzyjało tej ewolucji.

Francuz stał się nie *businessmen'em*, ale ciulaczem. Stał się tezauryzátorem. Stał się wielkim wierzycielem zagranicy. My, Polacy, wiemy z bolesnych międzywojennych doświadczeń, jak trudno być dłużnikiem. Ale trudno także być wierzycielem. Dzisiaj widzimy ciągle, jak ci wierzyciele dostają w skórę. Dzisiaj rynek obligacyjny międzynarodowy tak dobrze jak nie istnieje. Nawet na Wall Street nikt, poza chyba Szwajcarią, nie potrafi emitować obligacji na 30 czy 50 lat na 5% rocznie, i to po kursie nominalnym. Pożyczek udzielają dzisiaj rządy, banki i fundusze międzynarodowe, koncerny swym filiom, kredyty krążą w postaci nabywania akcji i otrzymywania koncesji. Pożyczki wreszcie otrzymują najbogatsi, w postaci magazynowania rezerw krajów, posługujących się *gold-exchange standard*. W Stanach Zjednoczonych kraje europejskie i Japonia ulokowały

protekcjonizm, ograniczanie potomstwa, umysłowość rentierska, plasowanie kapitałów zagranicą (akcje *Compagnie de Suez* stały się ulubioną lokatą francuskiego *père de famille*, a nie metropolitalne akcje stali, jak de Vendel, nie chemiczne, jak St. Gobain, czyż można dalej posunąć obłęd?), stagnacja przemysłowa — wszystko to dało obraz społeczeństwa, pogrążonego w kwietyzmie, w sybarytyzmie, o znacznie słabszym poczuciu socjalnym, niż Niemcy, a nawet może Anglia, o bardzo słabym rozumieniu zjawisk gospodarczych. Podczas gdy rządząca prawica — bo wbrew mylnym etykietom prawica rządziła we Francji bez przerwy od 1870 do 1914 roku — marnotrawiła w ten sposób wrodzone bogactwo kraju, pracowitość i oszczędności ludności, lewica nie potrafiła znaleźć żadnych innych tematów godnych jej uwagi poza klerykalizmem i aferą Dreyfusa, co z losem i stopą życiową robotnika francuskiego (a o nią powinno było uczciwym lewicowcom chodzić) miało związki tylko bardzo dalekie.

Nie można dość dużego położyć nacisku na spustoszenia, które wyrządził Francji protekcjonizm celny. Protekcjonizm ten wżarł się głęboko w mentalność Francuzów, rządów, urzędników, robotników, a przede wszystkim chłopów. Naturalnie, ciągłotki w kierunku protekcjonizmu są wspólne chłopom na całym świecie: np. chłop bawarscy są też wrogami każdego otwierania granic nawet dla pomarańczy, których przecie sami sadzić nie mogą. Ale chłop francuski pobił wszystkie rekordy w chorobliwej nienawiści do wolnego handlu, w żądaniu protekcji, ceł, zakazów przywozu, dyskryminacji, szykan administracyjnych, ulg, subwencji etc. Protekcjonizm jest być może głównym powodem zacofania przemysłu francuskiego, wsi francuskiej, rolnictwa francuskiego w stosunku do rolnictwa niemieckiego, holenderskiego, duńskiego, jest też głównym motorem interwencjonizmu państwa, machlojek, przekupstwa, korupcji, degradingolady moralności zawodowej. To jest wielki i nieznosny garb, który Francja musi nosić na grzbiecie. Protekcjonizm rodzi w końcu inflację, prowadzi bowiem do zwyżki cen, i do dyskrepancji poziomu cen Francji i zagranicy. Protekcjonizm zagraża walucie, i on w końcu rozsądził imperium francuskie: dzięki murom wysokich ceł i zakazów przywozu, i reglamentacji handlu zagranicznego, i kontyngentom, i utrudnieniom osiedlania się obcych firm — życie ekonomiczne w Algierii, w Tunisie, w Dahomeju, w Gabonie, w Indochinach, w Gwinei, w Djibuti etc. kształtowało się latami anemicznie, jak w kropłomierzu, i w końcu doprowadziło do wybuchu. Oczywiście tutaj antycypuję: do 1914 r. rozwój kolonii francuskich był spóźniony bardziej z powodu manii inwestowania kapitałów wszędzie, tylko nie we własnych koloniach. Ale protekcjonizm jest, obok maltuzjanzizmu, może najgorszym legatem III republiki sprzed 1914 roku, tak jak najgorszym legatem jej ostatnich dwudziestu lat 1919-1939 był stan permanentnej inflacji.

W każdym razie zamożność i dobrobyt Francji w 1914 roku były w dużej mierze blichтром, i kryły wielkie niebezpieczeństwa na przyszłość. Z tymi niebezpieczeństwami Francja się nie upo-

rała w ciągu lat międzywojennych, z którym to okresem musimy się teraz jak najkrócej zapoznać.

Okres międzywojenny był pod względem gospodarczym — a zresztą i każdym innym, ale to inna sprawa — najsmutniejszym okresem w historii Europy chyba od średniowiecza. Relatywna jedność ekonomiczna Europy, która była faktem do 1914 r., została zniszczona i nikt nie pragnął jej odbudować: więcej, przy każdej trudności Europejczycy mnożyli bariery i mury, szukali ratunku w niemożliwej i zabójczej autarkii. Jedność walutowa Europy, która w 1914 r. osiągnęła poziom nieznanym nawet dzisiaj, zniknęła faktycznie, ale, co gorsza, ludzie tego nie rozumieli: stąd deflacja, jako próba przywrócenia sztucznej stałości monetarnej w świecie, który przeszedł od współpracy do wojen gospodarczych, od wolnego handlu do ultra-protekcjonizmu. Alianci upierali się przy uzyskaniu od Niemiec monetarnych odszkodowań w wysokości 132 miliardów marek złotych: było to absurdem choćby z prostego powodu, że tyle złota monetarnego nie było wówczas w ogóle na świecie. Już polityka rabunku towarów, aranżowana przez Sowiety w 1945 r., była bardziej realistyczna. Anglia i Francja, jako dwa czołowe kraje zwycięskie, wykazały maksimum egoizmu i krótkowzroczności w stosunku do pozostałej Europy, zarówno wrogów, jak i aliantów: tym ostatnim nie dano ani rynków zbytu, ani kredytów, ani pomocy technicznej, ani kapitałów inwestycyjnych, które wówczas popłynęły szeroką falą do Kanady, do Australii, do Rodezji, do Płd. Afryki, nawet do Chin, do Maroka — wszędzie tylko nie do Włoch, do Austrii, do państw sukcesyjnych. Francja miała niby to budować Europę, a swe kapitały (co prawda po bolesnych doświadczeniach z *fonds russes* przed wojną) lokowała tylko w Szwajcarii, w Anglii, w Stanach, w Belgii. Dawała swym biednym aliantom w Europie Środkowej tylko kredyty wojskowe: dzisiaj, na szczęście, Stany Zjednoczone rozumieją, iż broni aliantom można dostarczać tylko tytułem darmym, nigdy nie wolno robić z tych dostaw transakcji handlowo-finansowych. Od 1919 do 1939 nie można chyba zanotować w Europie ani jednego posunięcia gospodarczego, które byłoby rozumne i celowe. Stany pogłębiały czynniki działające ujemnie, domagając się spłaty długów wojennych, co znowu było szczytem obłędu. Do tego dodajmy ciągle podnoszenie ceł, co zrujnowało handel światowy.

Francja została w tym okresie uderzona szczególnie ciężko. Miała wydatki i straty wojenne większe niż inne państwa: pokrycie tych wydatków bez daniny majątkowej było niemożliwością: i, jak to zwykle bywa, Francja zdecydowała się daninę tę pobrać w formie możliwie najgorszej — w formie podatku inflacyjnego. Podatek ten jest najgorszy, bo niesprawiedliwy: w ten sposób koszty wojny i odbudowy ponieśli rentierzy w formie stopnienia

ich dochodów i kapitałów, robotnicy, w formie zniżki płac realnych. Zubożenie burżuazji, drobnej burżuazji (bo rekiny zawsze uratują swój kapitał, wywożąc go zagranicę, czy kupując walory realne a niepieniężne) doprowadziło do wzrostu nastrojów szowinistycznych i pro-faszystowskich we Francji w stopniu nieznanym od czasów Boulangyizmu, i to właśnie w chwili, gdy Francja powinna była zrobić wysiłek nad budową Europy, francuskiej ale Europy. Spadek płac realnych wywołany inflacją, wpędził znaczną część klasy robotniczej (a nie propaganda moskiewska) w ramiona partii komunistycznej, a klimat socjalny we Francji stał się najgorszy w Europie. To dziw, że we Francji nie wybuchła w latach międzywojennych wojna domowa.

Inflacja stoi u źródła wszystkich symptomów dekadencji Francji między obu wojnami. Ona spowodowała niestaość rządów, zdenerwowanie i niezadowolenie rządzących, spadek międzynarodowego znaczenia Francji, niepokój socjalny, dalszy spadek rozrodczości, zanik patriotyzmu, kurczenie się handlu zagranicznego. We Francję uderzyły równocześnie dalsze nieszczenia. Przede wszystkim deflacja, która uzupełniła szkody, których inflacja nie zrobiła. Inflacja w pierwszych latach po wojnie 1914-1918 r. była prawdopodobnie nieunikniona: ale gdy Poincaré ustabilizował franka w 1926 r. na poziomie jednej piątej jego przedwojennej wartości, proces koniecznego zmniejszenia ciężaru długu wewnętrznego był już plus minus zakończony. Niestety, przyszedł kryzys lat trzydziestych. Gdyby go nie było, Francja zaznałaby może okresu pewnego spokoju i stabilizacji, stosunki by przypominały stosunki z ostatnich lat przed wojną, Francja nie stałaby się leaderem Europy, ani też dominującą potęgą przemysłową kontynentu, ale uniknęłaby frontu ludowego, *pagaille* lat 1936-39 i katastrofy 1940 roku. Niestety, nie po raz pierwszy i nie ostatni, Francuzi zapłacili straszną cenę za swą ignorancję podstawowych zjawisk ekonomiki. Pomieszczeni parytet kruszczywo franka Poincaré'ego ze stałością cen — parytet walutowy jest urządzeniem technicznym, które w razie potrzeby, oczywiście możliwie najrzadziej, może być adiustowany w dół czy w górę (jak np. ostatnio marki niemieckiej), natomiast stałość cen jest postulatem absolutnym: nie ma i nie może być większego dobra ekonomicznego, niż stałość cen. Francja powinna była dewaluować razem z funtem w roku 1931: wówczas uniknęłaby najgorszych trudności deflacyjnych, i wyszła z kryzysu na wpół obronną ręką, jak Wielka Brytania. Nikt tego we Francji nie rozumiał, i Francja zmarnowała 6 lat, pokój socjalny, rozwój gospodarczy na bezsensowną „obronę franka”, głównie z rzekomych względów prestiżowych. Prestiż skończył się niewątpliwie w chwili dojścia frontu ludowego do władzy, a szkody, to znaczy stagnacja, anemia, ucieczka kapitałów i nastrojów wojny domowej pozostały. Reforma walutowa Bluma była najgorzej i najgłupiej przeprowadzoną dewaluacją w dziejach Francji. Zaraz potem musiała przyjść druga. W rezultacie, po 120 latach fenomenalnej stałości monetarnej, Francja między wojnami NIE

MIAŁA pieniądza, nie miała waluty, nie miała franka. Straszny i groźny stan rzeczy. Toteż w tym okresie Francja nie miała eksportu kapitału, co jest źródłem bogactwa i siły, ale ucieczkę kapitału, co jest oczywiście symptomem upadku i dekadencji.

Były i inne klęski, które w tym ponurym okresie spadły na Francję. Francja jest krajem produkującym artykuły zbytku, krajem drogiego turystyki i krajem nadwyżek rolniczych. Stąd potrzebowała jak najmniej tych aliantów, których po wojnie znależła w środkowej Europie: krajów biednych, rolniczych i egalitarnych. Już Rosja carska ze swym nieprawdopodobnie nierównym podziałem dochodu społecznego była lepszym klientem dla francuskiego hotelarstwa, restauracji, *poules de luxe* etc.: tak jak za naszych czasów Egipt Faruka dostarczał Francji nielicznego, ale najbardziej rentownego kontynentu turystów zagranicznych, oraz wspaniały rynek zbytu dla *articles de Paris*, a Egipt Nasser'a nie daje jej nic! Francja idzie w górę, gdy świat przeżywa okresy wysokiej koniunktury, i gdy warstwy bogate przyzwoicie stają się coraz bogatsze: socjalizm i wysokie podatki są, w skali światowej czy europejskiej, wielkim wrogiem Francji. Dzisiaj mamy w Europie *Hochkonjunktur*, i automatycznie Francja tę koniunkturę odczuwa: np. eksport perfum paryskich wzrósł o blisko 100% w ostatnich trzech latach do blisko pół miliarda NF rocznie. Tak samo ostatnio eksport tekstyliów francuskich wzrósł do rekordowego poziomu 3 miliardów NF rocznie. Międzywojenny okres zubożenia klas posiadających stał się dodatkowym powodem katastrofy Francji.

I wreszcie polityka angielska zadała Francji szalony cios w latach międzywojennych. Niepisanym warunkiem *Entente Cordiale*, której ostateczny bilans jest dla Francji ujemny, był eksport francuskich artykułów rolnych i luksusowych do Anglii, turystyka angielska do Francji oraz import taniego węgla angielskiego do Francji. W 1932 r. Anglia przeszła do protekcjonizmu imperialnego, i uprzywilejowała pszenicę kanadyjską, cukiermu imperialnego, i uprzywilejowała pszenicę kanadyjską, cukier trzcinowy z Jamajki, owoce, z pld. Afryki, nawet wina imperialne, a więc np. sikiacz australijski. Był to dla paysanów francuskich cios, na którym rozbiła się duchowa *entente cordiale*, już długo przed 1940 r. Wzrost rasizmu i nacjonalizmu w Anglii sprawił, że lordowie i małpujący ich *businessmen* zaczęli spędzać zimę na Bahamach i Bermudach, w Indiach Zachodnich i w Rodezji, w Egipcie czy nawet w Szkocji, a rzadko zaważać o Paryż i Riwierę. Wreszcie węgiel angielski stał się drogi, bo Anglicy nareszcie musieli płacić lepiej swym nieszczęsnym górnikom. Trzy ciosy bardzo dotkliwe.

Dodajmy do tego ciężar zbrojeń, dodajmy do tego niemożliwą sytuację polityczną. Francja nie może sama rządzić Europą Zachodnią (Wschodnia jest, dla nas niestety, właściwie innym kontynentem), może nią rządzić na spółkę z Niemcami czy z Anglią. Założeniem zwycięstwa 1918 r. było, że Anglia będzie z Francją kolaborować dalej i jak najściślej. Tymczasem Anglia sabotowała każdą inicjatywę francuską. Francuzi przekonali się,

jeszcze bronić Algierii, jak to robił Mollet, wypowiadać wojnę Egiptowi, jak onże zrobił, i do tego utrzymywać sztuczny i nie-realny kurs franka. Jak się to może skończyć, jak nie inflacją? Nigdy ceny francuskie tak nie szły w górę w ostatnich latach, jak właśnie za rządu Molleta. W rezultacie, ofiarą jego rządów stał się nie tylko frank, ale i rządy parlamentarne. Te rządy nie mogą wytrzymać inflacji na dłuższą metę, albowiem inflacja wzmacnia zawsze tendencje skrajne, i na prawicy, i na lewicy, i w końcu musi doprowadzać do rządów autorytatywnych. Warunkiem rządów parlamentarnych jest unikanie inflacji, to znaczy liberalizm i parlamentaryzm mogą istnieć tylko w klimacie stałych cen. I deflacja, i inflacja prowadzą do wstrząsów, których normalne partie i rządy koalicyjne nie wytrzymują, tak że narody szukają wielkich ludzi, zbawców. Dobrze gdy się tacy znajdują, ale o ileż częściej nieszczęsne ludy dostają się w ręce szarlatanów?

Od dojścia de Gaulle'a do władzy, a zwłaszcza od pamiętnych reform Pinaya z końca 1958 roku era inflacji jest we Francji zamknięta. Zawrotna zwyżka cen osłabła, a w pierwszym półroczu bieżącego roku zwyżka cen hurtowych nawet ustała. Trwa nadal, ale dużo powolniejsza zwyżka kosztów utrzymania; w roku 1959 wyniosła ona 9%, w roku ubiegłym 4 i pół procent, w pierwszym półroczu 1961 nie doszła nawet do 2%. Czy można uważać inflację za definitywnie zażegnana, czy też musi być uważana nadal za niebezpieczeństwo nr 1, czy wszystkie siły muszą być przeciw tej hydrze nadal mobilizowane? Jest skończona, mówią ekspansjoniści z UNR, pp. Chalandon, Chaban-Delmas i inni, a wtóruje im cała lewica. Nie, mówił Pinay, a dzisiaj Baumgartner, plus inni ministrowie, którzy jednak nie mają ani kalibru, ani znaczenia obu Wielkich Podskarbach. Oto pytanie, które wydaje mi się fundamentalne dla Francji, a nie sprawa „planowania”, które wydaje mi się fetyszem lewicy i tzw. postępowców, konikiem, a nie programem, pomieszaniem pojęć: tak jak na prawicy pomieszano stałość kursu franka wobec złota czy dolara, co jest problemem technicznym, ze stałością cen, co jest fundamentalnym problemem gospodarki narodowej, tak na lewicy gadanina o planowaniu przesłoniła fundamentalny problem inflacji.

Przy tej sposobności powiem parę słów o planowaniu. Trzeba rozróżniać dwie zasadnicze różne rzeczy: planowanie techniczne i planowanie ekonomiczne. Planowanie techniczne jest absolutnie konieczne, i musi być stosowane przy każdym systemie gospodarczym. Nikt nie planuje równie dokładnie i na tak długą metę, jak kartele stalowe: można co roku czytać, nawet w prasie codziennej, plany karteli angielskich, niemieckich, francuskich globalnej produkcji surowki, stali, wyrobów walcowanych i nawet stali specjalnych, nie tylko na rok 1970.

ale i 1980. I te plany są realizowane w 100%. Ale w Ameryce obecna zdolność produkcyjna przemysłu stalowego jest dzisiaj wyzyskana tylko w 50%. To już jest planowanie ekonomiczne, wyzyskana zdolność produkcyjna przemysłu stalowego jest dzisiaj wyzyskana tylko w 50%. To już jest planowanie ekonomiczne, czyli przepowiadanie przyszłych potrzeb. To będzie zawsze wątpliwe, nawet gdy państwo stosuje przymus. Jeżeli przymusu nie ma, marża błędów będzie, albo może być, jeszcze większa. Moglibyśmy naprawę planować ekonomicznie tylko wtedy, gdy byśmy mogli odgadywać przyszłość. Im szybciej zmienia się technika, tym trudniejsze i bardziej zawodne jest to planowanie. Francja wpakowała przeszło miliard dolarów w naftę saharijską. Będzie to czysta strata, jeżeli złoża nafty w Parentis nagle okażą się nowym Texasem. Będzie to strata, jeżeli gaz ziemny zastąpi ropę, jako źródło energii. Będzie to strata, jeżeli energia atomowa, dzięki nowym postępom technicznym, potanieje czterokrotnie i wyprze nie tylko węgiel, ale i ropę.

Inny przykład: *Gaz de France*, wykrywszy gaz ziemny w Lacq, szybko wybudował gazociąg do Paryża, by dla tego nowego paliwa znaleźć rynki zbytu. Gaz okazał się niesłychanie popularny. Nie ma go dość dla wszystkich potencjalnych konsumentów. Okazało się, że gazociąg do Paryża opóźnia potrzebą z innych względów decentralizację przemysłu. Rząd francuski ograniczył dostawę gazu ziemnego do elektrowni w rejonie paryskim, zabronił sprzedawania tego gazu fabrykom prywatnym.

Czy należy rozbudować dalej przemysł samochodowy w Zachodniej Europie, czy też ta wzmożona produkcja nie znajdzie nabywców? Któż może trafnie obliczyć wszystkie czynniki, które wchodzi w grę? Czy Europa nie będzie produkować za dużo stali? Czy przede wszystkim Europa nie rozbudowała za dużo produkcji rolnej? Któż będzie w stanie pożreć i zeżreć całą tę pszenicę, nabiał, cukier, mięso, warzywa, owoce, konserwy, których w Europie z każdym rokiem przybywa? I przecież krajom zafocanym trzeba dać jakieś rynki zbytu? Cóż może Nigeria czy Argentyna eksportować do Europy poza owocami rolnymi? Samoloty? Maszyny precyzyjne? Materiały optyczne?

Planowanie jest frazezem. Planista musi być dyktatorem, albo może być tylko skromnym ekspertem, doradcą: ale w takim razie nie można planowaniu przypisywać decydującego czy nawet wielkiego znaczenia. Planowanie bez przymusu jest ćwiczeniem umysłowym, któremu się oddaje każdy polityk gospodarczy. Ba, każdy publicysta, który zaleca pewną politykę gospodarczą, też planuje na swój sposób. Planowanie — to jest system priorytetów: to trzeba zrobić naprzód, tamto później. Któryż minister, któryż przedsiębiorca nie pobiera co dzień podobnych decyzji? Jeżeli nie będziemy naginać życia do planów, jak to robią komuniści, zbył, a więc w ostatecznym rachunku i produkcja, muszą być regulowane przez rynek.

I jeszcze jedno. Podstawą planowania muszą być stałe ceny. Bez nich żadne obliczenia nie są możliwe, wszystkie są

dowolne, wszystkie są chodzeniem po omacku. Inflacja uniemożliwia jakiegokolwiek planowanie, nie tylko dobre. Inflacja zwiększa łańcuch pośrednictwa, ułatwia ewazję podatkową, demoralizuje handel, ukrywa prawdziwy obraz gospodarczy, prowadzi do dekapitalizacji, a nade wszystko ułatwia fałszywe i szkodliwe inwestycje.

Wydaje mi się, że dzisiaj panuje *consensus* opinii zachodniej iż nie w planowaniu i nie w stałości waluty (jakkolwiek ta pozostaje niezmiernie pożądana) trzeba szukać klucza do dobrobytu, czyli do stałej, nieprzerwanej ekspansji, lecz w następujących czynnikach: 1) stałość cen, 2) wzmacnianie konkurencji, zwłaszcza przez obniżanie barier celnych, 3) wysokie inwestycje, naturalnie możliwe celowe i rentowne, 4) wzrost produktywności zarówno pracy, jak przede wszystkim kierownictwa, 5) obniżanie wydatków nieprodukcyjnych państwa, a więc w pierwszym rzędzie wydatków wojskowych, 6) podwyższanie płac realnych, które zwiększają pojemność rynku zbytu, 7) wzrost higieny i zdrowotności, które redukują ciężar społeczny utrzymywania jednostek chorych i niezdolnych do produkcyjnej pracy, 8) lepsze wykształcenie ludności i dopasowanie studiów do potrzeb gospodarczych, tak by jednocześnie wzmocnić produktywność, jak i stworzyć nowe potrzeby, konsumpcyjne, a więc rozszerzyć zbyt. Na tym bodaj ten *consensus* się kończy. Jak widzimy, planowanie w tych postulatach zasadniczych w ogóle nie figuruje. Osobiście dodałbym do już wyliczonych postulatów dwa dalsze, choć zdaje sobie sprawę, że większość ekonomistów nadal je ignoruje. Po pierwsze dodałbym postulat obniżania podatków, który wydaje mi się podstawowy zarówno dla stwarzania podniet do stałej, ciągłej i coraz wzrastającej ekspansji, a także do wzrostu moralności podatkowej, a więc moralności w ogóle, a po wtóre walczyłbym do upadłego o ograniczanie płodności: jestem zresztą przekonany, że nieprawdopodobne nadużycia w wyzyskiwaniu zdolności rozrodczych gatunku ludzkiego przez mieszkańców Azji, Afryki i Ameryki Południowej w pierwszym rzędzie, ale właściwie przez bez mała wszystkie kraje, z wyjątkiem Zachodniej Europy, doprowadzą do katastrof, i zmuszą rządy do energicznych środków zaradczych, a Watykan do rewizji swego stosunku do zapobiegania poczęciu (nie spędzaniu piodu!). Już dzisiaj prezydent banku światowego, p. Eugène Black, który rok rocznie rozprowadza 500 milionów dolarów wśród narodów gospodarczo zacofanych, pisze w raporcie za rok ubiegły, iż wysiłki humanitarne i ekonomiczne Banku są „nullifikowane” (*nullified*) na skutek nadmiernego przyrostu ludności. Myślę, że walka o obniżanie podatków przybierze na sile w Ameryce i w Zachodniej Europie, a walka o obniżanie płodności stanie się warunkiem nr jeden pomocy Zachodu dla innych kontynentów. Obecnie pomoc ta jest marnowaniem kapitału, bo żadna pomoc nie może sprawić, by Hindusi czy Arabi mieli za rok większą garstkę prosa czy ryżu: nowe gęby zjedzą więcej, niż ryżu czy prosa przybędzie.

Tak więc w bardzo wielkim i niedoskonałym skrócie wygląda podłoże, na którym dzisiejsze rządy francuskie będą musiały budować nowy gmach, i tak wyglądają, znowuż w skrócie, główne postulaty pod adresem wszystkich państw współczesnych. Państwa dzisiejsze można porównać do lśniącego samochodu ostatniego modelu, do maszyny wyścigowej, która ma dać jej posiadaczowi maksimum bezpieczeństwa i komfortu, a jednocześnie możliwość zdobycia każdego wyścigu. Stawkami w tym wyścigu są z jednej strony stopa życiowa ludności, z drugiej potencjał gospodarczy, a więc w gruncie rzeczy potęgą polityczną danego narodu i państwa. Podwyższanie stopy życiowej zawsze działa w kierunku pacyfizmu i pokoju, podwyższanie potencjału gospodarczego może mieć i cele zaborcze na oku. Francja ma więcej danych do podwyższenia stopy życiowej ludności francuskiej, niż do zdobycia palmy pierwszeństwa w wyścigu o potencjał gospodarczy. Ale sukcesy na polu wielkiego przemysłu, wielkich inwestycji i wysokiej kapitalizacji są też konieczne, jeżeli trwałość wysokiej konsumpcji ma być podmurowana. Można powiedzieć z grubszą, że w interesie Europy leży, by Niemcy kładły w najbliższych latach nacisk na zwiększenie konsumpcji, a Francja na zwiększenie inwestycji: oba kraje powinny dążyć do zawzięcia do dalszego „rozbrojenia celnego”, którego symbolem jest Wspólny Rynek. Lecz zamierzam poświęcić oddzielny artykuł dylematom i postulatom przyszłej polityki francuskiej. Na razie chciałbym zakończyć, podkreślając, że Francja ma dzisiaj szereg atutów, których nie miała przed dziesięciu laty: ma ustabilizowaną walutę, ma dodatni bilans płatniczy, ma dostateczne rezerwy walutowe, ma odnowiony wielki przemysł, zrobiła pierwsze, ale doniosłe kroki na drodze do wyrwania się z klęski protekcjonizmu, ma w pewnych przemysłach wysoką produktywność, ma realistyczną politykę zagraniczną, opartą na dobrych stosunkach z sąsiadami, na *partnership* z Niemcami, na współpracy z Ameryką: a intymność z dwoma największymi potęgami gospodarczymi świata, jakimi są dzisiaj Ameryka i Niemcy Zachodnie daje Francji oczywiście dużo luzu i duże możliwości. Świat jest dzisiaj w okresie ekspansji i wzrostu stopy życiowej bez precedensu: a Francja pozostała krajem o produkcji i eksporcie, obliczonych na bogatych odbiorców, a nie na masowy zbyt wśród nędzarzy czy abnegatów komunistycznych lub socjalistycznych.

Oczywiście, Francja stoi nadal przed dużymi trudnościami. Jej ludność jest za mała w stosunku do zasobów samej jej metropolii: Francja jest jedynym wielkim krajem NIEDOLUDNIONYM w Europie, i to niedoludnienie nadal kształtuje całą jej obraz, całe jej życie i całą jej mentalność. Francja musi nadal dbać o utrzymanie stałości cen, musi zrobić dalsze postępy na drodze do likwidacji protekcjonizmu, musi zmodernizować

małe przedsiębiorstwa, musi przeprowadzić radykalne zmniejszenie swej ludności rolniczej, musi permanentnie ułożyć stosunki z swymi eks-koloniami, bo przecież stan, w którym ci *ex-coloniaux* mordują się nawzajem na terenie metropolii nie może być *à la longue* tolerowany. Francja musi załatwić kapitalny problem mieszkaniowy. Musi zreformować swój system podatkowy. Lecz widzę, że piszę już to, co ma być moim drugim artykułem. Na razie powiem tylko, że sytuacja Francji wydaje mi się dużo lepsza, niż angielska, lecz sądzę, iż przez najbliższych 10 czy 20 lat Niemcy pozostaną leaderem gospodarczym Europy. Dodam także (a później to obszernie uzasadnię), że Polska nie może się zanadto wzorować na doświadczeniach francuskich, bo nasze stosunki są zbyt odmienne od francuskich: przede wszystkim jesteśmy krajem przeludnionym i bardzo biednym, a Francja jest niedoludniona i bardzo bogata. Możemy Francję podziwiać, znać ją i kochać: ale powinniśmy pamiętać, że gdy chodzi o politykę gospodarczą to zupełnie inne powinniśmy naśladować wzory.

W. A. ZBYSZEWSKI

Powyższy artykuł jest fragmentem przygotowywanej przez autora książki (Red.).

AMERYKA-ECHO

Niezależne Pismo Tygodniowe
Pod Nowym Zarządem i Kierownictwem

Daje poważne i wnikliwe artykuły o Polsce i o pracy dla Polski zagranicą. Dział dla Kobiet, Pogadanki z Czytelnikami, Kącik dla Wszystkich, informacje naukowe, powieści, poezje, humor. Czternaście stron doskonałej lektury. Roczna prenumerata w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie \$8.00, w Europie \$9.00, w Ameryce Południowej \$6.50 (ze względu na niski kurs miejscowych walut w stosunku do dolara), w Australii \$9.00.

Wysyłamy bezpłatnie egzemplarze okazowe.

Największa Księgarnia polska w Stanach Zjednoczonych
— Na składzie ponad 270 tysięcy tomów książek.

Posiadamy także przedstawicielstwo książek „Kultury”.

Po informacje pisać:
AMERYKA-ECHO, INC.
1154 Nebraska Avenue
Toledo 7, Ohio
U. S. A.

Prof. Wł. L. Jaworski, St. Car i ... de Gaulle

I

Kiedyś, przed samym wyjazdem moim z Londynu do Warszawy, spotkała się ze mną pewna sympatyczna księżna, zamieszkała na emigracji, i powiedziała: — wie pan co, ja mam trochę pieniędzy, założmy we dwoje polską partię monarchistyczną. Uśmiechnęłam się wtedy bardzo melancholijnie i powiedziałam: — To tak, jakby mi umarła córka, a pani przyszła i powiedziała: mam dla córki pańskiej doskonałą krawcową, która jej uszyje suknię ślubną.

Dziś mam trochę podobne wrażenie, bo oto artykuł, w którym wyłuszcze ukochaną moją tezę o francuskiej polityce w stosunku do świata arabskiego nadąży właśnie do Paryża, jak się zdaje na uroczysty pogrzeb tych możliwości, do których tak wielką przywiązuję wagę, czy też, może już trzeba powiedzieć przywiązywałam wagę.

Teza ukochana... o której w prasie warszawskiej piszę i pisze od lat kilku, dostosowując ją do zmieniających się wydarzeń zdążających niestety we wręcz odwrotnym kierunku. A jednak... powiedział Sienkiewicz: każdy Polak ma dwie ojczyzny, swoją własną i Włochy. Powinien był dodać: i Francję. Toteż to, czego bronię w swoim pomyśle polityki francuskiej wobec Arabów wydaje mi się niesłychanie patriotyczno-francuskie, aczkolwiek jednocześnie wypływające z doświadczeń dziejowych Polski. Można by zatytułować: rady pilsudczyka dla de Gaulle'a, albo w czym de Gaulle powinien naśladować Pilsudskiego.

Państwu Jadwigi Andegaweńskiej udało się niesłychanie unia z Litwą. To było maleństwo to państewko Jadwigi w chwili jej ślubu z Jagiełło. Od tej chwili do śmierci Kazimierza Jagiełłończyka państwo to ujednostokrotniło swoje terytorium, stało się wielkim mocarstwem europejskim. W 1919 r. na murach Wilna Pilsudski rozlepić kazał odezwę: „kraj wasz...” tak

zwalczaną przez pomniejszych Polaków, przez endeków, którzy zasyczeli na jej treść. W odezwie tej Piłsudski wzywał do federacji wszystkie narody dawnego Wielkiego Księstwa, marzył jak się do tego przyznawał otwarcie, o odbudowaniu imperium Jagiellonów.

Zastosowując te wizje naszego zeszłego świata, naszej polskiej polityki, do której niegodni następcy Piłsudskiego zastosowali operacje samobójcze, zastosowując je do Francji, współojczyzny naszej kultury, wołałem przez kilka lat w swoich artykułach w Warszawie:

Nie ma dla Francji problemu algierskiego, jest tylko problem Afryki Północno-Zachodniej.

Twierdziłem, że Francja powinna stworzyć federację z Marokiem, Tunisiem i niepodległą Algierią. Że jeden z naczelników tych trzech państw, jak sądziłem sultan marokański, lub prezydent Tunisu powinien zostać urzędowym zastępcą Prezydenta Republiki Francuskiej, że senat zasiadający w Paryżu powinien reprezentować państwa arabskie i państwa czarnej Afryki.

Aby tworzyć coś nowego trzeba wywołać zryw entuzjazmu. Nie można mieć nadziei na pomyślne załatwienie sprawy algierskiej skoro ma być ona obustronnym wyrzeczeniem się marzeń, obustronną kapitulacją. Sojusz Francji z państwami Afryki Północno-Zachodniej powinien i Francuzom i Arabom dawać jakiś zryw do wielkości. Francji powinien on zapewniać stanowisko pierwszego państwa na kontynencie Europy, a to przez wzmoczenie jej możliwości wojskowych, przez odcięcie się od tego ustawicznego osłabiania, jakim jest wojna w Algierii. Arabom Afryki Północnej powinna dać rolę kierowniczą w stosunku do wszystkich ludów arabskich nie tylko w Afryce i Azji.

Jeśli teraz patrzę na wydarzenia związane z francusko-arabskim problemem z perspektywy już historycznej to uważam, że rzeczywistość przyznaje raz po raz rację memu biegowi rozumowania. Tunis odegrał przed 19 lipca 1961 r. rolę czynnika nakłaniającego obie strony do rokowań. Wołałem, że wielkim błędem polityki francuskiej było, że do Evian nie zaproszono od razu i przedstawicieli Tunisu i Maroka. Kwestia Sahary nie byłaby tak trudna, gdyby ją od razu uznano za terytorium wspólne Algierii, Tunisu i Maroka, zabezpieczając tam ekskluzywną działalność pomocy finansowej i technicznej z państw nie-afrykańskich tylko jednej Francji.

Mówi się o sojuszu z Francją. Tak, ale sojusz, zwłaszcza sojusz z państwem, z którym się było w wojnie, może się udać tylko wtedy, gdy rozplamieni opinię wielkim zrywem, wielkimi nadziejami. Powtarzam: trzeba było podnieść Arabów Afryki Północnej możliwością odegrania wielkiej przodującej roli w całym świecie arabskim.

Prezydentowi de Gaulle'owi, jak mi się zdaje, udało się znakomicie jego polityka wobec narodów Afryki czarnej. Tutaj widzę doprawdy coś z polityki, czy teorii Piłsudskiego w stosunku do zagadnień narodowościowych Polski tylko rzuconych

na większy ekran. Jeśli mówię o polityce narodowościowej Piłsudskiego to mam na myśli pierwszy, może jeszcze przedmajowy obraz tej polityki. Otóż polityk de Gaulle'a w stosunku do Arabów to już jakby przejście od polityki Piłsudskiego do polityki BBWR w tej sprawie, której dalszym ciągiem będzie hańbie palenie cerkwi prawosławnych już po śmierci Marszałka. Jeszcze de Gaulle uznaje potrzebę niepodległej Algierii, ale przy wykonaniu tego wielkiego hasła, godnego prawdziwie wielkiego męża stanu już się liczy, czy też liczyć się musi z krótkowidztwem swoich francuskich endeków.

II

Ale teraz przejdę do szczegółu w którym wpływ Polski Piłsudskiego na Francję de Gaulle'a nie może ulegać żadnej wątpliwości. Przynajmniej tak to wynika z ogólnie znanych aktów, na które się powołam.

Oto mam przed sobą „Le Monde” z dnia 30 lipca 1958 r., a w nim projekt konstytucji dla Francji, później uchwalony, o ile wiem, bez zmiany numeracji artykułów.

Art. 17 tego projektu postanawia, że akty Prezydenta Rzeczypospolitej będą kontrasygnowane przez premiera, oraz przez odpowiednich ministrów, ale z wyjątkiem zastosowania art. 6 § 1, art. 9, art. 10, art. 14 i art. 16.

A więc mamy tu instytucję wyjęcia spod obowiązku kontrasygnaty pewnych czynności Prezydenta. Taka instytucja wyjęcia spod obowiązku kontrasygnaty była dotychczas przewidziana wyłącznie i jedynie w prawie polskim, wyłącznie i jedynie w konstytucji kwietniowej 1935 r. Żadna inna konstytucja na świecie, żaden inny ustrój nie znał i nie przewidywał tej instytucji. Wymyślił ją twórca umysłu prof. Władysława Leopolda Jaworskiego; wcielił ją do swego opracowania nowej konstytucji Stanisław Car, ocenił ją i zaakceptował wielki umysł Marszałka Piłsudskiego.

Według konstytucji francuskiej następujące czynności Prezydenta Rzeczypospolitej zwolnione są z kontrasygnaty:

1. Nominacja Prezesa Rady Ministrów.
2. Zarządzenie na wniosek rządu, lub obu izb referendum w ustawowo określonych sprawach.
3. Rozwiązanie Zgromadzenia Narodowego.
4. Wprowadzenie stanu wyjątkowego.
5. Orędzia wystosowane przez Prezydenta Rzeczypospolitej do obu izb parlamentu.

Według konstytucji polskiej z 1935 r. Prezydent Rzeczypospolitej zwolniony był z obowiązku kontrasygnaty w następujących swoich czynnościach:

1. Wskazywaniu kandydata na Prezydenta Rzeczypospolitej i zarządzaniu głosowania powszechnego.

2. Wyznaczeniu na czas wojny następcy Prezydenta Rzeczypospolitej.

3. Nominacji Prezesa Rady Ministrów.

4. Nominacji Naczelnego Wodza.

5. Rozwiązania Senatu i Sejmu przed upływem kadencji; a także w kilku innych czynnościach nie mających tak kapitalnego znaczenia.

III

Pozornie „wyjęcie z obowiązku kontrasygnaty” nie jest rzeczą tak ważną, jak na przykład to, czy na czele państwa stoi król, jak w Anglii, czy Prezydent, jak we Francji. A jednak owe pozornie dyskretne i drugorzędne „wyjęcie spod obowiązku kontrasygnaty” stwarza nowy typ ustroju państwowego zarówno różnego od typu angielsko-francuskiego, jak amerykańskiego.

Oczywiście mówię tu o podziale ustrojów państwa pod względem formalno prawnym. Dawno już bowiem, jeszcze za czasów kiedy zasiadałem w Komisji Konstytucyjnej Sejmu Rzeczypospolitej, jako jej sekretarz, stworzyłem teorię, że właściwie dzielić należy ustroje państw nie według takich instytucji formalnych, jak król, Prezydent, parlament dwuizbowy, czy jednoizbowy itd., lecz według tego, czy w danym państwie istnieje ustrój dwupartyjny, wielopartyjny, czy też jednopartyjny.

— Istotą konstytucji angielskiej — wołałem na tej komisji, — a później tysiącokrotnie powtarzałem w swej publicystyce, nie jest to, że tam istnieje król, Izba Lordów, Izba Gmin, lecz to, że naród angielski, wspaniałym państwowym instynktem wiedziony, dzieli się na dwie partie z których jedna rządzi, druga krytykuje.

Ustrój trzeciej Republiki był przecież kopiowany na ustroj angielskim, urząd Prezydenta był skopiowany na instytucję króla angielskiego, a jednak w Anglii właśnie dzięki systemowi dwupartyjnemu, ustrój ten dał rezultaty wspaniałe, a we Francji wtrącił kraj w anarchię polityczną, uniemożliwił stosowanie planowej polityki zagranicznej i wreszcie zmusił Francuzów do akceptowania naszego polskiego „zamachu majowego” czyli do złożenia istoty władzy w ręce generała de Gaulle.

IV

Ale w danym szkicu prawnym nie zajmuję się istotą ustroju, a tylko typami konstytucji pod względem formalno prawnym. Otóż pomijając ustrój Szwajcarii i państwa jednopartyjne znamy dwa wybitnie się między sobą różniące typy konstytucji: angielski i amerykański, z tym, że typ angielski był skopiowany przez większość państw europejskich. Dla ścisłości zaznaczę, że nie będąc tu się zajmował typem monarchiczno-konstytucyjnym, jaki

istniał w niektórych państwach europejskich przed pierwszą wojną światową, jako że ten typ jest już nieaktualny.

Otóż w typie angielskim, obowiązującym również w III Republice francuskiej, u nas za czasów konstytucji z marca 1921, w Skandynawii, Beneluxie, Włoszech itd. mamy:

1. Parlament.

2. Rząd odpowiedzialny przed parlamentem, ustępujący na żądanie parlamentu.

3. Naczelnika państwa, króla czy Prezydenta, który we wszystkich swoich czynnościach skrupowany jest obowiązkiem kontrasygnaty; nie może nic zrobić co należy do jego czynności na przykład wykonać aktu łaski, lub skrócić czas wdowi, lub mianować szefa własnej kancelarii, bez kontrasygnaty premiera, lub ministra.

Ponieważ w tym typie ustrojów, które zwiemy parlamentarnymi, rząd jest całkowicie skrupowany przez parlament, ze względu na instytucję votum ufności, lub nieufności, a naczelnik państwa całkowicie skrupowany przez rząd ze względu na kontrasygnatę, więc łatwo jest spostrzec, że instytucja kontrasygnaty jest instytucją, którą porównać można do nici pomiędzy parlamentem, a naczelnikiem państwa. W ustroju parlamentarnym naczelnik państwa jest nieodpowiedzialny przed parlamentem, nie można mu uchwalić votum nieufności, ale przecież rząd jest nie skrupowany przez parlament i oto ten rząd przy pomocy instytucji kontrasygnaty we wszystkim krępuje naczelnika państwa, naginając w ten sposób jego czynności do życzeń parlamentu.

Otóż prof. Jaworski dyskretnie przeciął te nici wiążące wolę naczelnika państwa życzeniami parlamentu. Przeciął ją na szlaku pomiędzy rządem, a naczelnikiem państwa zwalniając go z obowiązku kontrasygnaty w tych jego czynnościach, które są dla państwa najważniejsze.

Typ amerykański polega, w odróżnieniu od typu anglo-europejskiego:

1. Na braku rozróżnienia pomiędzy Prezydentem a premierem, szefem egzekutywy jest Prezydent powołujący rząd nieodpowiedzialny przed parlamentem.

2. Na przemożnym znaczeniu Prezydenta obieralnego co cztery lata formalnie przez elektorów, faktycznie bezpośrednio przez cały naród.

3. Na uprawnieniu Sądu do badania konstytucyjności ustaw, czyli na współdziałaniu władzy sądowej z ustawodawczą w dziedzinie prawodawstwa.

4. Na pozostawieniu polityki zagranicznej wyłącznie Senatowi w dziedzinie jej kontroli z odsunięciem pierwszej izby od tych zagadnień.

Kiedy porównamy te ogólnie znane elementy różnicy pomiędzy ustrojem amerykańskim, a ustrojem parlamentarnym wykształconym w Anglii, a przejętym w wieku XIX przez większość państw europejskich, to dopiero uwidoczniły sobie, jak dalece ta dyskretna instytucja: wyjęcie pewnych czynności Pre-

zydenta Rzeczypospolitej spod obowiązku kontrasygnaty, ma ogromne znaczenie. Oddala ona instytucję naczelnika państwa od typu państwa parlamentarnego a bynajmniej nie zbliża go do typu prezydenta na sposób amerykański. Ta, powtórzmy, dyskretna i nie-efektowna instytucja zwolnienia z kontrasygnaty niektórych tylko aktów, de facto stwarza zupełnie nowy typ ustroju, zupełnie inny od znanych dotychczas.

W państwach typu parlamentarnego rola naczelnika państwa ograniczona jest do minimum, do symbolu. Rządzi parlament, rząd jest tylko komitetem wykonawczym parlamentu, a naczelnik państwa jedynie symbolem jedności i ciągłości państwa — przez instytucję kontrasygnaty, czyli konieczności uzyskiwania zgody na każdy akt działania, sprawadzony do roli nieomal manekina. Zupełnie bez znaczenia jest zresztą, czy tu chodzi o kontrasygnatę formalną, to jest o podpis na akcie, czy też o zwyczajową zgodę na każde poruszenie się głowy państwa. W Anglii król omal nie może pójść do teatru bez zgody rządu.

Wyjmując najważniejsze akty głowy państwa spod działania tej kontrasygnaty, jak nominację premiera i rozwiązywanie parlamentu, względnie izby niższej, jak to było przewidziane w konstytucji Piłsudskiego i jak to jest przewidziane w konstytucji de Gaulle'a — obie te konstytucje tworzą zupełnie nowy typ ustroju, w którym naczelnik państwa traci swą rolę symbolu a staje się arbitrem pomiędzy chwilową koalicją stronnictw mających większość w parlamencie, a tendencjami, które może żywić rząd.

Już sformułowanie powyższe wskazuje jednocześnie, że naczelnik państwa według typu konstytucji polskiej i francuskiej odróżnia się również bardzo wybitnie od Prezydenta typu amerykańskiego, który ponosi osobiście odpowiedzialność za całość rządów, podczas kiedy według omawianego typu ustroju Prezydent nie jest motorem rządów, a tylko ich kontrolerem i arbitrem w konfliktach. Według naszej konstytucji 1935 r. Prezydent miał nie rządzić, a tylko dobierać ludzi mających rządzić.

V

Z powyższych ostatnich stwierdzeń wynika też przeciwieństwo pomiędzy teorią i praktyką, o której nigdy nie trzeba zapominać. W Anglii nie potrzeba wyjmować działań głowy państwa spod obowiązku kontrasygnaty, bo tam istnieje w praktyce ustrój dwupartyjny, będący niewątpliwie ideałem każdej konstytucji. Tak samo i w stosunkach polskich i francuskich decydowała nie litera prawa, a stosunki faktyczne. Według ich konstytucji i Piłsudski (bo myśleliśmy, że Piłsudski obejmie prezydenturę, gdyśmy uchwalali konstytucję kwietniową) i de Gaulle mieli być tylko arbitrami pomiędzy politycznymi kierunkami, które by powstawały od nich niezależnie. Rzeczywi-

stość była zupełnie inna. Piłsudski tworzył kierunek polityczny, a właśnie dobór ludzi przez Piłsudskiego był najsłabszą stroną tego człowieka; wiemy, że po swej śmierci pozostawił po sobie ludzi, którzy zmarnotrawili i zaprzepaścili państwo bądź przez nieudolność, bądź przez głupotę, co zresztą na jedno i to samo wychodzi. De Gaulle także daleki jest od typu człowieka, który by ograniczał swą pracę do arbitrażu i doboru ludzi. Jest nawet takiego typu człowieka żywym przeciwieństwem.

Ale moim zadaniem było nie zastanawianie się nad indywidualnością obu tych olbrzymów w historii: Piłsudskiego i de Gaulle'a, lecz na wykazaniu rzeczy oczywistej, choć mało znanej, że konstytucja de Gaulle'a przejęła podstawowe zasady konstytucji Piłsudskiego.

VI

Nie lubię pisać artykułów bez felietonowych nitek, nawet artykułów tak smutnych dla Polaka, jak niniejszy. Toteż uśmiechnę się do swoich wspomnień o instytucji królewskiej w Anglii. Sympatyczny, lojalny i szlachetny Jerzy VI w czasie powojennym raz jeden, za mojej pamięci, wystąpił z własną indywidualną inicjatywą w następującej sprawie. Oto osobiście zatelefonował do jednego kamienicznika, który posiadał bar w swej kamienicy, a na tej kamienicy siedziały dwa lwy pokąsanej tuszy, które były podczas bombardowań Londynu zrzucone na ulicę. Właściciel kamienicy po wojnie usadowił z powrotem tylko jednego lwa na swoim miejscu. Otóż król zapytywał co się stało z drugim lwem.

Właściciel baru i kamienicy był oczywiście prawym Anglikiem. Ucieszył się ogromnie z królewskiego telefonu i zapewnił Jego Królewską Mość, że dziś jeszcze wieczorem, albo najdalej jutro rano drugi lew znajdzie się także na poprzednim miejscu.

Proszę tylko z tego wspomnienia nie wnioskować, że sobie lekceważę instytucję królewską w Anglii. Przeciwnie wraz z dwupartyjnym systemem rządów uważam ją za podstawę wielkości państwa brytyjskiego.

Teraz inna felietonowa nitka. Oto artykuł o zwolnieniu czynności Prezydenta z kontrasygnaty nosił w naszej konstytucji numer trzynasty. Jak wiadomo Marszałek lubił trzynastkę i dlatego Beck za życia Piłsudskiego swe poważniejsze pociągnięcia podciągał pod daty trzynastego i dlatego Car temu właśnie artykułowi nadał tę numerację. Czy mogę tu z wielką dumą przypomnieć, że sam Marszałek nadał pułkowi ułanów wileńskich numer trzynasty.

Historia składa się z kolorów rozmaitych, ze światła, które się palą bardziej lub mniej jasno.

Stanisław MACKIEWICZ

WŁADYSŁAW POBÓG-MALINOWSKI

NAJNOWSZA HISTORIA POLITYCZNA P O L S K I

TOM PIERWSZY 1864 — 1918

TOM DRUGI 1919 — 1939

DRUGIE WYDANIE

**PRZEJRZANE
POPRAWIONE
UZUPEŁNIONE**

oraz

BOGATO ILUSTROWANE
portretami przywódców społeczeństwa
działaczy społecznych i politycznych
wybitnych wojskowych

fotografiami scen historycznych
i fotokopiami ważnych dokumentów

M A P Y

INDEKSY NAZWISK I MIEJSCOWOŚCI

1500 STRON

(w I wydaniu tylko 1100 str.)

OPRAWA PŁÓCIENNA Z TŁOCZENIAMI

Ochronne obwoluty na każdym tomie

Cena obydwu tomów w drugim wydaniu

W przedpłacie

£ 5.5.0 lub \$ 15.00

po zamknięciu przedpłaty:

£ 7.17.6 lub \$ 22.10

B. ŚWIDERSKI

20A, Queens Gate Terrace
LONDON S.W.7

Wylączne przedstawicielstwo we Francji:

LIBELLA - 12, rue St-Louis-en-l'Île, PARIS IV^e

Instytut jednego człowieka

„Biada temu u nas, kto myśli swoją głową i swoim rozumieniem rzeczy koło siebie pojmuje. To wicherzyciel! To burzyciel! Może i pisze za pruskie talary i za ruble rosyjskie...”

Dzieła Maurycego Mochnackiego, tom IV, „O terroryzmie nierozumu i obskurantyzmu politycznego”. Wyd. III Żupańskiego, Poznań 1863.

Podobnie, jak Mochnacki przed stu trzydziestu laty, należy Pobóg-Malinowski do najbardziej kontrowersyjnych pisarzy na emigracji. Zestawienie tych dwóch nazwisk oburzy przeciwników żyjącego historyka, a może nawet zaskoczy jego przyjaciół. Mochnacki przecież jest już w gablotce muzealnej, skatalogowany i z etykietą przynależności do polskiego Panteonu na piersiach. Pobóg-Malinowski jeszcze walczy, ciągle sprzeciwiając się konformizmowi, rozdrapując wrzody polskich wad, obnażając wedle swego najlepszego zrozumienia całą prawdę, choćby najwstydlivszą, bo tylko w zagłębieniu się do samego dna przyczyn uważa za wskazane poszukiwać skutków, a przez ukazanie ich wezwać do myślenia i szukania lepszych dróg na przyszłość. Pobóg-Malinowski nie nadaje się jeszcze do polskiej „Bibliothèque rose”, do której należy już Mochnacki. Przecież od pierwszego wydania „Powstania narodu polskiego”, a zarazem od roku śmierci autora ubiegło 127 lat, ludzie wymarli, spory wygasły, sprawy przestały być aktualne.

A jednak Mochnacki-pisarz pozostanie w historii, jako ten, który szerzył ferment myślowy na emigracji, ujawniając brutalnie tę całą prawdę, jaką znał i której rozpowszechnienie uważał za swój obowiązek bez względu na oburzenie świętoszków, lub zainteresowanych w jej ukryciu. Swoim utalentowanym i wyostrzonym przez namiętność walki piórem zadawał ciosy zbiorowości i jednostkom, umiał piętnować, nie przebiegając w słowach, a raczej może dobierając rozmyślnie jak najbardziej raniących. Gdy w salonach i kawiarniach emigracyjnych na paryskim bruku toczą się dyskusje nad celowością niedawno upa-

długo powstania, on notuje na kartach swojej historii, tak jadowicie zwalczanej przez współczesnych, że „nie powstać wśród ówczesnych zewnętrznych i wewnętrznych okoliczności, które się tak widocznie uśmiechały powstaniu, byłoby z naszej strony nikczemnością i nierozumem”. Jak najostrzej, często wyrażeniami, podyktowanymi przez namiętność walki i chorowite podniecenie zbliżającego się ku śmierci gruźlika, potępia czołowe postacie pierwszego okresu powstania: Chłopickiego, Lubeckiego, Lelewela i innych. Nawet księciu Adamowi Czartoryskiemu, którego wielką rolę na emigracji bardzo wysoko oceniał, nie przepuści, lecz wypomni mu jego przeszłość w służbie carskiej i jej paraliżujący wpływ na jego rolę, jako prezesa rządu narodowego w powstaniu.

Co wybaczone, lub zapomniano jednemu, to ma służyć do zwalczania drugiego. Oczywiście dlatego, że żyje, pisze, wywleka fakty z archiwów, spędza sen z powiek, w sądach jest bezwzględny, często niesprawiedliwy, nie ma patyny na nazwisku. Cechą obydwóch jest, że jako historycy, żyją niemal wśród wydarzeń, w których uczestniczyli. Nazywa się to brakiem dystansu. Historycy stopnia profesorskiego stronią od pisania o czasach niedawnych, dla nich temat musi się uleżeć co najmniej przez jedno pokolenie. Dzięki nakazowi dystansu naukowa literatura historyczna o powstaniu 1830-31 roku zaczęła powstawać stosunkowo późno, przez długie lata trzeba było czytać niezliczone, często z talentem pisane pamiętniki, których autorzy przedstawiali w sposób oczywiście subiektywny własną rolę. Na dzieło prof. Wacława Tokarza musiało czekać kilka pokoleń, ukazało się ono równo w sto lat po wydarzeniach. Jest ono prawdziwą, beznamiętną historią, posiada wielkie znaczenie naukowe i chyba żadnego już wychowawczego. Mochnacki swoją nienaukową książką potrzęsnał sumieniem swego pokolenia, zmusił je do zastanawiania się nad przyczynami klęski, a swymi namiętnymi i niezawsze sprawiedliwymi sądami wywołał prawdopodobnie powstanie niejednego pamiętnika, niejednego pomocniczego źródła historii. Jaka szkoda, że przedwczesna śmierć nie pozwoliła mu dokończyć rozpoczętego dzieła.

Jako recenzent wszystkich trzech kolejnych tomów „Najnowszej Historii Politycznej Polski”, należałem, pomimo ogólnej oceny pozytywnej całości, do najsurowszych krytyków pomyłek i błędów metodologicznych i formalnych, jakie w czasie lektury tej olbrzymiej pracy dostrzegłem. Niechże mi wolno będzie pójść dzisiaj za nieomylnym chyba sądem rzesz czytelników na emigracji i w kraju, oceniających to dzieło, jako wydarzenie w literaturze historycznej. Pierwsze wydanie zostało już dawno wyczerpane. Przed kilku miesiącami zasłużona na emigracyjnym rynku wydawniczym księgarnia Świderskiego w Londynie rozpoczęła druk wydania drugiego pierwszych dwóch tomów, uzupełnionego nowymi przekazami materiałów i źródeł, które ukazały się w ostatnich kilku latach. Jest to chyba jedyny w warunkach emigracyjnych, nie tylko polskich, fakt drugiego

wydania książki historycznej, składającej się z trzech tomów, liczących razem 1973 stronic. Fakt ten świadczy nie tylko o odwadze wydawcy, ale, i to przede wszystkim, o zapotrzebowaniu. Jednocześnie „Kultura” przygotowuje wydanie specjalnego tomu, mającego zawierać uzupełnienia do tomu III, poza tym, w zapowiedzianych już „Zeszytach Historycznych” ma wydać skorowidz nazwisk do pierwszego wydania wszystkich trzech tomów. Ukazanie się tego uzupełnienia, którego brak wytknąłem w recenzjach, jako jedno z najważniejszych uchybień formalnych, uczyni książkę bardziej czytelną i pogłębi jej naukowy charakter.

Jest rzeczą charakterystyczną, że dzieło, przyjęte przez społeczność emigracyjną, jak wydarzenie, a w kraju czytane potajemnie, jako źródło wstrząsających rewelacji, demaskujących historiografię oficjalną, nie doczekało się dotychczas omówienia na emigracyjnym forum naukowym, na forum profesorskim, prócz dwóch, o ile się nie mylę, wyjątków (1). To głuche milczenie, w połączeniu z niechętnym, a czasami wrogim stosunkiem „góry” emigracyjnej, wszystkich bez wyjątku odcieni politycznych, kieruje się przede wszystkim przeciwko rzekomo nienaukowemu charakterowi książki. Mówi się: „To nie jest historia, wemu charakterowi książki. Mówi się: „To nie jest historia, lecz publicystyka, oparta na źródłach historycznych”. Jakże łatwo rozstrzygnąć ten spór o słowa. Oczywiście, jest w książkach Pobóg-Malinowskiego wiele elementu publicystycznego, wszędzie tam, gdzie wygłasza on pogląd własny, gdzie ponosi go temperament, gdzie walczy, oskarża, potępia. Ale istotą jego dzieła jest wydobycie na światło dzienne faktów, opartych na najprawdziwszym materiale historycznym, bo na dokumentach archiwalnych i w pewnym stopniu na relacjach uczestników wydarzeń. Pomimo wszystkich błędów w operowaniu tym materiałem, pomimo omyłek, właściwych niedoskonałości ludzkiej, mamy tu do czynienia z najbardziej autentyczną historią. Znaczenia pomyłek w książce historycznej nie należy przeceniać. Nawet dzieła wielkich autorytetów dają pole i okazję do krytyki. Pomyłki, czy błędy otwierają pole innym badaczom, a w historii najnowszej przyczyniają się do wywoływania nowych źródeł drogą relacji, którym nieraz towarzyszą zachowane w prywatnych schowkach dokumenty. Pewna przymieszka publicystyki, pewna przesada w osądzie, jakieś nadużycie słowa mogą być w tym ostatnim wypadku bardzo cenne, powodując reakcję osobistości, słusznie czy niesprawiedliwie dotkniętych. Wszystko sprowadza się do zagadnienia dobrej woli autora. U Pobóg-Malinowskiego dobra wola i uczciwość pisarska nie ulegają najmniejszej wątpliwości. Na poparcie podawanych przez siebie faktów posiada zawsze dowody źródłowe, których nadmiar, jakby dla lepszego przekonania czytelnika o swej uczciwości, albo z poczucia gorliwości, umieszcza w przypisach, zajmujących połowę tekstu. W

(1) Prof. Tytus Komarnicki — recenzje o I i II tomie.
Dr St. Biegański — recenzje o I i II tomie.

wypadach publicystycznych uderza zawsze gorąca wiara i szczerość. Widać, że historyk jest jednocześnie człowiekiem walki o Polskę swoich młodzińskich marzeń, taką, do jakiej prowadził umiłowany przez niego Wielki Człowiek. Ale ten rodzaj przemyszkli publicystycznej jest dobrym prawem także historyka.

Spotykane pod adresem „Najnowszej Historii” zarzuty braku obiektywizmu i tendencyjności nie są poważne, w świetle nowoczesnych poglądów na historię. Obiektywizm dotyczy tylko ustalenia faktów na podstawie dokumentów archiwalnych i innych przekazów. Historyk jest obiektywny, jeżeli jego następca, studiujący to samo wydarzenie, będzie mógł oprzeć się na zebranych przez niego materiałach, dorzucając tylko nowe, wykryte przez siebie. Na podstawie tych samych źródeł i jednakowo ustalonych faktów interpretacja może być różna. Inaczej będzie pisał o Rzymie Cezarów historyk o poglądach autorytatywnych, inaczej socjalista. Znakomity pisarz i historyk francuski, Jacques Bainville nadał swej „Histoire de France” ton hymnu na cześć monarchii. Odmienne, a jakże mocno ważące na umysłowości polskiej w końcu XIX wieku i aż do pierwszej wojny światowej tendencje historiozoficzne wypowiadali Michał Bobrzyński w Krakowie i Władysław Smoleński w Warszawie. W znaczeniu osądu i wniosków nie ma historii obiektywnej, obiektywizm kończy się na ustaleniu faktu historycznego w przewodzie źródłowym, którego nie można zaatakować.

W takim ujęciu Pobóg-Malinowski jest jednocześnie obiektywny i tendencyjny, co nie jest wcale sprzecznością w pracy historyka. Jest obiektywny w pierwszym tomie, obejmującym okres lat: 1864-1918 (2), gdyż przedstawia na podstawie źródeł archiwalnych i pamiętnikarskich materiałów wszechstronny, na którym może się oprzeć każdy historyk, nawet o zupełnie odmiennych poglądach. Jest tendencyjny, bo w interpretacji, w przewodzie pisarskim, nie przemilczając wkładu pozytywizmu, a później — ugodowego odłamu polskiej myśli politycznej do kultury i gospodarstwa polskiego, wypowiada się osobiście za ideą rewolucyjną pierwotnego socjalizmu polskiego, z którego szeregów wyjdzie Józef Piłsudski z ideą walki zbrojnej o niepodległość i z właściwą dla niego, a tak odróżniającą go od typu polityka-dyplomaty metodą faktów dokonanych.

Jest obiektywny w drugim tomie, bo opiera się na bogatej literaturze okresu dwudziestolecia, na relacjach i na źródłach historycznych, które cytuje z przesadną niemal hojnością, wskazując jednocześnie ich miejsce i ułatwiając odnalezienie ich i wykorzystanie przez swoich następców. Tendencja polega na tym, że jako piłsudczyk, uznaje wyższość systemu pomajowego nad rządami sejmku wielopartyjnego. Gdyby był bardziej publicystą, a mniej historykiem, mógłby obecnie na poparcie swojej tendencji sięgać do analogii ze stosunkami francuskimi. Upadek

(2) Według periodyzacji dla II wydania, I tom kończyć się będzie wydarzeniami listopadowymi 1918 roku.

ustroju politycznego, opartego na parlamencie wielopartyjnym, nastąpił nie z powodu zachcianki jednostki, a z powodu niemożności sprostania zadaniom nowoczesnego państwa. W 32 lata później nastąpiło to samo we Francji, z której czerpaliliśmy wzór ustrojowy w roku 1921. Różnica w czasie tłumaczy się różnicą w przestrzeni. W naszej przestrzeni nie mieliśmy jeszcze rutyny państwa, na skutek stułetniej przeszłości przerwy w jego istnieniu i otoczeni byliśmy dwustronnym zagrożeniem, które przyspieszyło kryzys.

Tendencyjny w sensie ideologicznym, czy nawet historiozoficznym, Pobóg-Malinowski potrafi się oprzeć stronniczości. Nie brązuje ani obozu, z którym był związany, ani nawet postaci Marszałka Piłsudskiego, mimo nieograniczonej dla niego admiracji. Zachęte do niebrązowania, lecz do pisania całej prawdy, przekazał Pobóg-Malinowskiemu nasz wspólny szef w okresie naszej pracy w Wojskowym Biurze Historycznym, generał Julian Stachiewicz, chyba najbardziej zaufany, a nawet kochany oficer z otoczenia Marszałka. Mówił on nieraz dzisiejszemu autorowi „Najnowszej Historii”, wówczas rozpoczynającemu prace nad biografią Józefa Piłsudskiego, mówił nam wszystkim, swoim współpracownikom, że Komendant nie może znieść bałwochwalczości, jaką jest otaczany i że nie rozpoznaje się w pochwalnych pieniach najrozmaitszych autorów jego życiorysów. Pobóg-Malinowski poszedł za tą wskazówką nie tylko przez poszanowanie dla instrukcji szefa, ale i z przekonania. Jego zerwanie z konformizmem dokonało się już wówczas, jeszcze w kraju, jeszcze przed wojną. Wtedy też rozpoczęto z nim walkę w kołach najbardziej „miarodajnych” i nawet w bezpośrednim otoczeniu Marszałka. Dalszy ciąg tej walki, może zaostrejzonej, trwa na emigracji. Przed kilku tygodniami ukazał się na łamach „Orla Białego” komunikat Instytutu im. Józefa Piłsudskiego w Londynie, odzegnujący się od współpracy z Pobóg-Malinowskim, choć ten nigdy się na tę współpracę nie powoływał. Na szczęście, wspomniany komunikat dosyć niezręcznie mówi o różnicy zdań na temat stosunku do Pobóg-Malinowskiego wewnątrz Instytutu. Widać z tego, że nie wszyscy w tym gronie wybitnie zasłużonych mężów i niewiast zamienili się w brąz.

Jeżeli do tego dodać potępienie Brześcia i Berezy, oraz rozbiórki cerkwi przez wojsko, a także charakterystykę stosunków w obozie rządowym po śmierci Marszałka Piłsudskiego i mnóstwo innych szczegółów krytycznych w stosunku do tego okresu, zarzucanie Pobóg-Malinowskiemu stronniczości wymagałoby na pewno dużego zasobu złej woli.

Nie rozwodzi się Pobóg-Malinowski szerzej nad przyczynami klęski wrześniowej, bo z zestawienia kilku cyfr, jakie podaje, sprawa przedstawia się jasno dla każdego Polaka, wolnego od obsesji masochistycznej. Wojnę z Niemcami, prowadzoną samotnie, musieliśmy przegrać bez względu na to, kto byłby w Polsce u władzy. System bezpieczeństwa Polski oparty był na sojuszu

z Francją, w ostatniej chwili i z Anglią, oraz na paktach o nieagresji z Niemcami i z Rosją. W tym systemie Polska próbowała zachować równowagę i jednakowy dystans wobec swych dwóch groźnych sąsiadów. Z chwilą wypowiedzenia jednego z paktów o nieagresji równowaga się załamywała i Polska mogła już liczyć tylko na sojuszników zachodnich. Gdy ci zawiedli dysproporcja sił, której nie potrafiłyby zmienić żaden system rządowy, wobec naszego ubóstwa skazywała nas na nieuchronną klęskę. Czy można było prowadzić inną politykę? Nie mieliśmy alternatywy. Aby się uwolnić od niepewnego sojuszu zachodniego, trzeba byłoby związać się z Niemcami, albo z Rosją. Oznaczałoby to w każdym wypadku utratę niepodległości o kilka lat wcześniej i nie zapobiegłoby zniszczeniem wojennym. Układ geograficzny zrzucił, że bez względu na to, z kim byśmy się związali, z Niemcami, czy z Rosją, byłibyśmy zawsze marchią graniczną i pobojuwiskiem, jak w latach: 1914-18. Nie przyjdzie chyba nikomu do głowy twierdzić, że nasze przyłączenie się do jednego z dwóch potężnych sąsiadów zapobiegłoby wojnie, lub zaważyłoby na jej wynikach. Józef Piłsudski usiłował w latach 1919-20 zmienić układ geopolityczny. Niestety, nieutrzymanie się młodych państwowości, peryferyjnych w stosunku do Rosji, przede wszystkim Ukrainy Białorusi i Gruzji, spowodowało załamanie się jego idei rozszerzenia przestrzeni pomiędzy Niemcami i Rosją i zabezpieczenia nas w ten sposób przed strategicznym okrążeniem. Z faktów historycznych, zestawionych przez Poboga w pierwszych rozdziałach II tomu i porównanych z wydarzeniami 1939 roku można, a nawet trzeba wysnuć wniosek historiozoficzny: Polska przegrała kampanię wrześniową 1939, podpisując traktat ryski w marcu 1921. Znalazła się bowiem na ścieśnionej przestrzeni, w układzie geopolitycznym bezwzględnie wrogim, przyczepiona do Zachodu sojuszem, który w jakże błędnym mniemaniu sprzymierzeńca stał się obciążeniem, a więc z polskiego punktu widzenia sojuszem niepewnym. Takim też okazał się w rzeczywistości.

Tom III, poświęcony Polsce pobitej i okupowanej, ale jeszcze, dzięki orientacji swojego wysiłku zbrojnego należącej do Zachodu, z samej swej natury musiał się stać najbardziej kontrowersyjny ze wszystkiego, co kiedykolwiek Pobóg-Malinowski napisał. Przychodząc po kilkunastu latach powojennych, wypełnionych wydawnictwami, mniej lub bardziej propagandowymi, sławiącymi męstwo wszystkich i wielkość stojących na czele; oparty na autentycznych źródłach, dotychczas nieujawnionych, a więc rewelacyjnych, może być uznany za zapoczątkowanie pesymistycznej szkoły historycznej. Pobóg-Malinowski drażni i irytuje, gdyż z całą namiętnością człowieka, walczącego w swoim mniemaniu o prawdę, burzy łatwy i zdawkowy obraz polskich wydarzeń w latach 1939-45, demaskuje małość charakterów i mierność inteligencji ludzi, kierujących sprawą polską z Angers, później z Londynu, oraz podobne przywary ich krajowych odpowiedników. Nadużycie słowa, tak częste w tym tomie, nie ma

większego znaczenia. Czytelnik zdaje sobie sprawę, że ma do czynienia z człowiekiem w ogniu walki, zdumionym odkryciami, do których doszedł i dlatego zwróci większą uwagę na autentyczne i na dokumentach oparte fakty, niż na epitety. Pobóg-Malinowski nie odmawia zresztą nikomu spośród protagonistów patriotyzmu i męstwa osobistego, ale uważa, że nie są to jedyne, ani najważniejsze kwalifikacje wodzów wojskowych i przywódców politycznych. Nie zarzuca im zaprzepaszczenia sprawy polskiej w czasie wojny, gdyż zdaje sobie doskonale sprawę z tego, że o niej decydowali nie Polacy, lecz Churchill, Roosevelt i Stalin. Zarzuca im zamykanie oczu na widoczną grę możnych tego świata, przekształcenie się w pewnych okresach w ich narzędzie i nadanie polskiemu wysiłkowi zbrojnemu charakteru walki dla walki, bez celu, ani użytku politycznego. Najsilniej rysuje się ta tendencja przy opisie Powstania Warszawskiego, którego wywołanie Pobóg traktuje, jako tragiczny błąd polityczny, a na skutek braku przygotowania technicznego i materialnego także wojskowy. Niektórzy próbują zarzucać Pobóg-Malinowskiemu, że swymi rewelacjami oddaje przysługę reżimowi i że z tego powodu o pewnych faktach, choćby najbardziej autentycznych, należałoby przemilczeć. Nie ma nic bardziej fałszywego, jak ten lęk przed wykorzystaniem przez reżym wstydlivych zakątków naszej wojennej przeszłości. Ponieśliśmy najstraszliwszą w naszych dziejach klęskę i mamy prawo poznać całą prawdę. Właśnie dlatego, że uważamy się za emigrację polityczną, pragniemy nie dłużej, że uważamy się za emigrację polityczną, pragniemy znać wszystkie błędy i omyłki, choćby po to, aby umieć wytłumaczyć je obcom. Pobóg-Malinowski nie stawia sobie zresztą i jakże słusznie, zadań dydaktycznych, należących do popularyzatorów historii. Ukrycie wstydlivych zakątków historii przed reżimem jest życzeniem może pobożnym, ale naiwnym. Wiadomo już, że większość archiwów, między nimi archiwa okresu wojennego w kraju, ocalała i znajduje się w rękach reżimu. Ujawniając całą prawdę, Pobóg-Malinowski uprzedził reżym i utrudnił mu tendencyjne wykorzystanie posiadanych przez niego źródeł.

Może kiedyś, gdy zmieni się nasze położenie polityczne, gdy otworzą się widoki na odzyskanie niepodległości, przyjdzie czas na kierunek optymistyczny w naszej historiografii. Na razie i w dającej się przewidzieć przyszłości uniemożliwił to swoim dziełom Pobóg-Malinowski. Żaden bowiem z piszących po nim nie będzie już mógł przeskoczyć nad ujawnionymi przez niego źródłami, a będą one mówiły za siebie, gdyby nawet przekreślić jego interpretację. Nie ulega również wątpliwości, że przy niechętnym, a często wrogim stosunku ze strony poważnego odłamu czynników kierowniczych na emigracji, „Najnowsza Historia”, została życzliwie przyjęta przez rzesze czytelnice zarówno w kraju, jak poza jego granicami, czym tłumaczy się, między innymi, jej niezwykle powodzenie wydawnicze. Jest widoczne, że w obecnym okresie beznadziejności politycznej społeczeństwu polskiemu bardziej odpowiada poznanie całej prawdy ze wszystkimi wzlotami i upadkami, niż literatura, pisana ku „pokrzepieniu serc”

i przedstawiająca w różowym świetle to, co w gruncie rzeczy było nieraz bardzo ponure.

Poważniej, niż polskie sfery naukowe na emigracji, postraktowali „Najnowszą Historię” pisarze krajowi. Przenikanie tej książki poprzez żelazną kurtynę i jej wpływ, wynikający głównie z rewelacji na temat polityki sowieckiej wobec Polski, zaniepokoiły poważnie partię komunistyczną, a w następstwie — uzależnioną od niej naukę. Po ukazaniu się drugiego tomu, w atmosferze względnej swobody pisania, jaka panowała w latach: 1956-59, w prasie krajowej ukazały się dziesiątki recenzji, a takie kwartalniki, jak: „Przegląd Historyczny”, „Najnowsze dzieje Polski”, „Z Pola Walki” i „Wiś Współczesna” poświęciły książce Pobóg-Malinowskiego prawdziwe studia. W trosce o nadanie inspirowanym przez sekretariat Akademii Nauk recenzjom pozorów obiektywizmu, ich autorzy potwierdzają te walory książki, które uznane zostały za bezsporne przez całą polską opinię publiczną, zarówno w kraju, jak na emigracji, a więc ogrom wysiłku badawczego, dotarcie do źródeł, przedtem nieznanymi i szerokie ich udostępnienie przez liczne cytaty zarówno w tekście głównym, jak w przypisach. W krytyce formalnych usterek książki, większość autorów powołuje się na recenzje, drukowane przeze mnie na łamach „Kultury”.

Charakter stawianych Pobóg-Malinowskiemu zarzutów zasługiwałby na oddzielne studium. Dla celów tego artykułu wystarczy stwierdzić, że zmierzają one do opancerzenia czytelnika krajowego na wpływ polityczny omawianej książki. W pierwszym rzędzie chodzi o pozycję doktrynalną. Zdaniem większości recenzentów (m.in. prof. Kormanowa) wartość naukową książki obniża fakt rozpatrywania przez nią wydarzeń historycznych z pozycji solidaryzmu narodowego, gdy jedynie właściwa jest jakoby pozycja materialistyczno-marksistowska. Następna wada książki, wynikająca zresztą z pierwszej, polegać ma na wyolbrzymianiu znaczenia jednostek i kierunków politycznych, gdy procesy dziejowe wynikają rzekomo z presji mas społecznych i konfliktów klasowych. Jako przykład tych decydujących rzekomo presji społecznych, recenzenci krajowi, zwłaszcza partyjni, wymieniają powstanie w listopadzie 1918 roku republik „ludowych”: tarnobrzesckiej i pińczowskiej. Owszem, historiografia Polski Niepodległej zanotowała te drobne odruchy o charakterze raczej anarchistycznym, nie przekraczające jednego powiatu i nie mające prawie żadnego znaczenia wobec solidarystycznie wówczas nastrojonych mas narodowych, opowiadających się spontanicznie za niepodległością polityczną i pełną niezależnością zarówno od Niemiec, jak od komunistycznej Rosji.

Co najbardziej zaniepokoiło partię i zmuszonych do uległości historyków krajowych, to zdemaskowanie przez Pobóg-Malinowskiego imperialistycznej politycznie, a okrutnej i perfidnej w metodach polityki sowieckiej wobec Polski. Wszyscy recenzenci powołują się na rezolucję Rad Delegatów Robotniczych i Żołnierskich, powziętą w Petrogradzie w październiku 1917

roku i mającą rzekomo zdecydować o niepodległości Polski i życzliwym do niej stosunku Sowietów. Gdybyśmy w tę nie- zwykłe śmiałą tezę mieli uwierzyć, mielibyśmy wkrótce twardy orzech wątpliwości do zgryzienia. Oto w półtora roku później wyrusza najazd sowiecki na Polskę, uzasadniany w tym czasie, kiedy najeźdźca czuł się potężny, nie koniecznościami obrony, ale istotnym dążeniem: „Droga do rewolucji światowej prowadzi po trupie Polski”. Oto dowód, jeden z wielu, życzliwości Sowietów wobec Polski. Cytowane hasło z rozkazu dziennego Tuchaczewskiego zostało obłożone w Polsce ludowej cenzurą, ale widnieje ono na odpowiedniej stronie dzieła Pobóg-Malinowskiego. Trzeci tom spotkał się z reakcjami bardziej gwałtownymi, niż dwa pierwsze. Nic w tym dziwnego, bo chodzi znowu o stosunek Sowietów do Polski, o stosunek, który jest oparty na zasadach ciągłości historycznej w porównaniu z latami: 1917-20. Niewdzięcznym zadaniem historyków krajowych, podporządkowanym potrzebom propagandy partyjnej, jest uzasadnienie aneksji polskich ziem wschodnich względami sprawiedliwości dziejowej, a wprowadzenie do Polski ustroju komunistycznego na bagnietach rosyjskich dowodem przyjaźni „radzieckiej”. Spośród historycznych faktów haniebnych, historiografia krajowa znajduje się w stadium uzasadniania, według sowieckiego dyktanda, paktu Ribbentrop-Mołotow. Uzyskała również pozwolenie na tłumaczenie, jakże nieudolne, przyczyn wstrzymania ofensywy sowieckiej w sierpniu 1944 roku u wrót powstańczej Warszawy, mimo druzgocącej przewagi nad Niemcami. Nie wiadomo, czy i kiedy będzie jej wolno pisać o zbrodni katyńskiej. Wyręcza ją w tym zadaniu Pobóg-Malinowski, co powoduje jednocześnie pogoń władz policyjnych za książką i jej poszukiwanie przez czytelników. Setki listów, nadchodzących do sekcji polskiej radia paryskiego, w której autor „Najnowszej Historii” pracuje zarobkowo, i wołających o tę książkę, są dowodem jej znaczenia jako zaczynu fermentu wobec zniekształcania i fałszowania prawdy historycznej przez historiografię krajową. Autorzy krajowi, w przytłaczającej większości, nie wierzą zresztą w inspiracje, którym zmuszeni są ulegać. Prawie w każdej recenzji można odnaleźć, po wyliczeniu tez obowiązujących i zawsze jednakowych, choć indywidualnie tłumaczonych, jakieś zdanie porozumiewawcze w stosunku do krytykowanego, jakieś figlarne mrugnięcie okiem, a nieraz — przemycnąą tezę, sprzeczną z całością wykładu.

Oto Pobóg-Malinowski w kraju i na emigracji. I tu i tam źródło pierwszego po wojnie przekazu historiograficznego, zaspakającego, chociaż nie na zamówienie, potrzebę społeczną. I tu i tam źródło rewelacji nie tylko dla uczestników wydarzeń, ale dla szerokich rzesz czytelniczych. I tu i tam chętnie i z zacięciem czytany, dzięki niekonformistycznej niezależności wobec wszystkich czynników i autorytetów uznanych i dzięki wyzwoleniu się z przesądów o fałszywie pojętej jedności wobec wrogiej propagandy, „co czuwa”...

Przeciwników Pobóg-Malinowskiego z obozu pisarskiego źle usposabia przede wszystkim ogrom dokonanej przez niego pracy. Dziesięć lat badań, siedem lat pomiędzy ukazaniem się pierwszego i ostatniego tomu, to wysiłek, którego nikt jeszcze na emigracji ani w kraju nie podjął się indywidualnie, dokonany w niemożliwych prawie warunkach. W swoim znakomitym „Eseju dla Kassandry” (3) pisze Hostowiec, że w seminarium prof. Askenazego na uniwersytecie lwowskim „pracowało do 80 studentów, przetrząsających według wskazówek mistrza archiwa całej Europy”. Pobóg-Malinowski pracował sam, archiwa musiał wykrywać, niektóre udostępniano mu niechętnie. Mamy na emigracji trzy instytuty historyczne: dwa imienia J. Piłsudskiego: w New Yorku i w Londynie, jeden im. gen. Wł. Sikorskiego w Londynie. Wszystkie, zwłaszcza dwa pierwsze, są ubogie, ale wszystkie rozporządzają jakimś, choćby minimalnym budżetem, na czele każdego stoją autorytety, wzbudzające zaufanie swą przeszłością. Pobóg-Malinowski był zawsze sam, bez budżetu, pisał na marginesie zajęć zarobkowych, podróżował i przeprowadzał studia archiwalne za pożyczone pieniądze, lub za awanse, wpływające na tom następny, był swoją własną sekretarką, buchalterem, chłopcem do posyłek. Tą zdumiewającą pracowitością, uporem, wyrzeczeniem się powabów życia dla zadania, które uznał za swoją misję, zdobył sobie autorytet, uznanie czytelników i wreszcie — zainteresowanie wydawców. Mobilizacja krytyki już go nie obali. Można mu przeciwstawić nowe, może lepsze dzieło, ale i wówczas byłby dumny, że powstało dzięki jego wyzwaniu. „Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej” wydane przez Instytut im. gen. Sikorskiego są wielkim i pięknym dziełem, mimo wielu usterek, które można mu zarzucić. Zostało ono jednak opracowane przez zespół kilkunastu autorów w ciągu kilku lat. „Najnowszą Historię Polityczną Polski”, niewiele mniejszą objętościowo, 3 ogromne tomy, liczące 1973 stronic, napisał jeden człowiek. Mimo zastrzeżeń, którym dałem wyraz w recenzjach, zamieszczonych na łamach „Kultury”, jestem pełen szacunku dla prac Instytutu Historycznego, który powstał w małym mieszkanku na piątym piętrze w popularnej dzielnicy Paryża. I nic mi nie szkodzi, że jest to Instytut Jednego Człowieka.

AL. KAWAŁKOWSKI

(3) *Eseje dla Kassandry* — Instytut literacki, Paryż 1961.

Drugie przyjście

OPOWIEŚĆ ŚREDNIOWIECZNA

*Turning and turning in the widening gyre
The falcon cannot hear the falconer;
Things fall apart; the centre cannot hold;
Mere anarchy is loosed upon the world.
The blood-dimmed tide is loosed, and everywhere
The ceremony of innocence is drowned;
The best lack all conviction, while the worst
Are full of passionate intensity.*

*Surely some revelation is at hand;
Surely the Second Coming is at hand...*

W.B. Yeats: „The Second Coming”

1. Zarazy, kruchość życia ludzkiego. Ludzie, rozprostowując rano kości, nie wiedzieli czy wieczorem nie zgłosi się po nie grabarz. zapaliwszy przedtem u progu domu wybranego na oślep przez Śmierć ogień znaczący stygmatem skrawek ziemi, którym przeszła. Po miastach i wsiach pełzały nisko dymy, a pienia żałobne i błagalne inwokacje procesji, posypywanie głów popiołem z wypalonych śladów Najścia, publiczne spowiedzi chóralne, składanie nagich niemowląt u stóp ołtarzy, należały w wielu dotkniętych groźbą miejscowościach do praktyk codziennych. Dość było byle poszlaki dla przychwycenia w niewinnych oczach dziewczyny skradającego się cienia Księcia Ciemności; okrucieństwo podsycane strachem i egzasperacją nie znało wówczas granic. Proste umysły, nienawykłe do mierzenia życia jedynym dostępnym nam metrem śmierci, wpadały w popłoch na widok tak szalonego triumfu nietrwałości i przypadku. Podskórny głód nieśmiertelności szedł w parze z przekonaniem, że Bóg na skraj przepaści przywiódł

wierną trzodę, by w ten sposób gniewnym palcem napiętnować gnuśność i ospałość Swych pasterzy. Szukanie ratunku w ascezie było powszechne.

4 maja 1260 roku wyszedł na ulice Perugii korowód pokutników w czarnych workach na głowach. Nazwali się *disciplinati*, a potrzebą skruchy natchnął ich świętobliwy eremita Fra Raniero Fasani. W powietrzu wisiało przecucie brzemennych dni: był to rok, który według proroctwa opata kalabryjskiego Giovacchino miał otworzyć trzecią i ostatnią erę Ducha Świętego.

Szli wolno, na znak odcięcia od świata omroczeni kapturami, bosymi stopami obmacując krok za krokiem wzgardzoną ziemię. Śpiewali *laudi*, wzywali Miłosierdzia Boskiego głosami podobnymi do wycia zwierząt, złorzeczyli dziełom życia i ziemskiej miłości, chłostali się nawzajem różgami, zapowiadali niebiański grad kar i pomsty, wyciągali po omacku ręce drżące ze strachu ku krucyfiksom i obrazom niesionym na czele pochodu, kłuli i szarpali własne ciała hakami, zbijali się w grupy krążące w miejscu, poruszane tańcem szału i zgrozy. Budzili z uspienia pamięć Męki Pańskiej wpatrzeni w upragnione Królestwo Ducha. Przekroczywszy bramy miasta, odrywali po drodze swym przykładem ludzi od pługa, zostawiając za sobą pustynię w miarę jak rosły ich szeregi. Z wysokiej Perugii widziano ich wieczorem na horyzoncie, migocących ognikami pochodni: szukając wiekuistej światłości, weszli w ciemność. Na pierwszym wielkim rozdrożu, jak pokawałkowany wąż rozpełzli się na cztery strony świata, który sechł i pękał nietknięty rosą zbawienia. W ciągu paru miesięcy pojawili się na ulicach Rzymu, Arezzo i Bolonii, na gościńcach Veneto, Emilii, Ligurii i Piemontu, wszędzie znajdując nowych żywych na miejsce porzucenych w marszu umarłych; w ciągu paru lat echo ich kroków przebiło zaporę Alp, jednając im naśladowców w Niemczech, w Czechach, w Polsce. Gdziekolwiek rozbrzmiewał ich chód, był chodem pościgu za przewrotnym Wrogiem z tej ziemi. Gdziekolwiek rozlegał się ich głos, był głosem ostrzeżenia przed Szatanem.

Równocześnie nie spał istotnie Książę Ciemności. Rozpacz, bezradność i lęk odmykały serca ascezie, lecz wraz z nią jej nieodstępnemu towarzyszowi: kusicielowi otchłani. Niepewność dnia i godziny podzegała do występku i zbrodni. Ciała ocalałe od stosów i kremacji spalały się w gorące, trawione grzesznym płomieniem. Ręce chwyciły za dzban wypełniony po brzegi obietnicą zapomnienia i odurzenia. Kobiety wybiegały z domów opętane przez diabła, z krzykiem rozdzierając na sobie do naga suknie. W czeluściach nocy ostrzono noże skrytobójcze, gotowano truciznę, knuto zdrady. Życie było bezładnym szamotaniem się w sidłach. Nigdy jeszcze człowiek nie ukazał tak jaskrawo swej przyrodzonej

nedzy, splecionej z wieczną i wiecznie nienasyconą tęsknotą do anielstwa.

2. Mimo że na Orvieto nie spadł dotąd Bicz Boży, Urban IV wiedział iż także tutaj sięga powiew burzy: nic to, że bez błyskawic chwilowo i gromów. Z okna *Palazzo Vescovile*, gdzie mieszkał, zdarzało mu się często oglądać przez szparę w zasłonie tłum na placu, niespokojny i podniecony, niczym dzika trawa w którą raz stąd raz stamtąd uderza wiatr spozierające ku balkonowi nie ciężkich chmur deszczowych; oczy spozierające ku balkonowi Pałacu ukradkiem, jakby w oczekiwaniu na znak; niemniej ukradkowe szept. Kiedy na swojej *sedia gestatoria*, rozsiewając na obie strony błogosławieństwo krzyża, przepływał nad mrowiem głów do któregoś z kościołów — do *Santa Maria Prisca*, do *San Lorenzo de Arari*, do *San Domenico*, do *San Francesco*, lub do *San Giovenale*, — nie mógł się pozbyć uczucia, że zgięte grzbiety odchylają się zbyt gwałtownie i niecierpliwie, jak fale morskie targnięte pierwszym dreszczem ciemniejącego nieba.

Unikał *San Andrea*, odpędzając od siebie i innych wspomnienie swego poprzednika, który z tej ambony przed pół wiekiem ogłosił Czwartą Krucjatę. Co miał sam do ofiarowania ustom spragnionym żywej wody cudów, spojrzeniom w których strach przed zaczajonym gdzieś blisko widmem świecił okrutną gwiazdą wiary niczego niesytej? Wolał wspominać straszną diatrybę, którą inicjator Czwartej Krucjaty napisał był w *De Miseria Humanae Conditionis* jeszcze jako Lotario Diacono: „Co powiem o nieszczęśliwych, którzy od niezliczonych pokoleń są zabijani mękami? Są zatłukiwani kijami, są na kawałki siekani mieczami, są paleni płomieniami, są kamieniowani, są drapani pazurami, są wieszani na szubienicach, są rozszarpywani przez tygrysy, są biczowani skorpionami, są wiązani sznurami, są smagani postronkami, są wtrącani do lochów, są umartwiani postami, są z góry rzucani w dół, są topieni, są obdzierani ze skóry, są włóczeni, są piłowani, są deptani. Komu śmierć, temu śmierć; komu nóż, temu nóż; komu głód, temu głód; komu loch, temu loch. Na okrutny sąd, na okrutną karę, na smutne widowisko: na pożarcie ptakom niebieskim, zwierzętom ziemskim i rybom morskim. Biada wam, biada, biada, żałosne matki które wydałyście na świat tak nieszczęśliwych synów!”

Nocami męczyła go bezsenność. Uważał ją, mimo sześćdziesięciu trzech dopiero lat, za zapowiedź rychłego powołania przed tron Najwyższego. Modłać się w duchu na próżno o dobrodziejstwo snu, oparty dla ulżenia kaszlowi na czterech poduszkach w pozycji na wpół siedzącej, wpatrywał się przy świetle jedynej świecy płonącej w niszy obok łoża to w brokatowy dach balda-

chimu nad sobą, to w mrok rozrzedzony kryształowymi tafelkami ostrołuku okiennego przed sobą. Miasto spało obstukiwane krokami straży nocnych. Z dołu, z obozowisk ciasnym pierścieniem rozłożonych dokoła wzgórza orvietańskiego, dochodziło niekiedy szczekanie psów bądź urywane okrzykiwanie się ludzi. Dziwną, gorzką pociechę niosły te odgłosy życia.

Mądrość tkwiła w zrozumieniu, że nie ma wielkiej różnicy między wiarą występującą z brzegów a jej wyschniętym łożyskiem. Od jego panowania jednak oczekiwano dowodu że jest godnym pomazańcem Tego, który dał ciało Swoje za życie świata. Śmierć była prawdziwym rybakiem dusz, lecz śmierć też wydobywała z nich głód zmieniający nadzieję w rozpacz, miłość w nienawiść, rozwałę w szaleństwo, pokorę w gwałt. Gdzie tak blisko sąsiadowały ze sobą wrogie żywioły, nakarmić głodnych mógł tylko rozmnożony powtórnie cudowny chleb.

Bezsensowność wywoływała drętwość całego ciała. Zazwyczaj, w przypadkowym kołowaniu myśli, w bezcelowym krążeniu wokół scen pamięci lub wyobraźni, dochodził w końcu do punktu w którym, jak znużony wędrowiec, bardziej osuwał się w przepaść otwartą nagle pod stopami niż zasypiał. Budził się wówczas po dwóch-trzech godzinach, wiedząc że nie powtórzą już tego żadne modlitwy; pozostawało czekać aż wypukłe szybki z kryształu zaskrzą się od pierwszych promieni światła dziennego.

Bywało że przed świtem, by skrócić ostatnie godziny przy-musowego czuwania, schodził do ogrodu na tyłach *Palazzo Vesco-vile*. Dzień podnosił się najpierw opieszale, wymotywany niewidocznymi jeszcze palcami słońca z powijaków nocy, ale gdy niedaleka stawała się chwila świtu, jasność wybuchała nagle z siłą jakiej nie posiadała już potem więcej aż do ponownego zgaśnięcia u bram zmierzchu. Stwórca przypominał, Naturę biorąc na świadka, że nigdzie światło nie odnosi pełniejszego zwycięstwa niż na pograniczu nocy i dnia? Jak okiem sięgnąć, nad namiotami obozowisk rozkwitały białe storczyki dymów. Na drogach budził się ruch. Żółto-zielona Umbria obejmowała o świetle Orvieto ramieniem lśniącym od złocieli.

3. Jednego z ostatnich poranków lipca 1263 roku ujrzał na drodze z Bolseny czarną plamę, która pęczniała szybko zdążając ku Orvieto. Towarzyszył jej rosnący wciąż krzyk, podobny to do ujadania psów, to do nawoływania pod broń. Im bliżej, tym wyraźniej można było zobaczyć ciżbę ludzką zamykającą jak obrecz coś albo kogoś w środku. Czoło pochodu posuwało się w górę tyłem, jakby idący nie chcieli ani na chwilę oderwać oczu od swej zdobyczy. Nowi i nowi ludzie przyłączali się zewsząd do tłu-

mu; niektórzy, zepchnięci z drogi, piełi się z boku jej pochyłością na czworakach.

Gdy pochód znalazł się w linii niemal pionowej pod ogrodem Pałacu, oczom patrzącego ukazał się nareszcie młody mężczyzna w podartym na strzępy habicie, lżony, opluwany, szarpany dziesiątkami rąk, popychany naprzód uderzeniami; szedł bosy, potykając się, z opuszczoną głową, ciągniony czy raczej wleczony na sznurze którym związano go w przegubach dłoni.

Był od niedawna księdzem w Bolsenie. Dręczyły go, jak sam nieopatrznie wyznał, wątpliwości czy Chrystus obecny jest również w Eucharystii. Skazano go na siedmiodniowy pręgierz publiczny o głodzie a potem, gdyby cierpiąc wymierzoną karę nie oddał Bogu skażonego herezją ducha, na dożywotnią banicję. Zawisł w żelaznej klatce na szczycie najwyższej w Orvieto wieży, zwanej *Torre del Papa*.

4. Liczyła czterdzieści sześć metrów wysokości. Kwadratowa, z niewielką ilością małych otworów okiennych przeznaczonych wyłącznie do oświetlania ślimacznicy schodów, wyglądała jak nagi pal kaźni. Do połowy mieściły się w niej lochy więzienne dla tych, którzy nie mieli już nigdy ujrzeć dnia Bożego. U szczytu otaczała ją kryta daszkiem galerijka, miejsce skąd na długiej i grubej wędce żelaznej wystawiano sześcienną klatkę pręgierza.

Górując nad Orvieto, przyciągała do siebie z każdego punktu wzrok jego mieszkańców. W dzień sterczała kołem wbitym w żywe ciało miasta. Nocą wydawała się szkieletem z kamienia i niby wymierający ul z rzadka szumiała w ciszy jękiem więzionych.

U jej podnóża zbierali się na okrągłym dziedzińcu przechodnie, ilekroć wznawiał działalność pręgierz. Często, co miało być przedmiotem urągowniska publicznego, przywodziło na myśl gapiom zadzierającym głowy do góry rzeźby aniołów zawieszane przez budowniczych pod sklepieniami kościołów: wysokość wieży i skąpy obszar dziedzińca sprawiały, że w oczach patrzących nań z dołu więzień żelaznej klatki, gdy stał z rękami szeroko rozpiętymi na kracie, miał za tło tylko bezmiar nieba. Ale nawet to nie łagodziło wzbierającego rozjątżenia. Przeciwnie — resztki ludzkiego miłosierdzia zadeptywał fakt, że skazaniec śmiał przypominać jednego z posłów niebiańskich, że odgrywał mimowoli rolę anielskiego prześmiewcy i błazna. Wygrazające mu pięści bodły powietrze jak uzbrojone w włócznie.

Słońce było jedynym oprawcą odszczepieńca z Bolseny, ludzie nie mogli go już dosięgnąć. Z początku siedział na drewnianej podłodze klatki skulony, z głową opartą czołem na kolanach i osłoniętą łukiem ramion. Całe dwa dni spędził w tej pozycji, nieczuły na chłostę gorącego lipca umbryjskiego; gdyby nie wyraz

skurczu i napięcia w jego postaci, sądzono by że umarł — nie poruszał się nawet trącany końcem trzciny na której co jakiś czas nadzorca pręgięra podawał mu z galeryjki gąbkę do zwilżenia warg. Zawiedziony tłum to przerzedzał się to znowu gęstniał, oczekując niecierpliwie **tego co jest najwyższą rozkoszą** ludzkiego okrucieństwa: obnażonego do dna obrazu cudzego cierpienia i poniżenia. W górze widać było tylko wiszącego na nitce ogromnego pajaka, który nie umiał lub nie chciał wyssać swej ofiary.

Dopiero drugiego dnia pod wieczór skazaniec ocknął się z bezruchu. Nie wstając i nie patrząc w dół, nagiął się do przodu i upadł na klęczki. Modlił się z twarzą przytkniętą profilem do ostrza złożonych dłoni. Czerwieniejący zachód obrysował go z wyrazistością rylca. Tak, przy dźwiękach obelg i okrzyków które przybrały teraz na sile, ciemność okryła go litościwie swym czarnym płaszczem. Kilka przyniesionych pochodni nie zdołało już rozerwać zasłony, noc była bezksiężycowa.

Nazajutrz zebrany znowu tłum zakosztował pierwszych owoców swego oczekiwania. Było blisko południa, gdy klatka zadrżała od szarpnięcia i ujrzano jak jej więzień uczepił się kurczowo trzciny z zatkniętą na końcu gąbką. Wpił się ustami w mokry strzępek, oddychając szybko jak wstrząsany spazmami. Wypuściwszy gąbkę, usiadł na powrót w tej samej co przedtem pozycji. Ale nie uszedł uwadze widzów jego konwulsyjny wciąż oddech, podobny do łkania.

Przedostatniego dnia tygodnia wczesnym popołudniem, kiedy pod Wieżą Papieską drzemało tylko paru żebraków, martwą godziną zatargał krzyk. Przebudzeni żebracy oderwali się od muru spłoszeni. Na wpół jeszcze pijani od snu i upału, pomyśleli zrazu że przywidziało im się tak gwałtowne kołysanie się klatki i tak nieprzytomne szamotanie się jej więźnia; że to senne urojenie podsunęło im scenę na którą, żebrząc pod murami wieży, również czekali jak na dowód iż jest przecież na świecie ktoś, komu nawet ich los musi się wydać godny zazdrości.

Odszczepieniec z Bolseny poczuł na sobie wreszcie niewidzialną pętlę słońca.

Bardziej niż krzyk, głos dobywający się z jego gardła przypominał śmiech szaleńca. I on sam zachowywał się tak, jakby pięciodniowa walka przeciw męce zgotowanej przez bliźnich odebrała mu rozum: biegał wokół klatki podrygując i małpimi ruchami rąk chwytając się krat, to znowu stawał na środku i nakrywając głowę gołą głowę, miotał ku obojętnemu niebu bluźnierstwa; w chwilę potem osuwał się na podłogę i zaciekłe, nie zważając na płynącą obficie krew, bił czołem o deski. Czymże był teraz — z twarzą umazaną krwią, w swym obłąkanym tańcu i krzyku rozpaczy podszitym śmiechem — jak nie wizerunkiem diabła,

zmuszonego w końcu do zrzucenia maski? Nic nie zostało z drażniącego złudzenia anielstwa, jakiego pręgięra na szczycie Wieży Papieskiej używał swym ofiarom. Brakowało tylko by z ust opętanego poczęły się wyslizgiwać języki ognia, a spod jego stóp sypać krzesane skokami iskry.

Ale tłum, przywołany krzykami na ostatni akt widowiska, zamiast smakować głośnie kropla po kropli upragnioną chwilę, stał w milczącym wahanu. Cały ukryty lęk wieku odbił się naraz, jak w krzywym zwierciadle, w postaci diabelskiego błazna wyjącego z niebu i ludziom. Nie trwało to długo. Kiedy więzień klatki upadł niby trafiony gromem i więcej się nie podniósł, tłum otrząsnął się z przelotnego zamroczenia litości: żądano jego zwłok, chciano je rozszarpać i rzucić psom na pożarcie.

5. Stos z pociętych bierwion ustawiono dziesięciometrowy, u góry przywiązano sznurem do pionowej osi zwłoki wyjęte z klatki. Gdy płomień ogarnął tylko korę i dotknął samych łachmanów skazańca, dym był czarny i niski, opadał ciągle na ziemię jak zadeptywana kita pióropusza. Tłum cofnął się półkolem na skraj dziedzińca, odepchnięty pierwszym podmuchem gorąca i dymem gryzącym w oczy.

W końcu zajęło się drzewo. Ogień buchnął naraz zewsząd. Różowe języki goniły się i łączyły, koroną otaczając na szczycie stosu żerdź z przywiązanym do niej trupem. Dym, jak słup z najbielszej owczej sierści, wzniósł się wyżej od galeryjki wieńczącej *Torre del Papa* i tam rozszczepił się na setki pasemek podobnych do płatków przekwitłego kwiatu. Był tak gęsty, że zasłonił całokowicie palonego. Zaledwie dwa czy trzy razy widziano jego długie ciało w płomieniach i głowę opiętą ognipiórem.

Ostatnie chwile upalnego dnia zdawały się bardziej jeszcze podsycać płomienie stosu. Bierwiona paliły się z suchym trzaskiem, szybko, i gdyby nie to że ułożono je spoście i bez otworu wewnętrzznego, płonąca wieża runęłaby po kilkunastu minutach — za wysoka dla utrzymania zbyt długo równowagi. Teraz jednak zamieniła się w czerwony lity blok, pożyłkowany tylko gdzieś w szczelinach. Przepalony sznur pękł i zwłoki upadły twarzą na dach stosu. Wkrótce poczęły się rozpyływać niemal w żarze najwyższej warstwy.

Kto spróbowałby odczytać z twarzy widzów ich uczucia od chwili gdy zwłoki heretyka z Bolseny wydobyto z klatki do chwili gdy spadły z żerdzi na stos i utonęły w płomieniach, miałby przed sobą zawiły wykres ludzkich namiętności. Chciano go rozszarpać i rzucić psom na pożarcie, i trzeba było żelaznej oburczy strażników by utrzymać tłum na odległość. W trakcie budowania

— Bóg wie, że to jest prawda — powiedział cicho, wysłuchawszy ich do końca. — Ja zaś, Jego namiestnik na ziemi, zakazuję wam ją rozgłaszać.

Na placu, otoczony przez tłum, kończył swą opowieść jeździec który spadł z konia i nie zdołał już dotrzeć do bramy Pałacu.

Słuchano go w skupieniu i nie przeszkadzano mu pytaniami, choć to co mówił było bezładne i trudne do pojęcia.

Duchowny, nieznany nikomu cudzoziemiec, zatrzymał się był w Bolsenie w drodze do Rzymu. O świcie zszedł do krypty Świętej Krystyny by odprawić mszę przed ołtarzem zwanym *Quattro Colonne*. Najpierw zapadł w pomrok u stóp ołtarza, i jakże mogło być inaczej skoro nie tak dawno tych stopni dotykało obuwie bluźniercy, który w skrytości ducha nie wierzył nigdy w tajemnicę Chleba Pańskiego? Potem, przywrócony zmysłom, wstąpił na ołtarz. Msza ciągnęła się wolno, było coś dziwnego i wróżebnego w powietrzu krypty, Bóg ważył czy ma przemówić głosem cudu w miejscu gdzie był tak długo obrażany. Zaledwie trzy dni temu dokonano uroczyste rekonsakracji ołtarza, a przecież tylu widzac dostojników Kościoła, samego biskupa Orvieto celebrującego mszę, Bóg wybrał wówczas milczenie. Może chciał się objawić w palcach nieozdobionych pierścieniami? Może zwiastuna swego Drugiego Przyjścia umyślnie upatrzył sobie w ubogim i ufym pielgrzymie zdążającym zza gór i mórz do Jego ziemskiej stolicy? Dość że w momencie Komunii płatek Hostii zamienił się w palcach nieznajomego w Boże Ciało i począł broczyć krwią. Cudzoziemiec zadrżał, krzyknął i padł bez czucia. Wyniesiono go do zakrystii i tam poniechano: wszyscy pragnęli podziwiać pozostawiony na ołtarzu Korporał z kroplami krwi tworzącymi podobiznę Ukrzyżowanego. Modlono się długo, wznoszono prośby o łaskę dla Bolseny splamionej niedawno bluźnierstwem, o ocale nie od moru i dżumy. Gdy przypomniano sobie o tym, który posłużył jako ślepe narzędzie cudu, było już za późno. Zakrystia świeciła pustką. Wysłano gońców w stronę Rzymu, pamiętając o celu podróży cudzoziemskiego pątnika. Daremnie. Czy był jednak tylko ślepym narzędziem cudu? Czy nie należało odczytywać w jego zniknięciu głębszego znaku?

Urban! Urban! — zawołał ktoś i zawtórowali mu inni. Imię, wymawiane dotąd bojaźliwie lub niechętnie, załopotало nad placem. W pobliżu opowiadającego, a potem w pobliżu jego towarzyszy, wiwatowano najgłośniej. Kilka kobiet odepchnęło wartowników papieskich i przywarło do bram Pałacu. Jakiś mnich krzyknął: *Secundus Adventus!* i wzywał wielkim głosem do uczczenia pod *Torre del Papa* miejsca olokaustu, który dał swe cudowne owoce. Werbowano nowych jeźdźców na poszukiwania niezna-

mego, i wkrótce duży zastęp pocwałował w dół i na rozdrożu u stóp wzgórza orvietońskiego rozpadł się na trzy sztafety. Znowu i znowu, kołatając krzykiem do zasłoniętych okien Pałacu, domagano się Urbana.

7. Siedział nieporuszony, z nogami opartymi sztywno na podnóżku, patrząc w duży krucyfiks na ścianie i przebiegając palcami czarne korale różańca. Od dawna już nie słyszał pod murami Pałacu takich głosów, od dawna już — pogodzony z obrazem tłumy spozierającego ku jego siedzibie z niemym wyrzutem i oczekiwaniem, chylącego się przed nim na placach i ulicach tak opornie jakby niewidzialna ręka musiała zginać twarde karki — myślał że pozostawało mu tylko odejść i ufać iż Bóg większą łaskę okaże jego następcy. A przecież ten krzyk pobożności i wiary, w którym zwracano mu miłość odebraną lub wystygłą, nie rozgrzał jego serca. W mózgu wyschniętym od bezsenności, jałowym jak noce które go wyssały, rozbrzmiewało ciągle echo słów z *De Miseria Humanae Conditionis*; przed oczami utkwionymi w krucyfiksie — może od bólu kłującego powieki tysiącami igieł? — nagie i chude ciało przybite do krzyża wleczonego na sznurze z łuny stosu, podobne naraz do ciała wleczonego na sznurze z Bolseny do Orvieto: „na okrutny sąd, na okrutną karę, na smutne widowisko”; w palcach, gdy upewniały się na okrągłości różańca c drogach jakimi toczą się wyroki Boskie i losy ludzkie, chłód niedopływu krwi zamieniał się w skostnienie: „biada wam, biada, żałosne matki które wydałyście na świat tak nieszczęsnych synów!”. Czemu, w pierwszym impulsie, wzbrosił rozgłaszać świętą nowinę? Pamiętał tylko że jakiś obcy, a jednak znany mu skądś głos, wyręczył go mówiąc: „Bóg wie, że to jest prawda. Ja zaś, Jego namiestnik na ziemi, zakazuję wam ją rozgłaszać”. I zaraz po nim drugi głos: „Bóg wie, że to jest prawda?”.

Urban! Urban! — krzyki dochodzące z placu były coraz słabsze. Czemu miałby nie przeżyć takiej samej chwili, jaką Bóg dał Innocentemu III na ambonie *San Andrea*? Czemu miałby nie ujrzeć jak w nim ucieleśniona, w nim też czczona jest Święta Wiara? Wtem, odwróciwszy od krucyfiks wrozek ku oknu, uprzytomnił sobie że zapadł już zmrok. Wstał, podszedł do wykutej w murze niszy okiennej, opadł na kamienny występ u stóp łuku i odgarnął rąbek zasłony. Na placu błąkała się zaledwie garstka maruderów. A nad placem księżyc w pełni, płatek Hostii zawieszony na firmamencie.

Nocą doczekał się wreszcie swego krótkiego snu. Dwa obrazy senne nałożyły się na siebie tak szybko, że nie podobna było uchwycić między nimi przejścia.

Z Bolseny prowadzono doń w procesji nieznajomego pielgrzyma. Pochód zbliżał się do Orvieto przy biciu we wszystkie dzwony, a on zamiast wyjść mu naprzeciw od bram miasta w złocie tiary i bieli gronostajów, stał drżący i samotny na swoim zwykłym miejscu w ogrodzie Pałacu Biskupiego. Przez nikogo niewidziany, widział — wśród wielobarwnych chorągwi, obnażonych mieczy, zjeżonych włóczni i monstrancji błyszczących gwiazdami klejnotów — młodego człowieka który w dwóch palcach prawej ręki trzymał wysoko nad głową czystą i białą tarczę księżycą. Jego twarz jaśniała światłem wiary. Naraz wykrzywił ją skurcz strachu, i Urban rozpoznał heretyka z Bolseny. Wszystko zmieniło się, jak zmienia się tylko we śnie. Chorągwie pokryły się kirem pokutniczym, zgasły monstrancje, miecze i włócznie pochyliły się w dół i ostrzami i grotami dotknęły zranionego ciała, które posuwało się wolno naprzód w takt szarpnięć sznura z uniesionymi do góry, pustymi rękami. Lecz mimo iż śniąc miał poczucie snu, krzyknął by okazano miłosierdzie nieszczęsnemu. Nikt nie dosłyszał jego krzyku. Nikt z wyjątkiem skazańca: nie było teraz w tych oczach strachu, a bezkrwiste wargi wyszeptaly z trudem jedno słowo. Urban, przebudziwszy się, powtórzył je dwukrotnie na głos i zdawało mu się że w ten sposób wyniósł w zaciśniętej pięści grudek ziemi z tamtego brzegu ciemności. Księżyc już zbladł na posiniałym niebie.

Rano wysłał Maltragę do Bolseny.

8. Trzy dni trwał pobyt Maltragi w Bolsenie. Czwartego pchnął do Orvieto gońca z zapowiedzią, że wraca wioząc cudowny Korporał. Nie znaleziono Hostii, jak nie znaleziono tego w którego rękach spłynęła krew Pana.

Urban pieszo wyruszył mu na spotkanie. Niesiono nad nim baldachim, który ochraniał go od słońca sierpniowego. Szli za nim biskupi, szło dwóch Doktorów Anielskich, szedł lud. Kreta droga z miasta na równinę otaczającą wzgórze długo wyglądała jak wezbrany potok górski.

Oba orszaki, konny i pieszy, spotkały się nad brzegami Rivo Claro.

Maltraga zsiadł z konia i wszedł na most, trzymając przed sobą w rękach rozpostarty Korporał. Na drugim brzegu rzeki uklękł Urban: złożył dłonie do modlitwy, pochylił głowę na piersi i nie podnosił oczu, skupiony w nasłuchiwanie zbliżających się kroków. Nie drgnął nawet wówczas, gdy Maltraga stanął przed nim tak blisko iż wyciągnawszy rękę można było dotknąć skraju jego szaty. W ciszy zaległej na błoni woda szumiąca w dole ślizgała się na kamieniach jak żywe ciało: srebrny wąż sunął

naprzód to z jednostajnym szelestem, to wyszarpując się gwałtownymi uderzeniami z przesmyków między głazami. Mogło tak trwać wieki, świat mógł znieruchomieć w tej scenie; gdyż świat nie był niczym innym jak tajemnicą śmierci i nieśmiertelności, zawieszoną niby miecz nad głową człowieka, który całą swą nędzę widzi w falach płynącej rzeki, w piasku przesypującym się w klepsydrze.

Ale w końcu trzeba było ośmielić spojrzenie. Na białym płótnie plamy krwi utworzyły koronę cierniową, tak wyraźną jakby była dziełem pędzla; niżej dwa dłuższe zacieki połączyły się w brodę. I żaden mistrz nie potrafiłby oddać lepiej pustką nieobecnej twarzy tego co składało się na wizerunek milczącego cierpienia odcisnięty na skrawku lnu za sprawą rąk nieznanego pielgrzyma.

Wracano w triumfie. Droga była za wąska i kręta by pomieścić wszystkich, którzy nie chcieli tracić z oczu relikwii cudu. Żółto-zielona dolina, zalana po brzegi słońcem, drżała od rozsypanego tłumy. Urban wspinał się wolno w ruchomym cieniu baldachimu, wpatrzony w kolorowe pudełka domów na szczycie, w kampanile, w kamienną koronkę murów obronnych, w gęstą i chłodną zieleń ogrodu na tyłach Pałacu: mogło mu się wydawać że zobaczy tam siebie samego, jakby sen zmienił odbicie między dwoma zwierciadłami.

Na placu przed kościołem *Santa Maria* ustawiono ambonę. Spodziewano się że przemówi u kresu długiej procesji, lecz on wszedł na drewniane podium, pokonany zmęczeniem oparł chwilę łokcie na krawędzi, po czym obrócił się kilkakrotnie dokoła z białą chustą rozpiętą w ramionach. Za każdym razem wychylał spoza niej twarz i bez słowa, wzrokiem wyblakłym i pogardliwym lub tylko znużonym, patrzył na tysiące wiernych.

Ślubowali zbudować dla Korporału katedrę wyższą od Wieży Papieskiej. Miała świetnością swą górować nad wszystkim, co dotąd wzniosły ludzkie ręce natchnione wiarą. Miała w białoczarnych ścianach z szlachetnego kamienia, w kolumnach inkrustowanych rzeźbami, w strzelistych witrażach gotyckich, w rozetach i złotem wysadzanych mozaikach, w smukłych wieżyczkach, w architravach, naśladować kształt harfy niebiańskiej której struny trącają aniołowie śpiewający *Gloria*.

W rok później, ustanowiwszy z pomocą Tomasza z Akwinu *Corpus Domini*, umierał w Perugii Urban.

9. Umierał w mękach, na które ludzka pomoc nie znajdowała lekarstwa. Opuchnięty i pokryty na plecach ranami od dwumiesięcznego leżenia, szarpany w piersiach okrutnymi bólami, pozabawiony wciąż błogosławieństwa snu, nie panujący nad władzami

poszedłem po trzeciego. A ten trzeci był młody jeszcze, dobrze się prezentujący, urodziwy popiszcz, no, jednym słowem — kawał chłopca. Prowadzę go przez korytarz, patrzę, jak długie poły sutanny podnosi w progę, a tu na mdłości jakoś mi się zbiera, nie mogę zrozumieć co się dzieje. Wyszliśmy na podwórko. Pop brodę do góry zadziera, patrzy w niebo. „Maszeruj — powiadam do niego — ojczulku, nie oglądaj się! Sam sobie — powiadam — raj wymodliłeś!”. To ja tak, znaczący się, pożartowałem tylko, żeby się na duchu pokrzepić. A po co — sam nie wiem. W życiu ze mną coś podobnego nie zdarzyło się, żeby ze skazanymi na śmierć gadki odstawiać. Przepuściłem go na trzy kroki naprzód, jak być powinno, wstawiłem lufę mauzera między łopatki i wystrzeliłem. Mauzer, to on, sam wiesz, jak bije — istna armata! I odrzut taki, że mało co, a wyrwałoby ramię z barku. I patrzę się ja, uważasz, i widzę że ten rozstrzelany pop odwraca się i zaczyna iść na mnie. Naturalnie, nie zawsze za pierwszym razem skończysz: poniektórzy od razu się wał, jak worek, inni na miejscu kręcą się, jak bąk, a zdarza się, maszerować zaczynają, zataczają się, jak pijani. A ten idzie prosto na mnie drobnymi kroczkami, płynie w tej swojej sutannie, jakbym w ogóle do niego nie strzelał. „Co ty — powiadam — ojczu, stój!”. I jeszcze raz przyłożyłem lufę — do piersi. A on sutannę na piersi rozrywa, bracie, rozchyła na oścież — a pierś włochata, kędzierzawa, idzie i krzyczy na cały głos: „Strzelaj — powiada — do mnie, Antychryście! Morduj mnie, Chrystusa swojego!”. Straciłem głowę zupełnie, wygarnąłem do niego jeszcze raz i jeszcze. A on nic — tylko idzie! Ani na nim rany, ani krwi, idzie i modli się: „Panie, otoś zatrzymał kulę, z czarnych rąk wymierzoną! Za Ciebie mekę przyjmuję! Nikt duszy żywej nie zamorduje!”. I jeszcze coś tam... Nie pamiętam już, jak ja cały magazynek wystrzelałem; tylko jedno wiedziałem na pewno — nie mogłem chybić, toż biłem w niego z dwóch kroków. Stoi przede mną, oczy gorejące jak u wilka, pierś obnażona, a nad głową coś jakby blask świateł — później dopiero wpadłem na to, że mi słońce przesłonił, pod zachód wtedy się miało. „Ręce — krzyczy — ręce twoje we krwi! Popatrz na swoje ręce!”. Rzuciłem mauzer na ziemię, lecę na odwach, przewróciłem kogoś we drzwiach, wbiegam na odwach, a tu chłopaki patrzą na mnie jak na pomyłonego i rżą wielkim śmiechem. Chwyciłem karabin ze stojaka i krzyczę: „Prowadźcie — krzyczę — tej samej chwili do Dzierżyńskiego, bo jak nie, to ja was wszystkich wykłuję!”. No, więc odebrali karabin, poprowadzili szybkim marszem. Wchodzę ja do gabinetu, wyrwałem się towarzyszom i powiadam, a sam drżący, jąkam się: „Rozstrzelaj mnie — powiadam — Feliksie Edmundowiczu, nie mogę ja tego popa zabić!”. Tylko powiedziałem, wałę się na podłogę,

nic już więcej nie pamiętam. Przyszedłem do siebie w szpitalu. Lekarze powiadają: „Nerwowy wstrząs”. Lecyli mnie, żeby prawdę powiedzieć, dobrze, troskliwie. I pielęgnacja i czystość, jedzenie także, jak na owe czasy dobre, lekkie znaczy się, odżywienie. Wszystko wyleczyli, tylko to jedno — sam widział — ręce trzęsą się jak w trzęsiącce. Widocznie, ten ów wstrząs nerwowy w ręce przeszedł. Z Czeką mnie, naturalnie, zwolnili. Tam nie takie ręce potrzebne. Za warsztatem, rzecz jasna, także z powrotem nie staniesz. Przydzielili mnie do fabrycznej składnicy. Cóż, tam także robię swoje, pożyteczny jestem. Co prawda, papiery tam różne, frachty, tego sam nie piszę z powodu rąk... Pomocnicę mam od tego, sprytna taka dziewczynina. No, i tak, braciszku, się żyje. A co do popa, to dopiero później dowiedziałem się, jak cała sprawa wyglądała. Niczego tam takiego, żeby od Boga, to nie było. Po prostu, jakem na podwórko wyszedł, żeby się trochę podciągnąć, nasze chłopaki magazynek z mauzera wyjęli i włożyli inny — ze ślepakami. Pożartowali, znaczy się. Cóż, ja się na nich nie gniewam — młodziaki przecież, a znowu im też słodko nie było, no, to wymyślili zgrywę. Nie, żadnej urazy do nich nie czuję. A tylko ręce... ot, do żadnej już roboty nie nadają się...

Mikołaj ARŻAK

(Z oryginału rosyjskiego przełożył Józef ŁOBODOWSKI)

Powyższe opowiadanie młodego sowieckiego autora, ukrywającego się pod pseudonimem Mikołaj Arżak, otrzymaliśmy ze Zw. Sowieckiego drogą nielegalną, celem opublikowania go na Zachodzie.

Copyright by „Kultura”, Paris, 1961.

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO.
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.

Redakcja, administracja, drukarnia:
Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301

POLSKA SKŁADNICA TANIEJ KSIĄŻKI

Księgarnia Inwalidzkich Warsztatów Pracy i Usług

POLECA pełny KOMPLET Wielkiego dzieła

„NAJNOWSZA HISTORIA POLITYCZNA POLSKI”

Wł. POBÓG-MALINOWSKIEGO

Tom I., II. i III. Stron 1.980. Cena wraz z przesyłką \$ 20.00

Jesteśmy na rynku księgarskim JEDYNYM źródłem, dysponującym jeszcze pełnymi kompletami tego WIELKIEGO DZIEŁA. ZAPAS nasz jest ograniczony. Oddzielnie sprzedajemy Tom II — \$ 6.50 i Tom III \$ 7.50.

POSIADAMY stale na Składzie WSZYSTKIE wydawnictwa KULTURY. Przyjmujemy prenumeraty. Wysyłamy na żądanie bezpłatnie KATALOGI książek i usług. Posiadamy duży wybór książek z różnych dziedzin.

ZAMÓWIENIA wraz z należnością prosimy kierować na adres:

General Agency of Polish War Invalids „POLIN-VALCO”. Co. Inc.

2109, Robinwood Ave. TOLEDO, 2, Ohio. (USA)

GRYF PUBLICATIONS LIMITED

PRZEDSTAWICIELSTWO „KULTURY”

I WYDAWNICTW KSIĄŻKOWYCH „KULTURY”

NA WIELKĄ BRYTANIĘ

zaopatruje w książki polskie mając na składzie ponad 3.000 tytułów. Wysyłka natychmiast po otrzymaniu zamówienia.

Katalogi bezpłatnie na żądanie.

WYSYŁAMY BEZPOŚREDNIO DO W. BRYTANII,
ST. ZJEDNOCZONYCH, AUSTRALII, BRAZYLII
I INNYCH KRAJÓW.

Na terenie Francji przedstawicielstwo:
„Libella”, 12, Rue St. Louis-en-l'Île, Paris 4°

BOGATY DZIAŁ NOWOŚCI

Archiwum polityczne

Wojna o Niemcy

W ostatnich tygodniach przeczytałem kilkadziesiąt artykułów w sprawie Berlina. A jednak myślę — choć zabrzmiał to zarozumiale — że trzeba na ten temat napisać jeszcze jeden artykuł.

Przedmiotem obecnego konfliktu nie jest Berlin — podobnie jak Gdańsk nie był przedmiotem konfliktu w roku 1939. Przedmiotem konfliktu są Niemcy — całe Niemcy.

Wyobraźmy sobie dla przykładu, że nie ma zagadnienia berlińskiego i że Chruszczow wycofał swe żądania z listopada 1958 r. Po jakich liniach rozwijałaby się wówczas sytuacja europejska?

Sądzę, że jeszcze przed rokiem 1970 Niemcy byłyby najpotężniejszym militarnie i gospodarczo europejskim mocarstwem sojuszu atlantyckiego i przemieniałyby ten sojusz systematycznie w aktywną koalicję anty-rosyjską.

Rewizjonizm niemiecki nie jest wymysłem propagandy komunistycznej tylko, niestety, jest faktem. Żadnemu Niemcowi nie można zabronić domagania się zwrotu Wrocławia czy Królewca ale Niemcom można i należy oświadczyć, że sojusz atlantycki jest organizacją obronną i nikt z jego członków nie może zgłaszać pretensji terytorialnych.

Rewizjoniści i zdobywcy wszystkich czasów i epok dopóki nie zebrali dostatecznych sił i nie zmontowali odpowiedniej koalicji — mówili zawsze o „środkach pokojowych”. Kancl. Adenauer postępuje w zgodzie i w harmonii z tą klasyczną tradycją. Temu rozwojowi sojuszu państw paktu warszawskiego rosyjską towarzyszy rozwój sojuszu państw paktu warszawskiego w koalicję anty-niemiecką. Jeżeli nikt nie podejmie próby zapobieżenia temu procesowi — rezultat końcowy będzie nie tylko łatwy do przewidzenia, ale i w stu procentach pewny.

Politykom w Londynie czy w Paryżu wolno wierzyć, że Niemcy i w roku 2000, gdy będą dysponowały najwspanialszą na kontynencie armią atomową — domagać będą się od Polski zwrotu jednej czwartej naszego terytorium państwowego wy-

łącznie na drodze pokojowej i przyjacielskiej perswazji. Natomiast politycy w Londynie czy w Waszyngtonie nie mogą wymagać by Polacy w to wierzyli. Politykom w Londynie czy w Waszyngtonie wolno wierzyć i głosić, że NATO jest sojuszem czysto obronnym — dopóki jednak filarem tego sojuszu są Niemcy — nikt nie ma prawa wymagać od Sowietów by podzielali tę wiarę.

Można stanąć na stanowisku, że Sowiety należy zmieść z powierzchni ziemi serią bomb wodorowych. Dopóki się jednak tego nie zrobi należy ich traktować jak ludzi dorosłych.

Ideologiczni antykomuniści, których nie brak zarówno w kołach polskiej emigracji jak i w Ameryce — rozumują w następujący sposób: „Chruszczow dąży do rewolucji światowej i do pełnego triumfu komunizmu na wszystkich kontynentach globu. W konsekwencji układy z Sowietami są bez sensu i nie są warte papieru na którym zostały spisane”.

Gdybyśmy przyjęli ten punkt widzenia to istotnie wszelka polityka byłaby bezcelowa. Ale z chwilą gdy zawiesza się na kołku politykę to trzeba do ręki wziąć karabin. Być może, że wszelkie układy są stratą czasu ale w takim wypadku należy podjąć działania wojenne i to natychmiast.

Osobiście nigdy nie wątpiłem, że Chruszczow marzy o światowym triumfie komunizmu. Sądzi jednak, że ów cel można osiągnąć na drodze pokojowej lub „pół-pokojowej”.

Dopóki na Londyn i na Waszyngton nie padają międzykontynentalne pociski atomowe — korzystamy z prawa wyboru. Albo możemy pokusić odrzucić politykę pokojową i podjąć wojnę totalną — albo możemy pokusić się o zatrzymanie pochodu komunizmu na drodze pokojowej.

W tym miejscu nieodmiennie podnosi się wrzawa. Jak można na drodze pokojowej pokonać komunizm — obalić Chruszczowa — postawić przed sądem Sierowa? Jak można na drodze pokojowej uwolnić Polskę — zlikwidować dyktaturę partii komunistycznej i zapewnić wolne wybory?

Oczywiście na drodze pokojowej nie można zlikwidować dyktatury komunistycznej — tym mniej postawić Sierowa przed sądem. Ale mądrą, stanowczą długofalową polityką pokojową można by udowodnić komunistom czarno na białym, że ich mesjanistyczny mit w nowoczesnym świecie jest anachronizmem. Innymi słowy, celową polityką można by dogmat o millenium komunistycznym zredukować do absurdu. Jak raz stanie się w świetle faktów oczywiste ponad wszelką wątpliwość, że mesjanizm komunistyczny jest nonsensem — droga ku ewolucji zostanie otwarta. Z chwilą bowiem kiedy komunizm przestanie być „historycznie nieuchronny” — ulegnie oddogmatyzowaniu.

Ktoś powie, że fanatyków nie można przekonać nawet faktami. Być może. Ale fanatycy komunizmu wszędzie stanowią znikomą mniejszość nie wyłączając Związku Sowieckiego. W moim przekonaniu fanatykami byli Hitler, Goebbels, Himmler. Gdyby KC Sowieckiej Partii Komunistycznej składał się z fana-

tyków już dawno byłoby po przedstawieniu. Mielibyśmy albo zwycięstwo jednej z zainteresowanych stron albo spoczęlibyśmy we wspólnej mogile raczej radioaktywnej.

To nie propaganda sowiecka dostarcza dowodów, że milenium komunistyczne jest tuż za najbliższym zakrętem historii. To my dostarczamy tych dowodów i tylko dowody przez nas dostarczane mają istotną wartość propagandową. Cofamy się wszędzie — nie wykazujemy nigdzie żadnej inicjatywy — przegrywamy batalię po batalii tracąc punkt po punkcie.

Teoria ewolucjonizmu zakłada, że w Rosji Sowieckiej nastąpią z czasem pewne zmiany w kierunku ogólnej liberalizacji. Analizie tej teorii poświęciliśmy sporo miejsca na łamach „Kultury”. Podstawową przesłanką tej teorii jest przekonanie, że wyższość systemu zachodniego znajdzie swój wyraz nie w propagandzie i w tysiącach artykułów publicystycznych, lecz w faktach. W przytłaczających swą wymową faktach. Dziś teoria ewolucjonizmu jest w znacznej mierze tylko teorią nie dlatego, że Sowiety są niezdolne do ewolucji — ale dlatego, że brak faktów, które cwe przemiany zdolne byłyby spowodować. Jeżeli tych faktów nie dostarczymy — w Rosji Sowieckiej nie nastąpią żadne zmiany — natomiast wielkie zmiany nastąpią na Zachodzie.

Co to są fakty? Fakty to jest polityka. W naszej sytuacji by sparafrazować Clausewitza — polityka oznacza wojnę prowadzoną pokojowymi środkami.

Do tysiąca artykułów jakie ukazały się na temat Berlina w prasie zachodniej postanowiłem dodać 1001-szy — ponieważ na łamach „Kultury” głosiliśmy od 10 lat, że Niemcy stanowią centralny problem konfliktu Wschód-Zachód. Problem ten jest niezmiernie trudny — między innymi i dlatego, że w tym szczególnym wypadku pewne żądania Sowietów są uzasadnione. Jest to moment niezmiernie ważny z dwóch przyczyn. Po pierwsze przychodzi nam ze zrozumiałą trudnością uznać słuszność jakiegokolwiek żądania Rosji. Po drugie, słuszne żądania wykazują w perspektywie historycznej najdłuższe życie i nie zaspokojone na drodze negocjacji prowadzą do wojny.

Wszystkie proponowane rozwiązania kwestii berlińskiej nie rozwiązują niczego. Berlin nie jest przyczyną kryzysu — tylko skutkiem. Nawet gdyby Chruszczow w obliczu zdecydowanej postawy Ameryki nie zrealizował swych grózb — kryzys trwać będzie nadal. Albowiem obie strony walczą nie o Berlin, lecz o Niemcy, o całe Niemcy.

Istnieją dwie zjednoczeniowe polityki niemieckie — wschodnia i zachodnia.

Filozofia kancl. Adenauera jest prosta i konsekwentna. Im Niemcy Zachodnie będą potężniejsze gospodarczo i militarnie — tym ważniejszą rolę odgrywać będą w NATO, w Waszyngtonie i stolicach Europy Zachodniej. Pierwsza faza operacyjna polega na niedopuszczeniu do uznania *status quo*. Nie uznawanie rządu NRD, nie uznawanie granicy na Odrze i Nysie — jest równoznaczne z podtrzymywaniem polityki „otwartych drzwi” w sto-

sunku do Europy wschodniej. Jest to olbrzymim sukcesem, który daje wielorakie korzyści. Polityka „otwartych drzwi” mobilizuje narody Europy wschodniej — tym samym automatycznie wzmacnia napięcie i powoduje zwykłą niemieckich akcji zbrojeniowych w Waszyngtonie. Nie uznawanie *status quo* nadaje rewizjonizmowi niemieckiemu „sankcję moralną”. To nie są zaborcze majaczenia Hitlera o „przestrzeni życiowej” — lecz sprawa o legalnym statusie międzynarodowym. Jakaż różnica w porównaniu z dyktatem wersalskim.

Faza druga operacji zaczyna się wyraźnie zarysowywać. Dokładnie przed trzema laty napisałem na tych łamach, że Niemcy dążą do narzucenia swoich celów politycznych Ameryce. I to się dzieje.

Obie strony w sporze nie są w tej chwili gotowe do realizowania swoich programów zjednoczenia Niemiec. Sowiety pragną polepszyć swą pozycję — mocarstwa zachodnie chcą umocnić swój dotychczasowy stan posiadania. Ale jest oczywiste, że gdyby doszło do jakiegokolwiek „wojny lokalnej” obu stronom chodziłoby o opanowanie całych Niemiec.

Na marginesie należy wyjaśnić pewne „semantyczne” nieporozumienia. Nikomu nie zależy na zjednoczeniu Niemiec dla zjednoczenia Niemiec. Zjednoczenie w tym kontekście oznacza włączenie całych Niemiec do jednego z bloków mocarstw i tylko o to idzie walka.

W kwestii niemieckiej nie ma łatwych rozwiązań. Odciać się od terytorialnych roszczeń niemieckich — sojusznicy zachodni mogliby tylko poprzez oficjalne uznanie granicy na Odrze i Nysie. Pewni publicyści amerykańscy wysuwali pogląd, że uznanie granicy na Odrze i Nysie pociągałoby za sobą konieczność uznania rządu NRD, ponieważ Odra stanowi granicę pomiędzy PRL a NRD. Argument powyższy nie wydaje się przekonujący. Uznając granicę na Odrze i Nysie — Stany Zjednoczone uznają zachodnią granicę Polski a nie wschodnią granicę NRD.

Krytyczny punkt problemu leży gdzie indziej. Nie odcinając się oficjalnie od niemieckich roszczeń terytorialnych mocarstwa zachodnie, z Ameryką włącznie, inkorporują *de facto* niemieckie cele rewizjonistyczne do politycznego programu NATO. I tak to jest odczytywane i rozumiane po drugiej stronie „żelaznej kurtyny”.

Z drugiej jednak strony, odcięcie się od niemieckiego rewizjonizmu uswiadomiłoby Niemcom, że cele i charakter NATO nie pokrywają się z ich polityką. Spowodowałoby to bankructwo polityki kancl. Adenauera, a w dalszych konsekwencjach mogłoby prowadzić — kto wie — do prób „odwrócenia sojusów”.

W sumie należy stwierdzić, że Zachód ma wprawdzie Niemców za sojuszników, ale na niemieckich warunkach.

Na Zachodzie jest wielu polityków, którzy zdają sobie sprawę z powyższych faktów. Ale przeważa na ogół opinia, że Niem-

ców wtłoczonych w organizację NATO powiedzie się użyć defensywnie. Do tego celu służą różne półoficjalne wypowiedzi na temat granicy na Odrze i Nysie. Oficjalnie nie uznaje się tej granicy, ale równocześnie daje się Niemcom do zrozumienia, że nie mogą liczyć na poparcie mocarstw zachodnich w realizowaniu postulatów rewizjonistycznych.

Niemcy nic sobie nie robią z tych zastrzeżeń i trzeba stwierdzić, że mają w tym względzie całkowitą słusność. Bo jeżeli dojdzie do wojny w Europie — będzie to wojna o cele niemieckie, choćby z tej przyczyny, że NATO w ogóle żadnych celów nie ma. Wysłunięciu wówczas hasła „wyzwolenia” — przyjęte zostanie przez Niemców za akceptację ich programu „wyzwalania” niemieckich ziem na wschód od Odry i Nysy.

Osobiście przypuszczam, że Rosjanie nie zechcą zabijać muchy stu-tonowym młotem. Po bronie atomowej sięgną dopiero wówczas gdy bronie konwencjonalne okażą się niewystarczające do zrealizowania wyznaczonych celów.

Sojusznicy zachodni chcieliby mieć jak najwięcej dywizji niemieckich, ale bez ich politycznego „posagu”. Jest jednak rzeczą bardzo trudną uzbrajać naród i równocześnie redukować jego polityczny wpływ i znaczenie. Bez względu jak skończy się obecny kryzys berliński — inicjatywa lokalna przechodzić będzie w ręce Niemców. W razie demonstracji czy ruchów w strefie granicznej NRD jednostki Bundeswehry mogą podjąć inicjatywę, która po dwóch dniach może się okazać... wiążąca dla całego zachodniego świata.

W chwili gdy piszę te słowa (pierwsza dekada sierpnia) prasa amerykańska przyniosła wezwanie prez. Kennedy'ego z okazji „tygodnia narodów ujarzmionych”. Prezydent nawołuje by obywatele Stanów Zjednoczonych „ponowili swoje zobowiązania popierania słusznych aspiracji wszystkich ludów do niepodległości i wolności”.

Jak wynika z ankiety przeprowadzonej przez „U.S. News and World Report” 71% zapytywanych Amerykanów wypowiedziało się za stanowczą postawą w kwestii berlińskiej z ryzykiem wojny włącznie, jeżeli byłoby to konieczne. „Newsweek” przeprowadził podobne badania w 50 stanach, które w całości potwierdzają rezultaty ankiety „U.S. News and World Report”.

Załóżmy, że dochodzi do wojny. Załóżmy, że apokaliptyczne przepowiednie Bertranda Russella nie sprawdziły się i wojna toczy się po liniach konwencjonalnych. Niemcy będą wiedzieli o co się biją. Ale my?

W jakim charakterze niemieckie oddziały przekroczyłyby Odrę? Czy jako wyzwolenicza armia sojusznicza — czy jako armia zaborcza?

To są pytania bardzo niewygodne, ale niemniej bardzo istotne. I musimy je postawić ponieważ nasi „niezlomni” do tego stopnia niezłomnymi nie są, by naszych przyjaciół amerykańskich tego rodzaju pytaniami kłopotać.

Nikt trzeźwy obserwujący sytuację berlińską nie może wyłączyć wojny. Nigdy jeszcze jej widmo nie było tak bliskie. I dlatego w opinii „Kultury” nadszedł moment kiedy trzeba domagać się od Waszyngtonu jasnej wypowiedzi nie tylko w sprawie granicy na Odrze i Nysie, ale w odniesieniu do całego niemieckiego programu rewizjonistycznego, który — jak wiadomo — nie wyczerpuje się na ziemiach polskich.

Klasyczny argument „niezlomnych” brzmi następująco: „co nam z Ziemi Odzyskanych, które gwarantują nam Sowiety a rządzą nimi komuniści?”.

Ale co przyjdzie nam z Ziemi Odzyskanych „wyzwolonych” przez Bundeswehrę z granicą na Odrze i Nysie nie uznawaną przez nikogo?

Jak raz Niemcy przekroczą Odrę będzie za późno zabiegać o uznanie naszej zachodniej granicy. Wszystkie kancelarie dyplomatyczne zwycięskiej koalicji staną po stronie Niemców. W polityce liczą się zawsze przede wszystkim fakty dokonane. Dlatego o uznanie granicy na Odrze i Nysie musimy walczyć teraz — kiedy fakty dokonane przemawiają za nami.

Nie poddaję w wątpliwość dobrej wiary kancl. Adenauera, gdy mówi, że Niemcy nie użyją siły w swojej polityce wschodniej. Ale chłodna analiza problemu musi objąć następujące punkty:

I. Kancl. Adenauer — podobnie jak gen. de Gaulle jest bez następcy.

II. Na przestrzeni ubiegłych 98 lat Niemcy sprowokowali pięć wojen: 1864, 1866, 1870, 1914, 1939.

III. Niemcy wyrzekli się autetycznie wszelkich agresywnych zamiarów w stosunku do Zachodu. Polityk czy publicysta, który by wysunął jakąś agresywną koncepcję w stosunku do Belgii czy Francji naraziłby się na śmieszność. Jednakże wschód Europy traktowany jest zupełnie inaczej. Zaczawszy od oficjalnych map i atlasów a skończywszy na oficjalnych przemówieniach dostojników państwowych.

IV. Deklaracje niemieckie o nie użyciu siły celem odzyskania terytoriów znajdujących się „czasowo pod polską administracją” — obowiązują tylko na czas pokoju. Niemcy mogą bez ryzyka wydawać tego typu deklaracje bo wiedzą doskonale, że jeżeli jutro na skutek strzałów w Berlinie wybuchnie trzecia wojna światowa — odpowiedzialność za sprowokowanie wojny przypisana zostanie nie Niemcom lecz Sowietom.

V. W razie wybuchu wojny Niemcy tym razem znajdą się po właściwej stronie. Nawet gdyby uznanie granicy na Odrze i Nysie przez mocarstwa zachodnie nastąpiło przed wybuchem wojny — w chwili pojawienia się oddziałów niemieckich na wschód od Odry sytuacja nasza stałaby się niezmiernie trudna.

Niemcy byłyby czołowym sojusznikiem Stanów Zjednoczonych na kontynencie i ich głos w Waszyngtonie znaczyłby niepomnie więcej niż nasz.

VI. Jeżeli ewentualna wojna ze Związkiem Sowieckim nie ma być na wschodzie Europy wojną niemiecką i o niemieckie cele — musimy zdobyć uznanie granicy na Odrze i Nysie dopóki trwa stan pokoju. Stanowiłoby to minimalne zabezpieczenie, które nie uchroniłoby nas zapewne po zwycięstwie od bardzo poważnych „korektur” na korzyść Niemiec. Niemiec, zwycięskiego sojusznika Stanów Zjednoczonych.

VII. Tzw. Linia Curzona, która pokrywa się z obecną granicą polsko-sowiecką — uważana jest na Zachodzie za określającą rzeczywisty zasięg polskości. Byłoby rzeczą bardzo trudną na forum międzynarodowym podważyć argumenty ukraińskie np. w stosunku do tych ziem. W razie upadku Związku Sowieckiego ziemie te z całą pewnością przypadłyby niepodległej Ukrainie.

Jaki wniosek wypływa z powyższej analizy?

Mimo, że jesteśmy państwem satelickim wojna nie stanowi dla nas rozwiązania. Na marginesie jeszcze raz podkreślam, że terminu „wojna” w tekście niniejszego artykułu używam w sensie konwencjonalnym. „Koniec świata” — choć nie wyłączony — nie może być przedmiotem analizy publicystycznej.

Z punktu widzenia polskich interesów przez idealne rozwiązanie należy rozumieć sytuację, która nie stanowi zagrożenia dla naszych ziem zachodnich umożliwiałaby Polsce stopniowe uniezależnianie się od Rosji. Tego typu idealne rozwiązanie możliwe jest tylko na drodze ewolucji pokojowej.



W mojej publicystyce unikam przepowiedni. Jednak tym razem ryzykuję przepowiednię: nie będzie *disengagement* — będzie coś znacznie gorszego.

Nigdy nie ukrywaliśmy, że koncepcje *disengagement* i pasa neutralnego są koncepcjami trudnymi i ryzykownymi. Ale każde inne rozwiązanie jest znacznie mniej korzystne i znacznie bardziej ryzykowne. Rozwój wypadków potwierdza naszą tezę i obawiam się, że w przyszłości potwierdzi ją jeszcze wymowniej.

Zjednoczenie Niemiec możliwe jest tylko poprzez *disengagement* i neutralizację. Ci publicyści zachodni (i emigracyjni), którzy piszą, że Niemcom nie zależy dziś na zjednoczeniu, że wolą wolność niż całość — wychodzą z fałszywej przesłanki. W tym szczególnym wypadku jest bez znaczenia co Niemcy wolą a czego nie wolą. Chruszczow dąży do opanowania Berlina bo Berlin jest stolicą i symbolem zjednoczonych Niemiec. Chruszczow

chce mieć Berlin i w przyszłości zjednoczyć Niemcy pod czerwona flagą. To jest jedyny sens walki o Berlin.

David Dallin w swojej świeżo wydanej książce pt. „Soviet Foreign Policy After Stalin” — twierdzi, że Rosjanie niezmiennie wysoko cenią amerykański geniusz techniczny, ale boją się tylko Niemców. Mając do wyboru Austrię w systemie NATO lub Austrię neutralną Rosjanie zgodzili się na neutralność.

Status quo niemiecki włącznie z Berlinem jest trudny i będzie coraz trudniejszy do utrzymania ponieważ Rosjanie uzbrojone Niemcy uważają za bezpośrednie zagrożenie. Tego na Zachodzie nikt nie rozumie, ale Dallin, który jest byłym członkiem rosyjskiej partii socjal-demokratycznej rozumie to doskonale.

Rosjanie mają określony plan w stosunku do Berlina i Niemiec. Amerykanie nie mają żadnej szerszej koncepcji.

Status quo niemiecki będzie znacznie trudniejszy do obrony niż pas neutralny, który obejmowałby Niemcy, Polskę, Węgry i Czechosłowację. Co innego jest podjąć wojnę w obronie praw stu milionów ludzi i w obronie własnej słusznej koncepcji politycznej — a co innego jest dać się wmanewrować w wojnę w niewłaściwym miejscu, w niewłaściwym czasie i o niewłaściwe cele.

Rosjanie nie pogodzą się nigdy z uzbrojonymi atomowymi Niemcami. Lęk przed uzbrojonymi Niemcami w Sowietach, w Polsce i w całej Europie wschodniej jest autentyczny i Waszyngton musi to brać pod uwagę. Nie Amerykanie stracili 20 milionów ludzi w czasie ubiegłej wojny tylko Rosjanie i nie na amerykańskiej ziemi był Oświęcim.

Nie można lekceważyć nastawienia całej wschodniej Europy do problemu niemieckiego. Układ stabilizujący sytuację będzie musiał czynić zadość postulatowi wschodnioeuropejskim.

Wojna rosyjsko-amerykańska o Niemcy — o całe Niemcy jest w toku. Pozycja wyjściowa Rosjan jest korzystniejsza niż Ameryki. Wybuch „gorącej wojny” nie leży w interesie Stanów Zjednoczonych. Celem pierwszej operacji byłyby bowiem Niemcy. Rosjanie dysponują 175 dywizjami, i tysiącami czołgów i potężnym lotnictwem. Być może, że nie tylko wojna, ale i bitwa europejska byłyby w końcu wygrane — ale Niemcy byłyby stracone w obrębie tygodnia. Wszyscy eksperci podkreślają, że nawet pełne pogotowie sił NATO nie wystarczyłoby do odparcia ataku sowieckiego. Trzeba by sięgnąć po broń atomową. Tym samym koncepcja „wojny lokalnej” upada.

Nie proponujemy *appeasement*. Proponujemy rozwiązanie trudne i śmiałe. Problem Niemiec należy wiązać z problemem wschodniej Europy. Niemcy nie są dziś zwolennikami rozbrojenia i neutralności. Ale w przeciągu kilkunastu lat nie można zniweczyć własnej historii. Rachunki nie są jeszcze wyrównane. Rozbrojenie i neutralność byłyby konsekwencją Hitlera — konsekwencją minimalną. Narody wschodniej Europy, które najwięcej ucierpiały od hitlerowców — mają prawo tego się domagać.

Wzamian za demilitaryzację Niemiec Stany Zjednoczone winny zażądać włączenia do pasa neutralnego Polski, Czechosłowacji i Węgier. Wówczas powstałby w sercu Europy neutralny blok obejmujący Austrię, Niemcy Zachodnie, NRD, Polskę, Węgry i Czechosłowację.

Powyższe rozwiązanie posiada wiele niewiadomych. Ale każde inne rozwiązanie jest znacznie bardziej ryzykowne. Niemcy są nie do obronienia „konwencjonalną operacją lokalną”. Sowiety nie zgodzą się nigdy na włączenie zjednoczonych Niemiec do NATO i wyposażenie ich w broń atomową. W sumie Niemcy mogą okazać się w przyszłości bardzo trudnym i kosztownym sojusznikiem.

Chciałbym zakończyć ten artykuł następującą uwagą:

Każdą koncepcję polityczną można negocjować albo z pozycji siły i równości albo z pozycji kapitulanta.

Osobiście jestem przekonany, że gdyby w ostatnich miesiącach bieżącego roku doszło do gwałtownego zaostrzenia „kryzysu berlińskiego” — koncepcja *disengagement* ożyje na Zachodzie. Pojawi się jako przysłowiowa ostatnia deska ratunku. Ale wówczas będzie za późno. W atmosferze kryzysu i strachu przed wojną atomową Zachód zaoferuje *disengagement* za darmo lub prawie za darmo.

Disengagement i pas neutralny mogą być wspaniałym sukcesem jeżeli negocjowane będą twardo, cierpliwie, szczegółowo i jeżeli za tą koncepcją stać będzie zdecydowana siła. Ta sama koncepcja wysunięta za pięć dwunasta — jak monachijski pas ratunkowy — może być wstępem do klęski.

Pas neutralny jest planem oferującym wielkie możliwości ale zarówno realizacja jak i obrona tej koncepcji wymagałyby daleko większej wyobraźni, zdecydowania i siły niż obrona pułapki berlińskiej.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Testament Chruszczowa

W Związku Radzieckim opublikowano 30 lipca 1961 roku projekt nowego programu sowieckiej partii komunistycznej. Program ten reguluje wszystkie teoretyczne i praktyczne formy działalności KPZR na okres dwudziestu lat, to znaczy do roku

1980. Wówczas dziś sześćdziesięciosiedmioletni Nikita Chruszczow będzie liczył osiemdziesiąt sześć lat. Oczywiście można przyjąć hipotezę, że dożyje tej daty i zachowa pełnię sił fizycznych i duchowych jak kanclerz Niemiec Zachodnich Konrad Adenauer, i że wierny mu aparat partyjny uczyni przewidziany w nowym statucie wyjątek dla specjalnie zasłużonych wodzów — i wybierze go po raz ósmy (licząc od przejścia kierownictwa partii w roku 1953) na stanowisko pierwszego sekretarza KPZS. Wierząc opowiadaniom zagranicznych dyplomatów, którzy na placówkach moskiewskich zaskarbili sobie przyjaźń dyktatora, i wobec których Chruszczow miał się zwierzać ze stanu swego zdrowia, należałoby raczej uważać, że nie liczy on ani na długowieczność ani na możliwość kontynuowania władzy w ciągu wielu lat. Należy więc przypuszczać, że nowy program jest politycznym testamentem Chruszczowa dla jego następców. Nikt nie jest oczywiście w stanie zagwarantować mu, że Komitety Centralne będą się istotnie na przestrzeni dwudziestu lat trzymały litery i ducha nowego programu partii. Smutne doświadczenia, które spotkały pierwszy, a następnie drugi program Lenina, a w wiele lat później testament Stalina wyluszczone w jego ostatniej pracy teoretycznej „Ekonomiczne problemy socjalizmu” — powinny Chruszczowa skłaniać do sceptycyzmu odnośnie trwałości sowieckich programów partyjnych, gdyż te, ze względu na system władzy i głęboko tkwiące w narodzie rosyjskim pierwiastki „kultu jednostki” — żyły i umierały wraz z ich twórcami.

Zostawiając ostateczną decyzję w tej sprawie historii, zajmijmy się w pierwszym rzędzie twierdzeniem Komitetu Centralnego partii, że obydwa stare programy zostały rzekomo w pełni wykonane. Przypomnijmy, że pierwszy program Rosyjskiej Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej — prekursorki późniejszych komunistów-bolszewików — opracowany przez Lenina i Plechanowa (który wówczas współpracował jeszcze z twórcą ruchu bolszewickiego), został uchwalony na emigracji, w Londynie, w 1903 roku. Twierdzenie, że wszystkie punkty owego pierwszego programu zostały zrealizowane, jest co najmniej groteskowe. Wystarczy wymienić tylko kilka podstawowych postulatów z londyńskich zasad programowych, aby można było ocenić rozmiar kłamstwa. I tak np. punkt piąty żądał „nieograniczonej wolności sumienia, słowa, prasy, zebrań, strajków i zrzeszeń”. W czwartym punkcie domagano się „nietykalności osobistej i mieszkania” obywateli. Następny postulat głosił, że ludziom należy zagwarantować swobodę poruszania się i wykonywania zawodów. W punkcie siódmym wysuwano żądanie, aby usunąć wszelkie dyskryminacje religijne, rasowe i narodowe. W ósmym przyznano prawo używania języka ojczystego na równi z językiem państwowym we wszystkich państwowych instytucjach i wreszcie w dziewiątym punkcie żądano, aby wszystkie narodowości otrzymały prawo samookreślenia. Żaden z tych postulatów nie został w pełni zrealizowany, a jeśli został,

przed laty, częściowo uwzględniony to w miarę rozwoju społeczeństwa „socjalistycznego”, pozbawiono go istotnej treści.

Oczywiście, przeciwko temu stanowisku można wysunąć zarzut, iż te postulaty dotyczyły w wielkiej mierze stosunków w republice demokratycznej, będącej przejściową fazą na drodze ku rewolucji. Natomiast o wiele trudniej jest uzasadnić realizację drugiego z kolei programu, przyjętego na VIII Zjeździe, w marcu 1919 roku. Ten czysto leninowski program zwycięskiej walki rosyjskich rewolucjonistów, zalecał — w miarę realizacji systemu socjalistycznego — tworzenie samorządu robotniczego w przemyśle, zwalczanie tendencji do powstawania aparatu biurokratycznego, stopniowe likwidowanie organów państwowych i władzy, reprezentującej środki przymusu. W dziedzinie finansów program leninowski przewidywał likwidację pieniądza. Na odcinku polityki socjalnej zapowiadał nie tylko system bezpłatnego nauczania, ale i darmowego odżywiania i zaopatrywania młodzieży szkolnej w ubranie, obuwie i podręczniki oraz przybory szkolne. Tak samo miano wprowadzić bezpłatną opiekę lekarską i dostarczanie lekarstw. W tak niezwykle ważnej sprawie jak polityka narodowościowa, program z roku 1919 postanawiał, iż należy całkowicie zlikwidować wszelkie przywileje jakiejkolwiek narodowości, zalecając szczególnie ostrożny stosunek przedstawicieli społeczeństwa dotychczas uprzywilejowanego w sensie narodowym, tzn. rosyjskiego w odniesieniu do obywateli narodowości dotychczas upośledzonych, czyli narodów nierosyjskich.

Mniej więcej od roku 1930, kiedy Stalin uzyskał nadrzędne stanowisko i zaczął stopniowo wprowadzać terror policji, obozy koncentracyjne, prześladowanie odmiennych poglądów, likwidowanie praw nierosyjskich republik, wskrzeszanie szowinizmu wielkorosyjskiego, wyzysk społeczeństwa przez wszechwładny etatyzm i rozrost biurokracji — program Lenina stał się dla niego niewygodnym balastem, który należało zastąpić nowymi, dopasowanymi do nowej polityki, zasadami programowymi. Sprawa ta, począwszy od XVI Zjazdu, to znaczy od roku 1930, była przedmiotem obrad, ale ze sfery czysto dyskusyjnej do organizacyjnego etapu przeszła dopiero na XVIII Kongresie w roku 1939. Wówczas powołano do życia specjalną komisję, która ze Stalinem na czele miała opracować nowy program i przedłożyć go następnemu zjazdowi partii do zatwierdzenia. Spośród 27 członków owej komisji, do której należeli tacy działacze jak Beria, Mołotow, Malenkow i inni, zostało dziś przy życiu i wpływach 5-ciu ludzi, a mianowicie Chruszczow, Mikojań i Szewnik oraz Pospiełow i Mitin. Później przyszła wojna i długa przerwa w zwoływaniu zjazdów. Kiedy wreszcie Stalin zwołał swój ostatni, XIX Kongres w r. 1952, okazało się, że zapowiadany program nie został opracowany. Utworzono więc nową komisję programową. Na czele komisji stanął ponownie sam Stalin. Ze składu ówczesnego gremium (do którego Chruszczow zresztą nie należał, bo było to w okresie jego osłabionej

pozycji na skutek intryg Malenkowa) pozostało zdaje się tylko trzech ludzi, a mianowicie staruszek z Kominternu Kuusinen, oraz Pospielow i Judin.

Na XX, jedynym antystalinowskim, Zjeździe Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego nikt, nie myślał, rzecz jasna, przedkładać też programowych kiedy wszystko znajdowało się w stanie płynnym i kiedy w łonie kierownictwa partii szły zażarte spory o przyszłą linię generalną. Sprawę programu odłożono więc znowu do następnego Zjazdu, ale musiano ją przyspieszyć, gdyż, jak wiadomo, partia chińska wystąpiła jesienią 1958 roku z eksperymentem skrócenia faz przejściowych od socjalizmu do komunizmu przy pomocy tzw. komun ludowych, idei zaczerpniętej zresztą — choć w mocno zmienionej formie — z leninowskiego programu z roku 1919. Dla partii sowieckiej wynikało tu olbrzymie niebezpieczeństwo, gdyż inicjatywa Mao-Tse tunga zmierzała jak najwyraźniej do obalenia wszelkich dotychczasowych dogmatów sowieckich, a w ślad za tym do wydarcia Moskwie prymatu w sprawach ideologicznych w całym międzynarodowym ruchu komunistycznym. Chruszczow postanowił więc zwołać zimą 1959 roku nadzwyczajny zjazd partii, aby storpedować plany chińskich towarzyszy. Na zjeździe uchwalono niezwykle ważną, z punktu widzenia ideologicznej rywalizacji Moskwa — Pekin, formułę, że rozwój ekonomicznych czynników w Związku Sowieckim stworzył możliwość „powstania materialno-technicznej bazy dla komunistycznej społeczności i planowego przejścia do komunizmu”. Druga formuła, bardziej uogólniająca zasady ideologiczne w tym zakresie, głosiła: „Komunizm można zrealizować tylko pod tym warunkiem, jeżeli przestgniemy poziom produkcji wysokorozwiniętych krajów kapitalistycznych i zapewnimy wyższą wydajność pracy aniżeli w ustroju kapitalistycznym”. W ten sposób Chruszczow wznosił bariery przeciwko chińskiemu „wielkiemu skokowi”, których teoretycy Mao-Tse tunga dotychczas nie pokonali. Potrzeba jasno sformułowanego i nowoczesnego programu wynikała również na tle ogólnego zamętu w teorii i praktyce, który powstał w niektórych państwach satelickich z początkiem 1956 roku, jak też ze względu na tzw. lublański program Związku Komunistów Jugosławii z 1958 roku.

O ile się dobrze orientuję, to nadzieje, jakie przywiązywano w kołach partyjnej i bezpartyjnej inteligencji w Związku Sowieckim oraz w partiach komunistycznych Europy Zachodniej, a częściowo nawet i wśród rozczarowanych komunistów państw satelickich, do przyszłego dokumentu — zostały przekreślone.

Nowy program jest bowiem zastraszającym dokumentem upadku krytycznych badań marksistowskich w Rosji, smutnym świadectwem zastoju, jaki powstał w umysłach teoretyków partii sowieckiej, a zarazem dowodem wykazującym jakich spustoszeń dokonała epoka stalinizmu w dziedzinie ideologiczno-teoretycznej. Już sam styl tego elaboratu wystawia jego autorom świadectwo ubóstwa intelektualnego. Rozwlekły, bez prób precyzji

w formułowaniu pojęć i definicji, żenująco patetyczny i uroczy, styl ten odpowiada jedynie poziomowi dołów aparatu propagandowo-agitacyjnego KPZS. Treść zaś jego jest konglomeratem wyświechtanych pojęć, przepisanych niemal-że żywcem z poprzednich programów i wielu znanych przemówień Chruszczowa, nie grzeszących, jak powszechnie wiadomo, głębią odroczonej myśli, oraz z obszernych fragmentów zeszłorocznej deklaracji moskiewskiej narady partii komunistycznych. Wszystko razem czyni wrażenie bezradności.

Trzeba jednak przyznać, że treść i poziom tego dokumentu odpowiada zarówno intelektualnym możliwościom jak też i potrzebom aparatu partyjnego KPZS. Do tego dochodzi bardzo ważny moment, a mianowicie fakt, że tak zwana rozprawa ze stalinizmem nie dotknęła w najmniejszym stopniu całego ideologicznego laboratorium systemu stalinowskiego. Rozbito co prawda aparat terroru policyjnego, osłabiono niebezpieczne elementy szowinistycznej klikii militarystycznej typu marszałka Żukowa, usunięto całą plejadę skostniałych stalinowskich biurokratów z aparatu partyjnego, rządowego, gospodarczego i związków zawodowych, ale Susłowy, Pospielowy, Mitiny, Iljiczow, Rumjanow, Ponomarjowy, Konstantinowy, Judiny, Stepanjany nadal kształtują wszystkie procesy ideologiczno-polityczne i kulturalne. Jeśli się więc zważy, że zadanie sformułowania i napisania nowego programu postalinowskiego zostało powierzone „zasłużonym i doświadczonym” teoretykom stalinizmu, to przy ocenie całości zagadnienia należy i ten współczynnik uwzględnić. Stąd też, choć tylko częściowo, wynika fakt, że w całym programie nie ma ani słówka potępienia teorii i praktyki stalinizmu. Przeciwnie znajdujemy tam jak najwyraźniejszą tendencję do usprawiedliwienia systemu stalinowskiego.

Najpierw program rozgrzesza politykę Stalina ryczałtowo, twierdząc, że:

„Partia i klasa robotnicza musiały prowadzić mądrą, dalekowszyczną politykę, wykazywać nieugięty hart, spistość organizacyjną, mocną wiarę w swe siły, w siły ludu”.

Następnie program przechodzi do bardziej szczegółowej obrony:

„Uprzemysłowienie kraju, uspołdzielczenie rolnictwa, rewolucja kulturalna — oto główne ogniwa leninowskiego planu zbudowania społeczeństwa socjalistycznego. Partia obroniła ten plan w zaciętej walce przeciwko niedowiarkom i kapitulantom, przeciwko trockistom, prawicowym oportunistom, odchyłcom nacjonalistycznym oraz innym wrogom ugrupowaniom. Zmobilizowała ona cały naród radziecki do urzeczywistnienia wskazań Lenina”.

Stalinowska praktyka kolektywizacji znalazła taką ocenę: „Miliony drobnych gospodarstw indywidualnych dobrowolnie zjednoczyły się w kolchozy”.

W końcu następuje generalna absolucja, zawarta w następującym sformułowaniu:

do socjalizmu i w sprawie stosunków Moskwy z państwami satelickimi. W nowych sformułowaniach trudno dostrzec choćby cień ówczesnych zapewnień. Zamiast tego mamy tezy, w których nie trudno usłyszeć echa stalinowskiego dekalogu. Oto najgłośniejsze z nich:

„Doświadczenie Związku Radzieckiego i krajów demokracji ludowej potwierdziło słuszność tezy Lenina, że walka klasowa nie zanika w okresie budowy socjalizmu. W związku z tymi czy innymi zmianami w sytuacji wewnętrznej i zewnętrznej walka klasowa w poszczególnych okresach może się zaostrzać. Potrzebna jest więc niezmienna czujność, żeby w porę udaremnić knowania zarówno wewnętrznych, jak zewnętrznych wrogich sił nie zaprzestających prób podważenia ustroju ludowego oraz wywołania rozdziewków w bratniej rodzinie krajów socjalistycznych”.

Na szczególną uwagę zasługują wywody, dotyczące stosunków w krajach „demokracji ludowej”, w których partia socjalistyczna ostrzega przed niebezpieczeństwem nacjonalizmu:

„Przesady nacjonalistyczne i pozostałości dawnych waśni narodowych są tą dziedzina, w której opór wobec postępu społecznego może być najbardziej długotrwały i zacięty, uparty i wyrafinowany. Nacjonalizm może wziąć górę tylko tam, gdzie nie prowadzi się z nim konsekwentnej walki”.

Są to oczywiście tezy na ogół słuszne i demonstrujące w wymowny sposób czego się Moskwa ze strony swych sąsiadów najbardziej obawia. Ale to są niestety tezy jednostronne, bo nie poruszają o wiele bardziej ważnego problemu, a mianowicie rosyjskiego nacjonalizmu, który jest pożywką i przyczyną ciągłego odradzania się lub też przeszkodą w obumieraniu nacjonalizmu w krajach demokracji ludowej. Posługując się znanym szyfrem żargonu partyjnego należy zapytać towarzyszy sowieckich: „to co mówicie o niebezpieczeństwie nacjonalizmu w naszych krajach to jest krytyka, ale gdzie jest Wasza samokrytyka, towarzysze?”.

Imperialistyczne szydło z socjalistycznego worka wyłazi jeszcze mocniej w rozdziale traktującym o polityce narodowościowej w Sowietach. Oto pierwszy dowód:

„Umacnia się ideowa jedność narodów i narodowości, zbliżenie ich kultur. Historyczne doświadczenie rozwoju narodów socjalistycznych dowodzi, że formy narodowe nie kosztują, lecz zmieniają swą postać, doskonałą się i zbliżają do siebie, uwalniając się od wszystkiego, co jest przestarzałe, co koliduje z nowymi warunkami życia. Rozwija się wspólna dla wszystkich narodów sowieckich kultura międzynarodowa”.

Na pozór tylko niewinne frazesy. Ale kiedy je trochę głębiej poskrobać, obnaża się stara choć zakamuflowana imperialistyczna treść. Cóż to bowiem znaczy, że formy narodowe uwalniają się od wszystkiego co przestarzałe, jeśli się jednocześnie jak najbardziej pielęgnuje przeszłość Rosji wraz z carami i Kremlami, a wśród narodów nierosyjskich takie same dążenia prześladuje się jako anachronizm lub nacjonalizm? Albo co to jest „wspólna

kultura międzynarodowa narodów sowieckich?”. Jak na razie ta wspólnota przejawia się w rusyfikacji. Zresztą w następnym fragmencie programu, który cytuję, znajduje się dobitne potwierdzenie kursu rusyfikacyjnego. Czytając poniższe wypowiedzi należy zresztą pamiętać, że Sowiety nie nazywają rzeczy po imieniu, a że używają pewnego rodzaju szyfru.

„Dokonujący się w życiu proces dobrowolnego uczenia się na równi z językiem ojczystym języka rosyjskiego ma dodatnie znaczenie, ponieważ przyczynia się to do wzajemnej wymiany doświadczeń oraz udostępnienia każdemu narodowi i narodowości dorobku kulturalnego wszystkich innych narodów ZSRR i kultury światowej. Język rosyjski stał się faktycznie wspólnym językiem porozumienia i współpracy między wszystkimi narodami ZSRR”.

Reakcyjność tego pozornie upiękzonego względami praktycznymi starego kursu Rosji carskiej i stalinowskiej pojmie się dopiero wtedy, gdy się ten program porówna z tezami Lenina. Abstrahując od tego, że program nie mówi ani słowa o tym z jakich praw i obowiązków mają korzystać mniejszości narodowe, a więc Rosjanie w republikach nierosyjskich, a nie-Rosjanie na terenie Federacji Rosyjskiej. Milczenie na ten niezwykle ważny temat otwiera — jak się to kiedyś Lenin wyraził w wielkorosyjskim — nieomencie partyjnym — „dzierżymordom wielkorosyjskim” nieograniczone szanse rusyfikacji. Zresztą o wiele dobitniej świadczy o tym następujący wycinek z programu polityki narodowościowej:

„Nieugięcie walczyć przeciwko przejawom i przeżytkom wszelkiego nacjonalizmu i szowinizmu, przeciwko tendencjom do partokularyzmu i wyłączności narodowej, do idealizowania przeszłości i tuszowania sprzeczności społecznych w historii narodów, przeciwko przestarzałym obyczajom i zwyczajom. Coraz większy zakres budownictwa komunistycznego wymaga nieustannej wymiany kadr między narodami. Niedopuszczalne są żadne przejawy zasklepiania się narodowego w wychowaniu i wykończystwianiu pracowników różnych narodowości w republikach radzieckich. Likwidacja przejawów nacjonalizmu leży w interesie wszystkich narodów i narodowości ZSRR. Każda republika sowiecka może nadal rozkwitać i umacniać się jedynie w wielkiej rodzinie bratnich socjalistycznych narodów ZSRR”.

Ostatnie zdanie ma olbrzymie znaczenie, gdyż anuluje w teorii (w praktyce nastąpiło to już za Stalina) formalne prawo (stanowiące jedno z głównych założeń doktryny leninowskiej), że każda republika może decydować o tym czy chce pozostawać w obrębie Związku Sowieckiego czy też pragnie z niego wystąpić. Tutaj Chruszczow występuje bez żadnych osłonek jako likwidator leninizmu i kontynuator narodowościowej polityki stalinizmu.

W dziedzinie kultury testament Chruszczowa obiecuje najpierw w teorii niebawmy rozkwit we wszelkich dziedzinach sztuki i literatury, słowem „ogólnonarodową, ogólnoludzką kulturę

społeczeństwa bezklasowego''. Ale już w wyszczególnieniu środków i form, przy pomocy których reżym pragnie zrealizować te obietnice, widać, że chodzi tu o nic innego jak o płytką wizję jak najbardziej masowej i popularnej kultury, rozwijającej się pod troskliwym okiem partii. Partia ma bowiem czuwać nad „właściwym kierunkiem rozwoju literatury i sztuki” w myśl dotychczasowych stalinowskich dogmatów „realizmu socjalistycznego, ludowości i partyjności”. Zaś przyrzeczenia, że będzie wysoce uniwersalna są zwykłym kłamstwem, gdyż w innym miejscu programu, orzeczono, iż walka z naleciałościami kosmopolityzmu ma obowiązywać również i w następnym dwudziestolecu.

Jedynym pozytywnym elementem nowego programu są chyba socjalne i gospodarcze cele, choć i tutaj mamy tendencje, wskazujące na to, że dotychczasowe dogmaty, jak np. prymat ciężkiego przemysłu, pozostaną nietknięte. Zasadniczo partia orientuje się na doszłusowanie do ogólnej tendencji na świecie, czyli na stworzenie społeczeństwa o wysokiej konsumpcji i szerokim dobrobycie. A więc doświadczenie i prześcignięcie społeczeństw kapitalistycznych w dziedzinie spożycia, 34-godzinny tydzień pracy, bezpłatne mieszkanie, używanie gazu, elektryczności jako też środków lokalnej komunikacji, darmowa opieka lekarska. W lwiej części powtarza się tezy programu leninowskiego, a więc sprzed czterdziestu dwóch lat, których nie zdolano zrealizować. Czy Chruszczow i jego następcy wywiążą się z nowych obietnic? Trudno przewidzieć. Zresztą autorzy projektu nie są tego bynajmniej pewni, bo wbudowali do katalogu swych zapowiedzi socjalnych dwie bardzo ważne klauzule. Oświadczyli mianowicie, że wszystko to może być naprawdę wykonane pod warunkiem, że na świecie będzie panował pokój i że społeczeństwo wykaże gotowość do wydatnego podniesienia wydajności pracy. Nawiasem mówiąc program przemilcza konsekwentnie najbardziej ważne aspekty i znamiona współczesnej wysokiej stopy życiowej na Zachodzie, tj. posiadanie własnych domów lub mieszkań o dużej powierzchni, korzystanie z olbrzymiej ilości przedsiębiorstw usługowych, nabywanie towarów luksusowych, posiadanie własnych środków komunikacji, podróżowanie zagranicę, przechodzenie od obfitych posiłków do potraw bardziej urozmaiconych etc. Ale członkowie Prezydium KC KPZS stoją widocznie na stanowisku, że jeśli w roku 1980 zapewnią robotnikom i biurokracji sowieckiej bezpłatną miskę barszczu lub talerz kaszy z okrasą na miejscu pracy, to tym samym prześcigną dobrobyt Zachodu!

Ideologicznie komuniści sowieccy odgradzają się jak najostrzej od komunizmu jugosłowiańskiego i, w bardziej zawołany sposób, od swych towarzyszy chińskich. Ich dewiza na przyszłość to teoria i praktyka oświeconego stalinizmu, czyli centrowa koncepcja Chruszczowa. Jest to bodaj że najslabszy punkt „programu”. Jak można przewidywać w żywej partii politycznej i w żywym ruchu komunistycznym (o ile się nie na-

leży samemu do skostniałych dogmatyków) linię rozwojową na przeciąg dwudziestu lat wobec Jugosławii i Chin, nie precyzując przy tym wszystkich elementów negatywnych i pozytywnych w trzech rozmaitych formacjach komunizmu, a mianowicie koncepcji jugosłowiańskiej, chińskiej i sowieckiej? Nie jest to bynajmniej przypadek, lecz po prostu nieudolność analizowania współczesnych skomplikowanych procesów społecznych, oraz chęć wykręcenia się od odpowiedzi na trudne pytania, które przed przywódcami sowieckimi stawia historia ruchu robotniczego, olbrzymia klęska marksizmu instytucjonalnego w Rosji Sowieckiej.

Dobitnym dowodem na to są te części programu, w których przywódcy partii sowieckiej musieli zająć stanowisko w stosunku do wizji społeczeństwa bezklasowego, przedstawionej przez Karla Marksa, Fryderyka Engelsa i Włodzimierza Lenina. Mam na myśli przede wszystkim rolę państwa, a w szczególności kapitalny problem obumierania czynników organizacyjnych i przymusowych oraz rolę i miejsce partii w okresie przechodzenia do komunistycznych form społecznych. W obydwu tak ważnych, z punktu widzenia teorii marksistowskiej i doktryny leninowskiej, sprawach, program komunistów sowieckich stoi na reakcyjnym stanowisku Stalina, jest wiernym wcieleniem, a nawet spotęgowaniem jego poglądów. Stalin, który od początku lat trzydziestych zaczął rewidować teorie Marksa i Lenina w tej dziedzinie, oświadczył mimo wszystko na XVIII Zjeździe w roku 1939, że „Państwo będzie obumierało, jeśli kapitalistyczne okrucieństwo zostanie zlikwidowane, jeśli zostanie ono zastąpione przez socjalistyczne otoczenie”. Chruszczow na XX Zjeździe atakował dawną stalinowską formułkę o kapitalistycznym okrucieństwie Związku Sowieckiego, powołując się na powstanie systemu państw socjalistycznych dookoła granic Rosji. Byłoby rzeczą logiczną wyciągnięcie z tego wniosków w chwili obecnej. Ale biurokraci i etatyści sowieccy przeszli nawet nad obietnicami Stalina do porządku dziennego i wykombinowali nowy wybieg. Nowy program bowiem przesuwając termin obumierania państwa sowieckiego *ad calendas graecas*, gdyż głosi, że „dla zupełnego obumarcia państwa niezbędne jest... ostateczne rozstrzygnięcie sprzeczności między kapitalizmem a komunizmem na arenie międzynarodowej na rzecz komunizmu”. Co to znaczy? To znaczy ni mniej, ni więcej, że biurokracizm etatystyczny w Rosji Sowieckiej otrzymał przedłużenie egzystencji do czasu zwycięstwa komunizmu w skali światowej.

Kontynuacja tradycji stalinowskich w ciągu następnych dwudziestu lat występuje najmocniej w zakresie roli i kompetencji partii komunistycznej. Aparat otrzymuje list żelazny, który stwierdza, że: „Okres rozwiniętej budowy komunizmu cechuje dalsze zwiększenie roli i znaczenia Partii Komunistycznej jako kierowniczej i przewodniej siły społeczeństwa sowieckiego”. To, że w programie i w statutach przewidziano ulepszoną metodę odnawiania kadr w aparacie partyjnym, nie jest bynajmniej dowodem postępu społecznego, ale wyrazem dążenia do osiągnięcia

perfekcji w systemie totalitarnym. Chruszczow ogłasza nie nowy manifest wyzwolenia nowoczesnego człowieka, ale manifest nowoczesnej niewoli i wyzysku człowieka poprzez totalitarną partię, hołdującą egoistycznym, grupowym interesom i przywilejom w imię wszechpotężnej władzy biurokracji i hamującą dalszy rozwój duchowych i produkcyjnych sił w Europie Wschodniej i Środkowej. Narody tego obszaru czeka długa i uporczywa walka o zrzucenie totalitarnego jarzma w imię urzeczywistnienia dalszego etapu sprawiedliwości społecznej, wolności narodowej i indywidualnej.

Bohdan OSADCZUK

Kronika angielska

TEORIA KONFLIKTU

Jeden z mędrców obozu p. Augusta Zaleskiego polemizując na łamach londyńskich „Wiadomości” z moim artykułem napisał, że „gdy frazes ten obędzie się jak karczoch, listek po listku, ukaże się denko: trzeba dogadać się z Sowietami, bo taka jest właśnie rzeczywistość”.

Jakiż to „frazes” został przyrównany do karczocha? Frazes ten brzmiał: „Polityka państwowa służy wyłącznie interesom określonego państwa i narodu”.

Sądzę, że byłoby mi łatwiej dogadać się już nie tylko z Sowietami, ale i z Chińczykami, niż z ludźmi tego typu mentalności.

We wstępie do mojej książki w języku niemieckim piszę, że najlepsze lata mojego życia poświęciłem walce przeciwko Niemcom. Walczyłem przeciwko nim jako dziennikarz i jako żołnierz. Ale nigdy nie wątpiłem, że celem naszej walki w ostatecznym rozrachunku musi być zdobycie możliwości „dogadania się” z Niemcami.

Polityka nie polega na pobiciu przeciwnika. Polityka polega zawsze na dogadaniu się z przeciwnikiem. Hitler umiał bić swoich przeciwników, ale nie umiał się z nimi dogadać. I dlatego przegrał. Gdyby jutro wybuchła wojna oznaczałoby to, że musimy pobić Sowiety, by móc dogadać się z Rosją. Ale cel byłby ten sam, tj. zdobycie możliwości porozumienia się z narodami Związku Sowieckiego.

Istnieje jeszcze inny typ polityki, którą należałoby nazwać polityką zagłady. Hitler nie zamierzał „dogadać się” z Żydami — zamierzał natomiast zlikwidować naród żydowski. Ludobójstwo, choć wielokrotnie stosowane w przeszłości — niezależnie od aspektu moralnego — jako instrument polityczny ma bardzo ograniczony zakres możliwości. Ofiarą ludobójstwa

padają małe liczebnie narody. Nie można jednak wytrzebić ani Rosjan, ani Chińczyków, ani Niemców. Czytelnik zgodzi się z przesłanką, że pokój i uporządkowanie sytuacji międzynarodowej — w każdym okresie historycznym — zależy od stopnia międzynarodowego porozumienia. Wniosek stąd oczywisty, że nie wzajemne ludobójstwo, lecz przeciwnie „dogadanie się” musi być celem racjonalnie pojętej polityki.

Prof. Anatol Rapoport z uniwersytetu w Michigan — w swej świeżo ogłoszonej pracy rozróżnia trzy typy konfliktu: walka — gra — dyskusja. W walce, celem jest zniszczenie przeciwnika, w grze „przechytrzenie” przeciwnika, w dyskusji przekonanie przeciwnika.

Nowoczesna teoria konfliktu jest koncepcją matematyczną znaną pod nazwą „teorii gry” (*game theory*). Gdy panowie A i B zasiadają do partii szachów to — zakładając, że są równie inteligentni i wprawni — można obliczyć co każdy z nich powinien zrobić, by w obliczu swego przeciwnika zapewnić sobie maksimum korzyści.

Konflikty współczesne gospodarcze czy polityczne cechuje trudne do ogarnięcia bogactwo szczegółów. Nadanie tym szczegółom formy matematycznej może ułatwić analizę i syntezę problemu. Być może za 500 lat wszystkie konflikty rozwiązywane będą przez komitety matematyków, którzy przy pomocy mózgów elektronowych dostarczą na żądanie ścisłych i bezbłędnych rozwiązań.

Jeżeli przyjąć nomenklaturę prof. Rapoport: *Fights* — *Games* — *Debates* — to należy stwierdzić, że konflikt obecny przynależy do drugiej kategorii tzn. *Games* (gry).

Uczony matematyk nie zauważył jednak, że poza konfliktem zasadniczym, Wschód-Zachód, istnieje jeszcze konflikt wtórny, który w moim przekonaniu zadecyduje o konflikcie zasadniczym.

Konflikt wtórny rozgrywa się w obrębie obu bloków państw. Pewni ludzie na Zachodzie chcieliby obecne stadium gry przemienić w stadium dyskusji. Inni panowie na tym samym Zachodzie chcieliby obecne stadium gry przemienić w stadium walki. Identyczny konflikt rozgrywa się po tamtej stronie „żelaznej kurtyny”. Szkoła chińska sądzi, że konflikt dojrzewa do stadium walki — politycy w Moskwie wyrażają nadzieję, że być może wojny da się uniknąć.

Te wtórne, wewnętrzne konflikty zadecydują z czasem o formie jaką przybierze konflikt zasadniczy.

Dla racjonalnie myślącego człowieka nie może być wątpliwości, że konflikt w stadium gry — należy sprowadzić na płaszczyznę dyskusji (negocjacji), a nie na pole bitwy. Dopiero jak negocjacje w praktyce okażą się całkowicie bezowocne — można stwierdzić, że wszystkie pokojowe środki rozwiązywania konfliktu zostały wyczerpane. Ale racjonalna droga postępu wiedzy w każdym konflikcie od stadium „gry” do stadium „dyskusji”.

Jeżeli nawiedzają mnie ponure myśli w związku z przyszłością — to źródłem ich jest przeświadczenie, że pogłębiający się klimat konfliktu pogarsza sytuację racjonalnie myślących ludzi. Ci, którzy są za wojennym rozwiązaniem — rozsądek uważają za przejaw ugodowości i kapitulantstwa.

Czasem zabawnie jest rzeczy małe porównywać z wielkimi. Cytowany na wstępie tej notatki „zamkowy” mędrzec uważa „Kulturę” za pismo ugodowe. Sądzę że analogicznie „niezłomni” Chińczycy uważają Chrusz-

czowa za ugodowca, który na dnie duszy chce się dogadać z Amerykanami, oczywiście kosztem Formozy.

Zarówno niezłomni chińscy komuniści jak i emigracyjni polscy „niezłomni” wyobrażają sobie, że reprezentują nieskazitelną pion ideologiczno-moralny. Tak jedni jak i drudzy są przeciwnikami „dogadania się”, bo swoich wrogów uważają za wcielenie zła. Siłą kontrastu siebie uważają za wcielenie dobra i prawości.

Moralność rozwiedziona z rozsądkiem, a sparzona z nienawiścią jest fanatyzmem. Fanatyzm prowadzi prostą drogą do patologicznych objawów. Co innego są emigracyjne swary i dyskusje a co innego jest obłąd.

Weźmy przykład pierwszy z brzegu. W tzw. „Tymczasowej Radzie Jedności Narodowej” dyskutowano niedawno „ordynację wyborczą”. Z oficjalnego biuletynu czytuję fragment wypowiedzi p. S. Mękarskiego:

„Z wywodów opozycji wynika, że jest ona w zasadzie za ordynacją wyborczą, która do Rady mogłaby dopuścić nawet komunistów. Taka możliwość byłaby sprzeczna z najistotniejszym założeniem emigracji politycznej. W zgodzie z projektem połączonych komisji chcemy, aby w Radzie były reprezentowane wszystkie kierunki polityczne prócz przeciwników niepodległości i walki o nią. Takimi są komuniści. Chodzi również o to, aby w akcji wyborczej ustrzec przyszłą Radę przed uczestnictwem w niej rzeczników rewizjonizmu emigracyjnego. Nie powinni się znaleźć w nowej Radzie uczniowie angielskiej szkoły myślenia o Polsce, proponujący np. aktywną koegzystencję Kościoła z reżymem komunistycznym; ludzie, którzy oczekują od tego reżymu koncepcji w sprawie emigracji albo tacy, zasłużeni skąd inąd dla kultury polskiej emigranci, którzy bronią historyków komunistycznych zniekształcających prawdę naszych dziejów”.

Owym emigrantem, który „broni” historyków komunistycznych jest — jak wiadomo — gen. Kukiel. „Ordynacja wyborcza” musi być tak pomyślana, by zagrozić wstępowi do Rady Jedności Narodowej tak niepożądanym elementom jak gen. Kukiel.

Historyk i pisarz, zasłużony i dobrze wysłużony żołnierz, Kawaler Virtuti Militari — jeżeli gen. Kukiel nie jest dobrym Polakiem — to kto z nas jest?

I ludzie kierujący się tak ślepym fanatyzmem chcą „reprezentować” nie tylko emigrację, ale i kraj. Łatwo sobie wyobrazić jak będzie wyglądała przyszła „Rada Jedności Narodowej” — skoro dla autorów „ordynacji wyborczej” nawet gen. Kukiel jest zbyt „postępowy” i niegodny piastowania mandatu. Ci panowie mogliby mieszkać 200 lat w Anglii, ale nigdy nie zrozumieją na czym polega demokracja, tolerancja i *common sense*. Stanowią egzotyczną wysepkę fanatycznego, pryncypialnego Wschodu w tej zachodniej brytyjskiej metropolii.

W każdym konflikcie łatwo o nienawiść — trudno o rozsadek. Nienawistnicy i fanatycy prowadzą wojnę na dwóch frontach. Walczą zarówno przeciwko Sowietaom jak i przeciwko swoim rodakom, którzy ośmielają się nie podzielać ich skrajnych poglądów.

W opinii naiwnych — „niezłomni” i fanatyczni uchodzą za klasycznych przedstawicieli „twardej linii”, za tych — co walczą do ostatniego naboju.

Długie lata obserwacji ludzi w różnych i trudnych warunkach przekonały mnie, że jest wręcz odwrotnie. Ludzie racjonalnie myślący, tolerancyjni,

a przekonani o słuszności sprawy — to są ci, którzy nie załamują się i nie kolaborują. Gdyby Piasecki był liberałem i racjonalistą nie byłoby dziś PAX'u. Fanatyczne, skrajne ugrupowania dostarczyły w całej Europie najwięcej kolaborantów tak hitlerowcom jak i komunistom. Bo racjonalistę trzeba przekonać — fanatyka wystarczy „nawrócić”.

Nie tylko pokój świata, ale zwycięstwo słusznej sprawy — zależy od pozycji i wpływów racjonalnie myślących ludzi po obu stronach „żelaznej kurtyny”.

ALARM W PAXIE

Artykuł Zb. Brzezińskiego i W.E. Griffith'a pt. „O nową politykę wobec Europy Wschodniej” oraz moje artykuły pod łącznym tytułem „Rusia — Niemcy — Ameryka” — wywołały gwałtowną reakcję prasy paxowskiej. I to jest zrozumiałe — PAX boi się bowiem jakichkolwiek zmian na lepsze. Paxowcy odcinają się od tzw. Planu Rapackiego — wnioskując, że nawet tak niedoskonała forma *disengagement* mogłaby przynieść pewne odprężenie, a tym samym gwałtowną zniżkę akcji PAX'u.

Gdyby Ameryka uznała granicę na Odrze i Nysie — gdyby Polska znalazła się w zdemilitaryzowanym pasie neutralnym, gdyby polityka rewizjonizmu w Niemczech utraciła sens i podstawę, gdyby w Polsce ludzie mogli odetchnąć nieco swobodniej — wówczas „doświadczony w twardej walce socjalistycznej” sojusznik partii i jego handlowe przedsiębiorstwa znalazłyby się z całą pewnością w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Mogłoby dojść do pewnej liberalizacji — kto wie — znaleźć by się mogli śmiałowie, którzy ogłosiliby skrzętnie przechowywane materiały dotyczące bogatej historii PAX'u.

Nie ulega wątpliwości, że sojusz z PAX'em kompromituje partię i na ten szczególny „sojusz” partia godzi się póki trwa „zimna wojna”. Normalizacja stosunków i odprężenie musiałyby logicznie doprowadzić do potępienia PAX'u nie tylko przez Kościół, ale i przez partię — gdyż zarówno z punktu widzenia katolicyzmu jak i z gruntu widzenia marksizmu paxowcy są heretykami rewizjonistami. Nie może być bowiem ani katolickiego komunizmu ani komunistycznego katolicyzmu.

Idealem paxowym jest stan międzynarodowego kryzysu — bo wówczas można nawoływać do „wzmocnienia czujności”, walczyć z liberalizmem i propagować wypróbowane stalinowskie metody. Gdyby nie zdradono tych metod — Gomułka siedziałby spokojnie w więzieniu — nie byłoby Października — a PAX nie płaciłby żadnych podatków i dysponowałby „Tygodnikiem Powszechnym”.

Jest zrozumiałe, że widmo odprężenia — już nie mówię o „odwilży” — wprawia w panikę paxowy zespół.

P. Witold Jankowski i p. Janusz Stefanowicz opublikowali na łamach paxowego „Słowa Powszechnego” siedmio-szpaltowe „kobyły” demaskując nową „dywersję” amerykańską ujawnioną w artykule prof. Brzezińskiego i w trzech bieżących artykułach J. Mieroszewskiego.

Co proponuje „Kultura”? Nie od trzech miesięcy, ale od pięciu lat „Kultura” proponuje demilitaryzację i neutralizację Niemiec. Jesteśmy

jedynym polskim pismem na Zachodzie, które od lat domaga się nie tylko międzynarodowego uznania granicy na Odrze i Nysie, ale wyłączenia Republiki Federalnej z NATO. Oczywiście wyłączeniu Niemiec z NATO musiałoby odpowiadać wyłączenie pewnych państw z Paktu Warszawskiego. Argumentowaliśmy, że Niemcy uzbrojone konwencjonalnie nie posiadają pełnej strategicznej wartości — z drugiej strony wyposażenie Bundeswehry w bionie nuklearne w naszym przekonaniu Sowiety uznałyby za *casus belli*.

Polityka nasza w stosunku do Niemiec zyskała nam ze strony tradycyjnych londyńskich „Wiadomości” miano „sukursantów propagandy sowieckiej”. Paxowskie „Słowo Powszechne” w cytowanych powyżej artykułach — awansuje nas dla odmiany do rangi „agentów amerykańskich”.

Sprzeczność tych wypowiedzi jest tylko pozorna. W obu wypadkach nie chodzi przecież o sens, tylko o kaliber obelgi. Po tej stronie „żelaznej kurtyny” z niewygodnego oponenta robi się „sukursanta Sowietów” — po tamtej stronie „agenta amerykańskiego”.

Analogia powyższa sięga znacznie głębiej. Tak ci, którzy mianują nas sukursantami Sowietów jak i ci, którzy robią z nas agentów Waszyngtonu — są wrogami odprężenia i pokojowego rozwiązywania konfliktu. Swoją rację bytu upatrują w kontynuacji „zimnej wojny”.

P. Janusz Stefanowicz idzie jeszcze dalej i zarzuca mi w klasycznym bierutowym stylu „renegactwo” i zdradę na rzecz Niemiec. Pewni krytycy zachodnio-niemieccy w omówieniach mojej książki zarzucają mi natomiast, że w odniesieniu do problemu niemieckiego przyjąłem komunistyczny punkt widzenia.

W tych zarzutach sprzeczność jest również tylko pozorna. Tak dla rewizjonistów jak i dla PAX'u — odprężenie i demilitaryzacja Niemiec oznaczałyby katastrofę.

Pewna grupa paxowców spoziera tęsknie ku Pekinowi i niewątpliwie model albański niepomniennie bardziej odpowiadałby „Führerowi” Piaseckiemu niż „miękką” gomulkowszczyzna.

Polityka „Kultury” w stosunku do Niemiec nie pokrywa się, niestety, z polityką Waszyngtonu. Nie tracimy jednak nadziei, że rozwój wypadków zmusi z czasem Amerykanów do szukania nowych rozwiązań i wówczas koncepcja pasa neutralnego w Europie środkowo-wschodniej stanie się bardziej popularna.

Pas neutralny nie przyniósłby ani „wyzwolenia” ani wolnych wyborów — ale likwidując zagrożenie ze strony niemieckiego rewizjonizmu i umniejszając szanse bezpośredniej sowieckiej interwencji — przyczyniłby się do odprężenia w tej części Europy. Odprężenie z czasem wyraziłoby się poprawą sytuacji gospodarczej i ogólną liberalizacją.

To jest program skromny, który choć pokrywa się z pragnieniami większości narodu polskiego — PAX'owi nie odpowiada. PAX'owi nie odpowiada demokratyzacja ustroju — choćby demokratyzacja oznaczać miała na początek tylko demokratyzację aparatu partyjnego.

Idealem PAX'u jest albo stalinizacja na wzór chiński — albo wojna i narodowy totalniacki faszyzm. To ostatnie rozwiązanie byłoby oczywiście najbliższe sercu „wodza” Piaseckiego. Droga do tego „ideału” nie prowadzi przez odprężenie i demokratyzację, lecz przeciwnie poprzez zaostrezenie konfliktu i rozbudzanie nienawiści.

Czym jest ideologia PAX'u jeżeli nie faszystowskim „narodowym socjalizmem”? Faszystowski „narodowy socjalizm” był w sojuszu z komunizmem ponieważ „narodowi socjaliści” na dnie duszy uważają się za tych, którzy przyjdą po komunizmie.

Można być przeciwnikiem nie tylko komunizmu, ale nawet demokratycznego socjalizmu. Niemniej trzeba uznać obiektywnie, że PAX jest ruchem degeneracyjnym epoki powojennej. Nie jest bowiem ani prawdziwym komunizmem ani prawdziwym socjalizmem. Jest natomiast autentycznym nacjonalizmem i totalizmem. Innymi słowy jest klasycznym faszyzmem, który przyjął czerwoną barwę ochronną.

20 LAT W MARSZU

W sierpniu minęło 21 lat od ukazania się pierwszego numeru pisma SBSK — „Ku Wolnej Polsce”. Pismo — drogie sercu wszystkich Karpaczków — wychodzi bez subwencji do dziś dnia, głównie dzięki niespożytej energii i dzięki niesłabnącemu karpackiemu sentymentowi redaktora mjr. dr. Mieczysława Młotki. Ukazywanie się pisma żołnierskiego przez 21 lat dr. Mieczysława Młotki. Ukazywanie się pisma żołnierskiego przez 21 lat jest zjawiskiem niecodziennym nawet w tak niecodziennych dziejach, jak jest dzieje polskiej wojskowości. Najbardziej zasłużonymi krzewicielami, konserwatorami i historykami tradycji karpackiej są mjr. dr Młotek i Jan Bielato-wicz.

Mjr Młotek w jubileuszowym numerze w artykule pt. „20 lat marszu Ku Wolnej Polsce” pisze m.in.:

„W okresie od 25 sierpnia 1940 do 25 października 1942 wyszło 418 numerów „Ku Wolnej Polsce”. Bliższe szczegóły o tym znaleźć można w Księdze Pamiątkowej SBSK, a o wznowieniu wydawnictwa w „Ku Wolnej Polsce” nr 38/456.

Oprócz codziennego materiału informacyjnego pismo zamieszczało artykuły autorów-żołnierzy Brygady oraz innych. Na ogólną liczbę 93 autorów — 42 to żołnierze Brygady. Na czele listy figurują Jan Naumoff-Ostrowski i Juliusz Mieroszewski”.

Parę miesięcy temu na jakimś przedstawieniu w „Ognisku” spotkałem Janka Ostrowskiego. Po przywitaniu zapytałem: jak ci się wiedzie? A on uśmiechnął się i odpowiedział: „tak dobrze jak nam było w willi Nana już nam nigdy nie będzie”.

Willa Nana w Sidi-Bishr na przedmieściu Aleksandrii, gdzie kwatrowała redakcja „Ku Wolnej Polsce” stała nad samym morzem. W spokojne noce słychać było przez otwarte okna jedwabny szum ciepłego śródziemnego morza. Ale bywały noce, że maszyny do pisania trzęsły się na stołach od huku dział p-lot. i dział okrętów wojennych, które odpierały nalot na bliski port w Aleksandrii.

W dniu przepustki Aleksandria była najcudowniejszym miastem świata okupowanym przez Polaków i Australijczyków czyli przez dwie najbardziej niesforne nacje na tym globie. Braterstwo broni polsko-australijskie było jedno z najszerzej rozprzeczonych i po kilku kolejkach wznosiliśmy nieodmiennie toast ku chwale przyszej „granicy” polsko-australijskiej.

Byliśmy młodzi. Nikomu nie śniło się o Teheranie czy o Jalcie. Droga ku wolnej Polsce wydawała się nam daleka ale prosta.

Brygada Karpacka była jedyną w swoim rodzaju formacją. Posiadała bardzo wysoki procent inteligentów i sporą garść utalentowanych ludzi, jak Bielatowicz, Sowiński, Bocheński (Adolf), Jan Erdman i wielu innych.

Jej klimat psychiczny był klimatem polskiego września. I w tym sensie Brygada stanowiła niepowtarzalny ideał jedności narodowej.

Pamiętam dobrze wizytę naczelnego Wodza w Sidi-Bishr. Plk Damrosz w stalowym hełmie „sprawował szyki” i po wielu godzinach oczekiwania w tropikalnym upale zjawił się wreszcie gen. Sikorski. Po formalnym raporcie i powitaniu gen. Sikorski podrażnionym głosem powiedział nam co następuje: „błagam was nie róbcie polityki. Politykę zostawcie mnie”.

Słuchaliśmy ze zdumieniem tych słów. To było echo „emigracyjnych swarów”, które do nas w Afryce jeszcze nie dotarły. Brygada nie uprawiała żadnej polityki — walczyła z Niemcami i to wszystko.

Konferencje redakcyjne „Ku Wolnej Polsce” w Sidi-Bishr i burzliwe konferencje redakcyjne „Orla Białego” w Bagdadzie — to dwie epoki.

Drugi Korpus był wielką armią z sztabami, biurami, ambicjami, intrygami i politykami. We Włoszech Korpus nabral blasku i bajecznego „fasonu”, który cechuje zwycięzców. Był świetną, nowoczesną armią, jakiej Polska nigdy przed tym nie miała.

Ale Brygada Karpacka miała egzotyczną „napoleońską” romantykę — myślę ostatnią w dziejach polskiego wojska.

To pewnie: tak dobrze jak w willi Nana już nam nigdy nie będzie.

LONDYŃCZYK

WOLNE OD CŁA — PACZKI PEKAO

**PRZEKAZY PIENIĘŻNE
PACZKI HASKOBY**

Katalog 500 najpopularniejszych
na żądanie

CENTRALA WYSYŁKOWA

HASKOBA LTD

121 Earls Court Rd, London S. W. 5



GALERIA GRABOWSKIEGO

ZAPRASZA DO ZWIEDZANIA CO MIESIĄC
NOWEJ WYSTAWY W LOKALU GALERII

84, Sloane Avenue, London S. W. 3

Kronika kulturalna

Hemingway, śmierć i zabijanie

Życia, twórczości i śmierci Ernesta Hemingway'a nie można zrozumieć w oderwaniu od tła, na którym kształtowało się piśmiennictwo amerykańskie po pierwszej wojnie światowej. Piśmiennictwo to zawdzięcza swą oryginalność rozbitkom życiowym, którzy po korzystnej dla Stanów Zjednoczonych wojnie wyłądowali z moralną zgagą — w kawiarniach i nocnych lokalach kuletnim *blackout*'cie i oszołomiony powrotem do normalnego życia. Rozbitków amerykańskich przyjęła z otwartymi ramionami Gertruda Stein i ona to przykleiła młodemu pisarzom historyczną już dziś etykietę: „*stracone pokolenie*”. A *lost generation*. Stracone lub raczej zagubione pokolenie, ponieważ utraciło wiarę w ideały, za które ochotniczo narażało swe młode życie. Pokolenie stracone, ponieważ ogłądało na własne oczy bankructwo cywilizacji, którą w swej kwakersko-purytańskiej naiwności uważało za chrześcijańską. Stracone, ponieważ straciło wiarę w siebie. Dobrowolni ci „ekspatriaci” włóczyli się latami po starych ośrodkach zbankrutowanej w ich oczach kultury, topiąc chandrę w miejscowych i importowanych trunkach, szukając zapomnienia przeżytego koszmaru wojny — w podniecających przygodach. Byli to egzystencjaliści *avant la lettre*, utalentowani pogromcy rosnącej w nich pustki i nudy. Pośród powszechnego zakłamania i fałszu szła za nimi jak Erynia jedyna, niezdewaluowana prawda — śmierć. Wcześniej zmarli, zapity powieściopisarz Scott Fitzgerald i Hemingway — uchodzą za najwybitniejszych przedstawicieli „straconego pokolenia” w amerykańskiej beletrystyce.

W świecie podejrzanych prawd i podważonej moralności wybrał młody Hemingway życie, pełne niebezpieczeństwa. Tak jakby mu nie wystarczała miniona wojna. Niebezpieczeństwa, których szukał Hemingway były brutalne, fizyczne i obce istotnej czy też podejrzanej duchowości. Inni pisarze, siedząc przy

biurku mniej lub więcej skutecznie, walczyli z aniołami i diabłami. Hemingway szukał prawdy o duszy człowieka, walcząc z bykami na hiszpańskich arenach, polując na grubszą zwierzynę w afrykańskiej dżungli, zabijając lwy, lamparty, słonie i niedźwiedzie. Wyprawiał się też na niebezpieczne połowy. Niektórzy krytycy upatrują w tym obsesję śmierci i pasję zabijania. Bardziej prawdopodobne wydaje się, że po wstrząsie, jakiego dziewiętnastoletni pisarz doznał na włoskim froncie, gdzie dwukrotnie odniósł ciężkie rany, nie mógł już powrócić do spokojnego życia. Śmiertelny wstrząs pragnął przezwyciężyć przy pomocy nowych śmiertelnych wstrząsów. Bez ustawicznego narażania się na niebezpieczeństwa, życie tego pisarza nie mogło już być prawdziwym życiem. A Hemingway kochał życie, pomimo jego grozy. Nie odmówił sobie żadnej dostępnej mu przyjemności i bez przesady rzec można, że z taką samą pasją używał życia co śmierci.

Powiedzenie, że śmierć zaglądała w oczy Hemingway'a od wczesnej młodości nie będzie ścisłe. To raczej on od wczesnej młodości zaglądał śmierci w oczy. O ile śmierć ma oczy lub owe puste oczodoły, którymi jej ikonografia straszy nas od średniowiecza. Lecz nie krzywdźmy pamięci pisarza obrazowaniem, obcym jego naturze. Hemingway odrzucał gotowe mity, symbole i alegorie. Stwarzał własne mity, niekiedy ryzykowne, a już mało który pisarz jego pokolenia był tak obcy symbolizmowi jak on. Bohater jego mistrzowskiej noweli pt. „Śniegi Kilimandżaro” umiera w głębi afrykańskiej dżungli, gdy zabrakło jodyny, która powstrzymałaby gangrenę w nodze, skaleczonej jakimś jadowitym kolcem. Jest on pisarzem i zapewne wyraża pogląd samego autora, gdy ostrzega towarzyszącą mu kobietę: „Nie wierz nigdy w kosę, ani w czaszkę kościotrupa. Śmiercią mogą być dwa policjanci na rowerach albo ptak. Śmiercią może być duży ryj hieny”. Mówi to człowiek w pełnej świadomości absurdu, jakim będzie jego śmierć, człowiek, nad którym krąży sępy i do którego podchodzą już autentyczne, niesymboliczne hieny. Odrzucał Hemingway nie tylko abstrakcje i przekazane tradycją pojęcia. Odrzucał wszystko, czego nie doświadczył na własnej — dosłownie — skórze. A było na niej pełno blizn. Od roku 1918 miał Hemingway platynową płytkę w kolanie na miejscu rozstrzaskanego rzepki. Czysto duchowe przygody prawie nie istniały dla Hemingway'a. Nie istniała dlań spekulacja, a wyobraźnia, trzymana w ryzach, służyła mu jedynie do pomocy, przy odtwarzaniu spraw przeżytych w konkretnej rzeczywistości. Przez całe życie studiował Hemingway śmierć, oczywiście śmierć gwałtowną. W wielkiej powieści o hiszpańskiej wojnie domowej pt. „For Whom the Bell Tolls”, jeden z republikańskich żołnierzy pociesza się ludową maksymą: „Zażywaj śmierci tak, jakbyś zażywał aspiryny”. Być może, że Hemingway zawdzięczał swój *élan vital* traktowaniu śmierci jakby to była tabletką aspiryny. Od początku istnienia literatury czerpali pisarze wiedzę o życiu, konfrontując je z śmiercią. Ale większość z nich stykała się z nią raczej przypadkowo i nie

z własnej woli. Hemingway zdawał się szukać jej towarzystwa, jakby chciał śmierć sprowokować do zmierzania się z nim.

Tu godzi się zastanowić nad rolą tzw. osobistych doświadczeń pisarza. Na ogół pisarze unikają przykrych doświadczeń. Ciężkie doświadczenia nawiedzają ich nieproszone. Tak było z Dostojewskim, który wcale nie pchał się na szafot, ani do „Martwego domu”. Tak liczni dziś pisarze — więźniowie obozów koncentracyjnych, łagrów i gett, też nie szukali swych ciężkich doświadczeń. Byliby pisarzami na swoją miarę nawet wówczas, gdyby ich ominęła wojna, niewola czy getto, gdyby jak Proust, Kafka czy Joyce spędzili życie w biurze ubezpieczeń, w apartamencie o korkowych ścianach lub uczyli języków w szkole Berlitz'a. Na ileż to lat przez kaceta „kameralny” gruzlik Kafka opisał szczegółowo „Kolonie karną” i stosowane tam tortury. Hemingway wyprawiał się po swoje doświadczenia bardzo daleko, organizował je i płacił za nie nie tylko ciężkimi pieniędzmi ale i zdrowiem.

Znamy innych, może wybitniejszych od niego pisarzy współczesnych, którzy też lubili z narażeniem życia czerpać o nim wiedzę w „terenie”. Pisarzy, dla których zewnętrzna przygoda była tylko pretekstem. Taki był Conrad i St. Exupéry, takimi są Malraux i Graham Greene. Dla Hemingway'a żadna przygoda życiowa nie była pretekstem, lecz celem samym w sobie. Całą swoją filozofię, wyłożoną w książkach, zdobył ten pisarz, jak gdyśby bez udziału intelektu. Mechanizm strachu, zabijania i umierania poznał jak fachowiec. Mówiąc o Hemingway'u trudno oddzielić człowieka od pisarza. Niewielu jest bowiem piszących, których dzieła tak wiernie odbijają ich życie i przygody, jak powieści i nowele autora „Pożegnania z bronią”. Mówiono nam, że pisarze kompensują w swych dziełach braki własnego życia, czy charakteru. Zmyślonych ludzi wyposażają we wszystko, czego im samym odmówił los. Stwarzają obrazy takiego życia, jakie chcieliby mieć. Mówiono nam, że chuderlawi autorzy egzaltują zdrowie i krzepę, tchórze wielbią odwagę i bohaterstwo, brutale zaś — na odwrót roztkliwiają się nad zabitymi ptaszkami. Niektórzy egzegeci Nietzschego wyprowadzają jego kult nadczłowieka i „wspaniałej blond-bestii” z jego ułomności i chęci. Hemingway jest zaprzeczeniem tej teorii. Jeśli wielbił odwagę, to dlatego, że był odważny lub dlatego, że potrafił przezwyciężyć strach. Niedorzeczne byłoby doszukiwanie się w osobie tego pisarza w s z y s t k i c h cech, jakie mają postacie jego powieści i nowel. Ale trzeba stwierdzić, że nie ze słyszenia ani z książek ani z kina lecz z autopsji znał świat i sytuacje, w których żyją, męczą się i umierają jego zmyśleni ludzie. I tym właśnie różni się on od większości swych znakomitych kolegów, którym wyobraźnia i tzw. wewnętrzne doznania zastępują zewnętrzne, fizyczne doświadczenie. Niewątpliwie literatura znasz Sienkiewicza lub Żeromskiego. Hemingway nie ufał swej intuicji ani wyobraźni. Wszystkie wojny, o których pisał z tak niezawod-

na znajomością realiów, oglądał na własne oczy i to nie z bezpiecznego oddalenia. Trudno też wyobrazić sobie, że mógłby napisać „Starego człowieka i morze”, sam nie będąc zawołanym rybołówcą. Wyprawiał się na najcięższe i najbardziej ryzykowne połowy oceaniczne, z których nieraz wracał ze zdobyczą, ważącą setki funtów. Uprawiał boks, brał udział w bójkach, próbował szczęścia jako matador na hiszpańskich arenach. Uchodził w Hiszpanii za jednego z najlepszych znawców corridy. Chwalił się, że widział 1500 zabijanych byków. Ostatnim jego utworem, którego początkowe rozdziały, drukował w ubiegłym roku nowojorski tygodnik „Life” jest „Niebezpieczne lato”. Jest to sentymentalny reportaż zwycięstw i klęsk przyjaciela Hemingway’a, matadora Antonio Ordoneza, oraz kronika rywalizacji Ordoneza ze swym równie jak on sławnym szwagrem, Dominiguinem. Najlepiej czuł się Hemingway w Hiszpanii, którą kochał wraz z jej pełnym godności, spoufaloną ze śmiercią ludem.

W swej poetyckiej apologii corridy pt. „Śmierć po południu” powiada Hemingway, że „wielki matador (czyli po polsku dosłownie: zabijacz) musi kochać zabijanie. Jeśli nie czuje, że jest to najlepsza rzecz, na jaką go stać, jeśli nie uświadamia sobie godności zabijania i nie czuje, że jest to jego nagroda, nie będzie zdolny do niezbędnej przy zabijaniu abnegacji. Prawdziwie wielki zabijacz musi mieć poczucie honoru i wyczucie chwały, przerastającej horyzont zwyczajnego matadora. Innymi słowy, winien on posiadać *duchową radość* (*spiritual joy*) w chwili, gdy zabija”. W jakże niesamowitym kontekście znalazły się tutaj słowa „*duchowa radość*”! Jak dalecy jesteśmy tu od wszystkiego, co od tysięcy lat naszej cywilizacji przywykliśmy kojarzyć z słowem: duchowy! Czyżbyśmy tu mieli do czynienia z barbarzyńcą, znajdującym radość ducha tylko w krwi na arenie? Hemingway napisał „Historię naturalną śmierci”, traktat włączony do wspomnianej wyżej książki „Śmierć po południu”. Znajdujemy tam takie zdanie: „większość ludzi umiera jak zwierzęta”. Żadnej metafizyki, żadnych złudzeń i żadnej pociechy. Ani religijnej ani świeckiej.

Krytyk angielski John Atkins uważa, że corrida była dla Hemingway’a formą wyzwania śmierci a przez to i poskromienia trwogi przed śmiercią. Krytyk ten posuwa się za daleko, gdy mówi, że „zabijanie byka może być czymś w rodzaju zabijania bóstwa i przyswajania sobie jego wielkiej potęgi”. Oczywiście Atkins kojarzy tu byka z wierzeniami staroegipskimi, a w matadorze chce widzieć nowe wcielenie kapłana. Sam Hemingway nie zapuszczał się w tak ryzykowne i obce jego umysłowości interpretacje. W „Śmierci po południu” oświadcza po prostu: Wiem tylko tyle, że moralne jest to, co daje ci po spełnieniu dobre samopoczucie. A niemoralne jest to, po czym czujesz się źle. Sądząc po tych moralnych kryteriach, których zresztą nie bronię, walka byków jest dla mnie bardzo moralna, ponieważ w czasie jej trwania świetnie się czuję i mam świadomość życia i śmierci, świadomość śmiertelności i nieśmiertelności. A później,

gdy wszystko się skończy, jest mi bardzo smutno, ale i bardzo dobrze”.

Niełatwo nam pojąć, skąd się bierze taka etyka. Do jej zrozumienia pomoże komentarz autora, jakim opatrzył wyznaczenie kubańskiego rybaka z uwieńczonej nagrodą Nobla opowieści: „Stary człowiek i morze”. „Stary człowiek sądzi, że nie jest grzechem zabijanie ryby, jeśli ją kochasz”. Wychowaliśmy się w bardzo odmiennych pojęciach o miłości. Ten sam stary rybak wygłasza takie zdanie: „Chwała Bogu, zwierzęta nie są tak inteligentne jak my, którzy je zabijamy, jakkolwiek są szlachetniejsze i zdolniejsze”. Nie można powiedzieć, żeby autor tych sentencji był uczniem św. Franciszka z Asyżu. I w ogóle trudno jest tego, skądinąd wielkiego, przyjaciela ludzi podejrzewać o najłżejsze drażnienie duszy chrześcijaństwem.

Jeśli zabijanie zwierząt, czy też walka ze zwierzętami była dla Hemingway’a formą miłości zwierząt, jak przedstawia się jego filozofia zabijania ludzi? Czytamy o tym wiele w bardzo ludzkiej książce wojennej pt. „For Whom the Bell Tolls”. Między innymi znajdujemy tam takie zdanie: „Nigdy na wojnie nie zabijamy tego człowieka, którego chcielibyśmy zabić”. Grubo omylił się, kto sądzi, że Hemingway kocha wojnę. Nienawidzi jej, co wyraźnie oświadcza w przedmowie do swej wielkiej, w roku 1940 wydanej, antologii pt. „Men at War”. Dodaje jednak, że skoro wojna już jest, trzeba ją wygrać wszelkimi środkami. Znamy te środki.

Hemingway brał udział w pięciu wojnach. Z własnej i nieprzymuszonej woli. W roku 1918 nie przyjęto go do armii amerykańskiej z powodu uszkodzonego oka, więc wybrał się na front włoski, jako kierowca amerykańskiego ambulansu. Długo nie wytrzymał w tej, i tak dosyć niebezpiecznej, służbie. Wkrótce już we włoskim mundurze walczył nad rzeką Piave. Kolegę z odstrzeloną nogą zanosili na barkach do okopu i dostaje postrzał w tydzień z karabinu maszynowego. Później miażdży mu kolano pocisk z austriackiego moździerza. Biografowie zamilowani w statystyce notują, że po tej eskapadzie wydobyto z Hemingway’a 237 odłamków żelaza. W parę lat później wyrusza Hemingway jako korespondent do Azji Mniejszej, gdzie Turcy biją się z Grekami. Okropne wrażenie wywarł tam na pisarzu widok zwierząt pociągowych z połamanymi nogami, zapędzanych na zatopienie do portu.

Lata wojny domowej w Hiszpanii spędził Hemingway, znów jako sprawozdawca, po stronie republikańskiej. Obecności jego na froncie hiszpańskim nie można tłumaczyć szukaniem niebezpiecznych wrażeń czy tzw. żylką awanturniczą. Jak tylu innych pisarzy i intelektualistów z Europy i Ameryki, sprowadziła Hemingway’a do Hiszpanii sympatia do hiszpańskiego ludu i nienawiść faszyzmu. Trudno go sobie wyobrazić w roli obojętnego, niezaangażowanego obserwatora cudzej walki i cudzej śmierci. Z wojny hiszpańskiej wrócił Hemingway rozczarowany.

Przekonał się, że oficjalni przyjaciele ludu nie są lepsi od jego oficjalnych wrogów. Sprzyjał republikanom, ale widział okrucieństwo po obu stronach walczących. „Komu bije dzwon” jest nie tyle epopeją hiszpańskiej wojny domowej, ile dokumentem jej człowieczeństwa i bestialstwa. Powieść ta wywołała niezadowolone po obu walczących stronach. Świadczy to o artystycznej uczciwości autora.

W drugiej wojnie światowej miał Hemingway być tylko korespondentem, ale nie wytrzymał w tej roli i brał udział w bojach na lądzie, na morzu i w powietrzu. Jego prywatny stateczek „Pilar” krążył w latach 1942-1944 u brzegów Kuby i tropił niemieckie łodzie podwodne. Do syta i z bliska napatrzył się Hemingway mordowaniu i umieraniu, a nie był to kaprys pisarza, spragnionego mocnych wrażeń.

Gdyby Hemingway niczego więcej nie napisał prócz krótkiej noweli pt. „Mordercy”, już ta nowela pasowałaby go na jednego z najoryginalniejszych pisarzy naszych czasów. Z pomocą samych tylko dialogów odsłania tu autor mechanizm, działający w duszach (o ile to, co znajduje się w ich wnętrzu można nazwać duszą) dwóch zawodowych morderców, wynajętych przez boksera do sprzątnięcia zwycięskiego rywala. Panowie ci wcale nie mordują, tylko przygotowują się do mordu, zresztą udaremnionego. Gdyby autor szczegółowo opisał, jak ci dwaj fachowcy pracują, wywołałby słabsze wrażenie. Chodziło mu nie o sam mord, ale o fenomenologię morderców. Pisarz amerykański pokazał oblicze naszych czasów, które nieomal sto lat temu zwiastował Rimbaud w „Illuminacjach”: „Voici le temps des ASSASSINS!”.

Nazwaliśmy Hemingway’a barbarzyńskim humanistą. Był humanistą, gdyż umiał utożsamiać się z bliźnim, cierpiącym i walczącym. Nie wywyższał się nad maluczkich. W obce światy gnała go pasja bratania się z ludźmi. Nie z literatami czy „intelektualistami”, nie z pięknoduchami. Hemingway nie cierpiał pysznych. Pociągały go nie kluby literackie, lecz obozy żołnierskie, biwaki, areny i karczmy. Jeśli był barbarzyńcą, był nim uczciwie i bez złudzeń. Jeśli był egzystencjalistą, to w praktyce, nie w kawiarni „Des deux Magots”. W powieści „For Whom the Bell Tolls” wkłada autor w usta swego *porte-parole*, Roberta Jordana, takie, znamienne dla egzystencjalizmu słowa: „Masz swoje — teraz i to jest wszystko, czym jest twoje życie. Nie ma nic innego, jest tylko teraz. Nie ma żadnego wczoraj, na pewno, i nie ma żadnego jutra. Istnieje tylko teraz, a jeśli to teraz trwa zaledwie dwa dni, to te dwa dni stanowią twoje życie”.

Każdą chwilę swego życia starał się Hemingway wypić do dna. Tylko człowiek wierzący nie zużywa w doczesnym życiu,

Ernest Hemingway żył i umarł bez Boga. Pięknym gestem pożegnał katolicki kościół człowieka, który zginął jakoby w

nie zjada tu na ziemi, nagromadzonego w sobie kapitału. Zawsze chowa sobie coś na potem. Najwyżej zjada odsetki. Wypadku z bronią myśliwską. Na fotografii przedstawiającej pogrzeb pisarza widzimy stojącego nad otwartym grobem kapłana i trzy postacie w białych komzach. Jedna z nich trzyma krzyż.

Józef WITTLIN

WOLNE OD OPŁAT CELNYCH

- WSZYSTKIE LEKARSTWA
- MATERIAŁY DENTYSTYCZNE
- OKULARY
- POŃCZOCHY na ŻYLAKI
- WYKONYWANIE RECEPT KRAJOWYCH

WYSŁE SPRAWNIE I BEZ ZWŁOKI

Największy Dom Wysyłkowy

TAZAB & Co. Ltd.

Tazab House

LONDON, S.W.7.
22, Roland Gdns.,
Tel. FRE 3175-6

TAZAB & Co. Ltd

NEW YORK, 3
36, Third Avenue,
ALgenquin 4-4161

Książki

„Skąpani w ogniu”

Pierwsze opowiadania Wojciecha Żukrowskiego ukazały się przed 14 laty w zbiorze „Z kraju milczenia”. Witaliśmy go wówczas jako najwybitniejszy talent narratorski wyrosły z lat wojny i okupacji. Wartka, nieco sarmacka proza jego trafiała od razu do serca polskich czytelników. Od tego czasu Żukrowski ogłosił kilkanaście tomów powieści, nowel, szkiców i reportaży, rozpraszając nieco swój talent. Nie odbiegne zapewne od zdania większości czytelników gdy powiem, że Żukrowski nie spełnił dotąd wszystkich pokładanych w nim nadziei. Wziętemu pisarzowi to zresztą nie szkodzi. Każda jego nowa książka przypomina dawne obietnice i każe czegoś oczekiwać.

Ostatnia powieść Żukrowskiego (1) nosi wszystkie znamiona jego talentu; żywość narracji łączy się w niej z pomysłowością intrygi. Różne jej rysy każą nam myśleć o „Trylogii”. Odnajdujemy w niej i schematyczność postaci, które ukazują się nam tylko w akcji, białe i czarne jak charaktery melodramatu, i zręcznie ustawione akcesoria historyczne i wreszcie podporządkowanie wszystkiego wartości opowiadania. Nie brak nawet dyskretnej ambicji „pokrzepiania serc”. Rysy tradycyjne łączą się w niej gładko z pozornym nieładem kompozycji, z rzutami oka wstecz i innymi kokieteriami nowoczesnej techniki powieściowej.

Lektura „Skąpanych w ogniu” byłaby przyjemna i zajmująca, gdyby nie budziła tylu mieszanych refleksji. Czytelnikowi na emigracji żadna być może książka nie przypomina w równym stopniu oddalenia od kraju i otchłani czasu dzielącej go od dwudziestolecia. Nie wiem, jakie wrażenia wynoszą z tej lektury czytelnicy krajowi, można jednak przypuszczać, że nie wyciągają z niej pomyślnych wróżb.

(1) *Skąpani w ogniu*. Wyd. Min. Obrony Narodowej, Warszawa, 1961.

Nowa powieść Żukrowskiego otwiera mianowicie drugą serię powieści pisanych na tak zwane zamówienie społeczne. Pierwsza seria ukazała się w czasach „kultu jednostki”. Książki te, szyte zbyt grubymi nićmi, nie znalazły wielu czytelników i wreszcie przestano je drukować.

Zapowiedź wznowienia tego nudnego rodzaju literackiego ukazała się wiosną 1959 z okazji piętnastolecia milicji obywatelskiej i służby bezpieczeństwa. Min. Spraw Wewnętrznych ogłosiło wówczas konkurs literacki na utwór prozą, związany tematycznie z działalnością organów milicji i służby bezpieczeństwa oraz ich funkcjonariuszy. Konkurs przewidywał nagrody w wysokości 30, 20 i 10 tysięcy złotych. W krajowych czasopiśmie literackich nie znaleźliśmy żadnych wiadomości o dalszych losach tego konkursu. Wolno więc przypuszczać, że opiewanie — chociażby prozą — służby bezpieczeństwa okazało się dla pisarzy zadaniem mało pociągającym, i że na konkurs nie nadesłano godnych nagrody rękopisów.

Jeżeli mój domysł jest słuszny, coś musiało się od tego czasu zmienić w ustosunkowaniu się piszących do zamówień ministerialnych, nowa bowiem powieść Żukrowskiego odpowiada dokładnie warunkom konkursu i mogłaby słusznie pretendować do pierwszej nagrody, gdyby termin nadsyłania rękopisów nie ubiegł.

Bohaterami powieści są szoferzy milicji i pracownicy służby bezpieczeństwa, skąpani w ogniu walki z bandytami i skrywającymi się po lasach resztkami organizacji podziemnych z czasów okupacji niemieckiej. Akcja jej toczy się w pierwszych latach powojennych między Katowicami i Opolem, gdzie ostatnie grupy organizacji podziemnych przedzierały się do czeskiej granicy, ścigane przez milicję i bezpiekę.

Opowieść o tym słyszymy z ust kapitana zarządzającego parkiem samochodowym milicji w Katowicach. Opowiadający był oficerem Armii Krajowej, ujawnił się jednak wcześniej i wstąpił ochotniczo do milicji. Czuł zrazu nad sobą nadzór polityczny, lecz jego oddanie nowej władzy, lojalna współpraca ze służbą bezpieczeństwa i przyjacielskie stosunki z rosyjskimi instruktorami rozwiązywały wkrótce podejrzenia. Głównego bohatera otacza zwarta grupa kolegów — oficerów, instruktorów, szoferów i mechaników — o zamasztych, sarmackich charakterach, nieustraszonych na służbie i przy kieliszku. Najbardziej świetlane — i przez to papierowe — są postacie rosyjskich instruktorów, którzy wyrzekli się kariery w sowieckiej armii, aby oddać się bez reszty zadaniu szkolenia sił zbrojnych Rzeczypospolitej Ludowej. Do życia grupy Rosjanie, prócz bezgranicznej życzliwości, wnoszą czynnik koleżeńskej dyscypliny i zmysł organizacyjny.

Czarne charaktery powieści znajdują się wszystkie po drugiej stronie barykady, wśród leśnych ludzi, bandytów i wykończonych z podziemia. Oni to — jak się okazuje — zabili działaczy stronnictwa ludowego, których śmierć przypisywano pracownikom bezpieki. Oni też mordują dawnego towarzysza z A.K.,

wzbraniającego się iść z nimi na emigrację. Każdy chętnie strzela do takich ludzi, więc dzielni szoferzy porzucają wbrew przepisom swe wozy, chwytają karabiny i pędzą z milicjantami do lasu.

Taki mniej więcej obraz roztacza przed nami Żukrowski na stronicach swej powieści. Zamówienie wykonał fachowo, nie zominając o wymaganiach rzemiosła literackiego. Tytuł świetlnych postaci nie podobna zmieścić w jednej powieści nie posługując się ciemniejszym tłem. Cienie rozmazane są też szeroko na drugim planie, dla uwypuklenia postaci pierwszoplanowych.

Jedną z tych stref cienia są powtarzające się obrazy szabrownictwa, w którym uczestniczą także dobroduszni milicjanci. Drugą stanowi rozlewające się szeroko po stronicach książki morze gorzalki, w którym niejeden bohater mógłby utonąć na dobre, gdyby nie dobroczynny wpływ instruktorów, zalecających umiarkowanie w pijaństwie. Trzecią wreszcie i najgęstsza zarazem strefą cienia jest rozpaczliwe położenie starej ludności polskiej Śląska, której ani wojska sowieckie ani przybywający z kresów wschodnich osadnicy nie odróżniają dobrze od Niemców. Jednym z ubocznych wątków powieści jest historia rodziny śląskiej, prześladowanej niegdyś za polskość przez Niemców i — wobec warunków, jakie wytworzyły się na Ziemiach Odzyskanych — szukającej ratunku w emigracji do Niemiec. Szlachetni milicjanci i ubecy usiłują oczywiście wziąć ją w obronę, lecz zadanie takie przekracza ich wojskowo-policyjne uzdolnienia.

Uproszczenia i koloryzacje Żukrowskiego idą zapewne po linii obstalunku, możemy więc szukać w nich wskazówek dotyczących natury i sensu nowej serii „zamówień społecznych”. Od czasów „Eneidy” próbowano nieraz przykrawywać historię do potrzeb i terminologii bieżącej polityki. „Skąpani w ogniu” są jednym z tych obrazów przeszłości przysposobionych do różnego użytku. Operacje tego rodzaju natrafiają na różne trudności i wymagają różnych środków. Poprawianie historii jest szczególnie żmudne, gdy chodzi o przeszłość niedawną. Łatwo jest mówić o „postępowości” lub „reakcyjności”. Mieszka Staro, trudniej wtłoczyć w te szufladki ludzi dotąd żywych i wypadki posiadające wciąż świadków naocznych. Nawet dla powieściopisarza traktującego bez ceremonii historię i świadków jest to niewdzięczne zadanie. Bo czy milicjanci i ubecy poznają siebie w idealizowanych portretach Żukrowskiego? Można o tym wątpić. Nie przypisujemy im zbytniej łatwowierności. Poprawianie historii nie jest rzeczą powieściopisarzy, w zakresie ich władzy leży natomiast tworzenie mitów, mających potem życie własne i kształtujących wyobraźnię następnych pokoleń. Tworząc swe fantastyczne postacie dobrodusznych milicjantów i szlachetnych ubeków, Żukrowski korzysta szeroko z mitotwórczych uprawnień pisarza.

Sądząc z „Skąpanych w ogniu” i innych nagrodzonych ostatnio przez Ministerstwo Obrony Narodowej powieści, nowe zamówienia dobroczynnego rządu dążą do stworzenia nowej

mitologii narodowej. Zamiar ten przeziara również ze stronic nagrodzonej przez MON powieści Romana Bratnego „Śniegi płyną”. Widzimy w niej małego rozmiaru rodzimego Lawrence’a, udającego oficera ukraińskiej powstańczej armii i zabijającego nawet swoich aż do chwili, gdy udaje mu się wydać w ręce milicji komendanta ukraińskich powstańców. Powieść jest słaba i postać bohatera prowokatora mało przekonująca, należy jednak widocznie do repertuaru nowej mitologii. Nadeszły nowe czasy, błedną powoli wspomnienia „Starej baśni”, coraz wyraźniej występują zarysy baśni nowych. Odchodzą Piast i Rzepicha, Kazimierz i Esterka, rycerze Wiśniowieckiego, Kmicic, Zagłoba i Podbiptę. Na scenę wychodzą dobroduszni milicjanci, szlachetni ubecy i bohaterscy prowokatorzy. Wielu czytelników stara się zapewne odgadnąć, jakie wróżby niesie im ta nowa mitologia.

Parwł HOSTOWIEC

„Młody poeta w zamku”

Parole in libertà — tak Marinetti nazwał przed pół wiekiem swój zbiorek poezji futurystycznych. Język literacki nie przestał odtąd zrywać pęt wszystkich reguł porządkowych. „Słowa na wolności” zaczęły ustawiać się w luźne grupy, powiązane przez asocjacje i metafory. Niejasny, często trudny do odcyfrowania język naszych czasów pozwolił literaturze wziąć w posiadanie nowe obszary majaceń i snów, utrwalać obecnie w druku.

W powieściach poświęconych zagładzie Brodów pod okupacją niemiecką Leopold Buczkowski stworzył język do opisywania katastrof historycznych, w których nie tylko ściany naszych domów, lecz także poprzedni obraz świata rozpada się w obłokach kurzu (1). Druga wojna światowa wywołała widocznie potrzebę takich środków wyrazu, bo znany pomnik Zadkina, wzniesiony w Rotterdamie na pamiątkę bombardowania miasta w 1940, zdradza pewne pokrewieństwo z powieściami Buczkowskiego.

Zbiór opowiadań Buczkowskiego pt. „Młody poeta w zamku” (2) pozwala poznać inne jeszcze możliwości jego talentu. Są to nie tyle opowiadania, ile fragmenty zbliżone do typu poe-

(1) Por. „Kultura” nr 126 z kwietnia 1958, str. 13-23.

(2) Pax, Warszawa, 1960.

matów prozą. W powieściach osobliwy styl autora znajdował oparcie w temacie, w opowiadaniach musi tłumaczyć się sam. Buczkowski nie odwołuje się w nich do magicznego języka kreśców i niepowtarzalnej autentyczności relacji. Jego nowe przedsięwzięcie przypomina test sprawdzający słusność obranej metody lub naturę martwą, będącą rachunkiem sumienia artysty.. Przed tą próbą autor przemyślał wiele rzeczy na nowo. W końcu pierwszego opowiadania znajdujemy jego receptę literacką: „Niech nam wystarczy, że już wszystko wiemy, nie to, co robiliśmy, ale to, czym zostaliśmy. Uwieziona poczwarka — jak powiadają mędrcy — stała się już skrzydlatą Psyche; niech sobie lata, jak chce”.

Słowa „niech sobie lata, jak chce” przypominają nieco *écriture automatique* surrealistów, ale nie o to chodzi. Rzecz w tym, jaki sens Buczkowski nadał tej niemłodej formule, jakie efekty z niej wydobyl.

Po nowym terenie Buczkowski stąpa ostrożnie, nie oddalając się zbyt od znanej mu atmosfery Brodów pod okupacją. Jak świadczy tytuł, opowiadania i fragmenty grupują się dokoła dwóch motywów: rujnowanych przez wojnę pałaców i mająceń młodego poety.

Oto przykład motywu „zamku”:

„Kto nie lubi być świadkiem, jak się wosk układa, miód robi, owady wylęgają, trucizna warzy, duszą się grzyby lub pszenica zbiera? Oto widać pałacowców dziedziniec, na którym rozkłada się do koncertu orkiestra, kobiety zaścielają stoły do pysznego jadła. Obok siedzi staruszka z żebaczym talerzykiem w rękę i wygrzewa się kot w jesiennym słońcu. Listonosze, obwieśzeni skórzanymi torbami, rozdają nowiny smutku i wesela...”.

A oto motyw „młodego poety”:

„— Jasnym promieniem, panie prokuratorze, w tej pustej szarzyźnie lasu było cowieczorne przybywanie pod schron Nimfy Ariadny. Spod jej chustki rozchodził się zapach grochu ze słoniną lub innych smacznych rzeczy. Ale i tu był ciemny punkt. Nimfa Ariadna nie kochała mnie. Pod datą 17 lutego roku 42 znalazłem w swoim notatniku takie uwagi: „...Przybywa wieczorami i przynosi żarcie; przejęty zimnem i rozbudzony ciepłą wieczorą, która dopiero co wylonila się z objęć, mówię z Ariadną gorliwie, ze słodyczą w ustach, szczerze i żarliwie, jak gdybym znajdował się z nią w świętym miejscu. Jest nas dwoje. Dwa pulpity. Dwa dzieła. Dwa noże ostre. Wielkie cierpienie i trwogi niedowiarstwa... Moje cierpienia wypowiedziałem przed jakąś blakającą się tu staruszką. Wyraziła nadzieję, że moje cierpienie nie pójdzie już wobec tego na marne. Tak, tak, pozbywszy się pokusy, uczymy się już bardzo miło i nie wiemy, jak czas uchodzi...”.

Więź łącząca oba motywy widać jasno w najdłuższym opowiadaniu pt. „Dywizja w galerii”. Główny wątek streszczony jest od razu w pierwszych zdaniach:

„Sprzedawszy szefowi zatruty samogon, usiedliśmy i patrzyli przez okno smutnie knajpy, jak żandarmi pędzili szybkim krokiem dorożkarzy na rozstrzelanie. Autor winauje nielicznym dzieciom, które towarzyszyły pochodowi

całą drogę. Największa część cofnęła się i stała sobie, spoglądając z daleka z niesympatycznym zdziwieniem na bieg ten”.

Myśl opowiadającego odwraca się od tego okropnego obrazu i w krótkich chwilach, jakie dzielą ją od salwy plutonu egzekucyjnego, obiega cały świat wspomnień, książek, mająceń i fantazji, odkrywając po drodze nie dostrzeżone przedtem przedmioty, których czepia się rozpaczliwie, byle przedłużyć pozostałe jeszcze minuty. Rolę zamku gra tu strych pełen wspaniale oprawionych książek, traktujących o najodleglejszych od Brodów przedmiotach. W kulminacyjnym punkcie opowiadania błękitno-złota karetka, zaprzężona w parę karych koni, zajeżdża na miejsce kaźni.

„Na koźle siedział dorożkarz, trzymał bat jak lancę.

— Na co właściwie się czeka? — zapytał.

— Kto twierdzi, że macie być rozstrzelani? Czekajcie tymczasem spokojnie.

Na to dorożkarz wznosił ramiona, odpiął fartuch i szedł na ziemię.

— Pan komendant policji dystryktu polecił mi przyjechać kareta po niego.

— Pan komendant nie mógł wam tego polecić, to nie podobna. Musie-

liście go źle zrozumieć...

Czytelnicy psychologicznie usposobieni są ciekawi, jak się w tym kłopotliwym położeniu zachowali dorożkarze, z jakimi figurami i blaskami ich cienie znikają w palenisku elektrowni miejskiej. Każdy z Petrarą i Wercenem spoczywają sobie w popiele przy zupełnym braku związku między terem, spoczywają sobie w popiele przy zupełnym braku związku między najrozmaitszymi obcymi im za życia przedmiotami. Po błyskawicznym śledztwie i konfiskacie pierścionków ginęły i Bluminy i Flory, kochanek z kochanką, królowe róż i serafitki. Pominiemy milczeniem skargi i prośby. Nikomu nie udziela się w takiej sytuacji wyjaśnień. Wszyscy od dziesiątków lat lubimy polować na piękne widoki. Przychylmy więc tę kryształową kulę, zawierającą piękny lub smutny dla nas widoczek. Nie bójcie się tych małych wysepek światła...”.

Niechże czuły czytelnik oceni teraz uczucia nasze w chwili, gdy pulownik, zamiast krzyknąć: „Ognia”, wychylił się z radością w trochę jaśniejszą strefę. Na bokach karety namalowane były rokwole maki, z koszyków zwisały kiście niebieskich kwiatów, winogrona, bób turecki, brzoskwinie — same łakocie dla spragnionych ust, żadnych kwaszonych ogórków i kartofli. Najwięksi arystokraci tej części świata przychodzili do karety Futtera. Wszystko pchało się do ślubu jego kareta... W karecie Futtera zawsze pełno było zapachu. Przyjemnie było wachać. I było na co patrzeć. Bicz dorożkarza był palcem wskazującym ku gwiazdom. Ach, co za nieznośna zarozumiałość ogarniała nowożeńców!

Podoficer podniósł rękę:

Ognia!

Przytoczone wyżej urywki dają pojęcie o nowej książce i o osobliwym talencie Buczkowskiego. Pewien znany krytyk warszawski nazwał jego prozę czystym belkotem. Nie jest to takie proste. Opowiadania jego są pełne delikatnych, zwiewnych szeptów i poetyckich inwencji. Próbowałem czytać je nieuprzedzonym znajomym. Jedni wrywali mi książkę z ręki i czytali ją

przez całą noc. Inni twierdzili, że w przekładzie wywarłaby na czytelników francuskich piorunujące wrażenie.

Wszystko to jest możliwe. Są książki, do oceny których wystarcza bierna recepcja. Inne wymagają wysiłku wyobraźni, odkrycia ich na własny użytek. Biorący je do ręki czytelnik musi znajdować się w stanie wzmózonej wrażliwości, w rodzaju stanu łaski. Kto zresztą wie, czy nie tak właśnie należy czytać wszystkich dobrych autorów? Lektury takie stwarzają między czytelnikiem i pisarzem więzi trwalsze od przemijających snobizmów i mód literackich.

Paweł HOSTOWIEC

„Socjologia” Jana Szczepańskiego

Czytając potężny rozmiarami tom prof. Jana Szczepańskiego*), trudno uwolnić się od pewnych ogólniejszych refleksji na temat stanu nauki i nauczania w Polsce. Nie ulega wątpliwości, że w dziedzinie socjologii Polska należy do przodujących krajów Europy. Socjologia polska jest wysoko cenniona wszędzie, włączając w to kraj, który nadal jest głównym ośrodkiem wiedzy socjologicznej — Stany Zjednoczone. Polska jest ojczyzną Znanieckiego, Malinowskiego i Krzywickiego. Następcy ich są powszechnie znani i szanowani. Polska ma poważne ośrodki badań socjologicznych, wydaje pierwszorzędną czasopisma, może się poszczycić szeregiem cennych prac teoretycznych. A równocześnie, przy całym szeregu katedr socjologicznych, nie było dotąd w Polsce prawdziwego podręcznika uniwersyteckiego, który by studentowi mógł dać solidne podstawy tej dyscypliny. W braku takiego podręcznika używane były namiastki, z których żadna nie mogła spełnić zadania przygotowania studenta do samodzielnej pracy badawczej.

Słowem, student polski zaczynał latać zanim nauczył się chodzić. Był to znów jeden z tych licznych polskich paradoksów, świadczących o tym, jak bardzo paradoksalnym krajem jest Polska.

Dopiero rok 1961 przyniósł socjologom polskim pierwszy autentyczny i poważny podręcznik uniwersytecki. Jan Szczepański był znakomicie kwalifikowany do napisania takiej pracy. Sam wybitny socjolog, profesor Uniwersytetu Łódzkiego, jest doskonałym wykładowcą i wychowawcą, obdarzonym niewątpliwym talentem pedagogicznym. Albowiem nie każdy dobry specjalista potrafi napisać w swej dziedzinie dobry podręcznik. Do tego

*) Jan Szczepański: *Socjologia, rozwój problematyki i metod*. Państwowe Wydawnictwo Naukowe. Warszawa, 1961. Str. 518.

potrzebne są specjalne uzdolnienia, które by umożliwiły pokazanie ogromnego zasobu wiedzy w sposób jasny, przejrzysty, dobrze uporządkowany. Uczonych o takich uzdolnieniach nigdzie nie ma w nadmiarze. A że Szczepański je posiada, przeto mamy prawo uznać jego „Socjologię” za podręcznik stojący na równi z najlepszymi amerykańskimi opracowaniami tego typu. A nie jest to mała pochwała.

W warunkach polskich napisanie takiej książki nie było łatwym zadaniem. Było nawet zadaniem bardzo trudnym. Na przeszkodzie stały wszelkie utrudnienia ze strony cenzury, oddanej w ręce partyjnych półanalfabetów, zwalczających wszelkie herezje, stale węszących za nieprawomyślnością. Socjologia to nie botanika. Podręcznik socjologii z samej natury rzeczy musi budzić niepokój w cenzorach. A cóż dopiero dobry podręcznik! Czytając dzieło Szczepańskiego, nie trudno jest wyczuć, że autor miał nie jedno do pokonania.

Oczywiście nie mogło obyć się bez nieuniknionych kompromisów. Student polski, przepracowując książkę Szczepańskiego, nie dowie się o żadnym z żyjących polskich socjologów emigracyjnych. Tacy nie istnieją. Nie odnosi się to jednak do nieżyjących i dzięki temu krajowy czytelnik podręcznika Szczepańskiego otrzymał doskonałe opracowanie np. wielkiego dzieła Floriana Znanieckiego. Cenzura polska uznaje tylko nieżyjących emigrantów. Są to idiotyzmy cenzuralne, wobec których autor był bezradny. Na szczęście w tym wypadku są to rzeczy bardzo mało istotne i nie wpływające na całość obrazu.

W granicach możliwości cenzuralnych Szczepański potrafił wykazać się imponującym obiektywizmem. Jego rozdział o socjologicznych koncepcjach marksizmu jest rzeczowy, dokładny, bardzo przejrzysty. Student polski dowie się z niego o marksizmie znacznie więcej niż z oficjalnych podręczników partyjnych. I prawdopodobnie lepiej zrozumie, na czym polegała rzeczywista wielkość Karola Marksa. Samo zaś napisanie takiego rozdziału, umieszczającego marksizm jako jeden wśród wielu głównych prądów w dziejach socjologii, było zadaniem arcytrudnym.

Książka Szczepańskiego jest podręcznikiem. Nie jest pracą odkrywczą i nie rości sobie w tym kierunku żadnych pretensji. Jej walory są natury dydaktycznej. Dla wybitnego uczonego, który ma własne poważne osiągnięcia naukowe, pisanie podręcznika jest z reguły połączone z pokusą wyjścia poza granice dydaktyki i wprowadzenia własnych koncepcji i teorii. Ilekroć to napisano książek, które miały być podręcznikami, a w rzeczywistości są traktatami, reprezentującymi koncepcje teoretyczne swych autorów. Szczepański nie uległ takiej pokusie. Wykazał mądrość i siłę charakteru w ograniczeniu się do właściwych zadań. Wiedział dobrze, że ma napisać książkę konieczną dla studenta, książkę, która ma go wprowadzić w świat problemów i metod socjologii. Sprawdzianem wartości takiej książki jest wykład, sztuka jasnego, pełnego, przejrzystego sformułowania poglądów i wyników pracy innych ludzi. I taką książkę napisał.

Zamyka się „Socjologię” Szczepańskiego z uczuciem prawdziwej radości, że nareszcie polski student socjologii otrzymał solidną podstawę dla swych studiów.

Aleksander HERTZ

Wspomnienia gen. Zamoyskiej

Wydanie pamiętnika generałowej Zamoyskiej jest wydarzeniem. Nie myślała jego autorka, gdy go pisała w późnych latach życia, że będzie kiedyś ogłoszony. Objęła nim swe życie od urodzenia (za rewolucji listopadowej) do czasu powstania styczniowego; a było to dopiero pierwszych lat 32. Powstał pamiętnik po dalszych 30 latach, a prawie tyleż było przed nią życia gdy urwała pisanie. Pamiętnik to bardzo osobisty. Jakby spowiedź generalna po tysiącach spowiedzi, w których szukała spokoju dla swego przeczulonego sumienia i zaspokojenia nigdy nienasyconego głodu doskonałości. W zwierzeniach tych objawia się niepospolita indywidualność, o głębokim nurcie uczucia, woli potężnej, myśli wciąż czynnej, do zuchwalstwa śmiałej, od dzieciństwa prawie zmagającej się z rzeczywistością ludzkiej doli. Choć zaledwie wspomina Generałowa Mickiewicza, do którego zachowywała pozgonny żal za krzywdzące sądy o jej mężu, poznała go dzieckiem poprzez trzecią część „Dziadów” którą całymi ustępami z pamięci recytował jej brat: i może zapamiętała słowa „Improwizacji”: „Widzisz to moje ognisko — uczucie. Zbieram je ściskam by mocniej pałało. Wbijam w żelazne woli mej okucie jak nabój w burzące działo”. Tak od dzieciństwa cały swój świat uczuć „wbijała w żelazne woli swej okucie”.

Ojciec jej Tytus Działyński, patriota gorący, żołnierz powstania listopadowego, okresami więzień i wygnaniec, intelektualista, erudyta, zbieracz, wydawca zabytków piśmienniczych i źródeł historycznych, był abnegatem w życiu osobistym i życie jego rodziny — choć magnackiej, ale parokrotnie pogrążanej przez wypadki w prawdziwą nędzę, było ubogie i twarde. Surowe było wychowanie matki, Celiny Zamoyskiej; i ona z kolei dzieci nie psuła: oboje uważali, że nie wolno pozwalać sobie ani dzieciom na nic, poza tym co do życia niezbędne — pokąd Kraj w niewoli. A dzieci — zwłaszcza młodsze, Jan i Jadwiga — dodawały do tego z natchnienia Mickiewicza, wiersza „Do Matki Polki”, własne ćwiczenia hartujące na czekające ich może męki śledcze. Było tam klucie szpilkami, szczypanie i biczowanie się pokrzywami. Ascetyczne praktyki szły i w innym kierunku — odmawianie sobie ubożuchnych przysmaków na jałmużnę, odejmowanie sobie po prostu od ust połowy porcji z talerzy na

Jadwiga Zamoyska: Wspomnienia. Opracowała Maria Czapka, Londyn. B. Swiderski, 1961. Str. XXX + 434.

dokarmianie jakichś biednych dzieci. Był w tym już — choć jeszcze bez bodźca religijnego — duch franciszkański.

Życie dzieci nie było wtedy lekkie. Miłość rodzicielska, niewątpliwie w tym wypadku wielka, była z przekonania powściągliwa i nie zawsze chroniła dziecko od krzywdy; a nawet pierwsze guwernantki bywały dokuczliwe i bez serca. „Ile się te kobiety nade mną napastowały”. Dziewczynka zносиła wszelkie przykrości nigdy się nie skarżąc, by nie martwić rodziców. Raz jednak próbowała się tak zagłodzić, by się rozchorować i znaleźć w matczynym pokoju. „Myśl o śmierci była lekarstwem na wszystko”. U dziecka kilkuletniego. Przechodziła w Krasicynie u kochającej ją ciotki, Sapieżyny, kurację na jakieś dolegliwości, zapewne na anemię, wynikłą z niedożywiania; kuracja, niby według Priessnitza, ale ulepszona, była torturą wody i zimna, stosowaną dnie i noce przez rok czy dłużej. Dziewczynka zносиła to bez skargi. Wydobyto schorowaną zanim było za późno by ją ratować. Hartowanie było więc nie byle jakie.

Aniołem stróżem, opiekunką i przyjaciółką od pierwszej chwili na dziesięciolecie stała się dla niej Miss Birt, jej angielska nauczycielka o wielkich zdolnościach wychowawczych, dobroci, wyrozumiałości, a mocnych purytańskich zasadach; uczyła wychowanek nie tylko o wielkich ludziach starożytności i czytać Szekspira, ale wytrwałości, cierpliwości, poświęcenia, opanowania wyobraźni i uczuć, skrupulatnego trzymania się prawdy. Wnosiła obok wysokiego pojęcia obowiązku i odpowiedzialności zmysł ładu i praktycznego działania. Inny był stosunek Angielki do swego państwa i wolnego narodu, aniżeli nasz: rozumiała jednak heroiczny patriotyzm swych gospodarzy polskich i ich dzieci. Tym bardziej rozumiała ich ducha społecznego.

Działyńscy, od skonfiskowanego Kórnika odcieci, dostali w końcu od jej matki majątek w Galicji, Oleszyce i po latach dom własny. Działyński sam bez grosza, rozpoczął od tego, czego nie ryzykowali z obawy o ruinę najmożliwsi panowie w tamtych stronach: od razu zniósł pańszczyznę, oczynszował chłopów — pierwszy w Galicji — i zaopiekował się zdziczałymi w ciemnocie i nędzy; pani Działyńska pomagała jako samarytanka, dzieci za ich przykładem. Oni i tylko oni gdy idzie o zabór austriacki, wypełniali postulat księcia Adama, by szlachta sama, bez względu na ofiarę mienia, zniósła pańszczyznę i stała się przewodniczką wolnego ludu. A gdy nastąpił potem powrót do odzyskanego pałacu w Poznaniu i odrestaurowanego zamku w Kórniku, nie tylko otaczała powracających miłość wolnego od wielu lat chłopca wielkopolskiego, ale zaczynała się na dużą skalę praca organiczna, której duszą był w zaborze pruskim były emisariusz księcia Adama, doktor Karol Marcinkowski. Jest zwierzenie młodziutkiej Działyńskiej, że kochała poza rodziną najbliższą, wujem (uwielbiany Władysław Zamoyski) i Marcinkowskim „biednych, chorych, nieszczęśliwych, a przede wszystkim chłopów za którymi przepadałam i których towarzystwo było dla mnie najmielsze”.

Gdy jako dziecko trzyletnie znalazła z rodzicami przytułek w Wysocku (gdzie zachwycała się pięknoscia prababuni, księżnej Izabelli Czartoryskiej), księżna Wirtemberska postawiła ją na stole i jako że Jadwiga obwołała królową. Nie bardzo rozumiała dlaczego inni obecni domagali się Jagiełły. Ale tytuł królowej nosiła odtąd wśród bawiących się nią wujów. Królestwo jej nie było z tego świata. Żyć chciała dla drugich, dla siebie niczego nie potrzebować i nie wymagać pod żadnym względem. Życia towarzyskiego unikała. Nie wyrosła na pannę na wydaniu i rodzice jej nie „wprowadzali w świat”.

Duchowo nie była kopcuszką. Miała dziewięć lat, gdy w Dreźnie była na przedstawieniu „Hamleta”, a choć ta Wielkopolanka nie umiała po niemiecku, zdało jej się, że rozumie każde słowo bo tekst angielski umiała prawie na pamięć. „Sama się przeraziłam głębookością mego wzruszenia... Coś podobnego doznawałam w galerii dreźnieńskiej...”. „Wszelkiego rodzaju piękność przeszły mi na wskroś”. Jako dziewczynka grywała na cztery ręce sonaty Beethovena. Była w niej „nienasycona chciwość doskonałości i piękna”. Zacztywała się w Salomonowej Księdze Mądrości, w „Żywotach Świętych” Skargi, ale Montaigne’a umiała „prawie na pamięć”, czytała nawet Woltera, pochłaniała Gibbona, Hume’a, Volneya.

Ojciec choć do tych lektur nie zachęcał, miał właściwy jego pokoleniu racjonalistyczny pogląd na świat. I tak się stało, że młodzianka intelektualistka, choć „ćwiczyła się nieustannie w życiu bardzo ascetycznym” i szukała ratunku w wypełnianiu wszystkich nakazów katechizmu „jednocześnie traciła najelementarniejsze zasady wiary”. Po kilku latach wydobyła ją z rozterki w Paryżu pomoc Jezuitów, ks. de Ravnigan wprowadzając ją ostatecznie na drogę poddania się zupełnego prawom Bożym. Upragnioną doskonałość widzi już tylko w Bogu. Odzyskuje równowagę duchową, ale jeszcze się więcej od wszystkiego co światowe oddala. Pragnie przez cnotę czystości do doskonałości się zbliżyć, w dziewictwie widzi uświęcenie duszy, w zamęściu upośledzenie.

Wyszła za ukochanego, uwielbianego wuja, który był dla niej uosobieniem wiary, niezłomnej wierności sprawie, bohaterstwa żołnierskiego i wytrwałej woli. Ale gdy ujrawszy go nagle w Poznaniu (przemyczonego jako lokaj ciotki Sapieżyny) rzuciła mu się uszczęśliwiona na szyję, zapomniała że nie jest już dzieckiem tylko dojrzałą panną, nie rozumiała jego słów: „Szczęście mi się uwiesiło na szyi”. Wszyscy zrozumieli że to jej oświadczyły, on zrozumiał że powinien się oświadczyć, choć miał skrupuły; ona przeżyła „najprzykrzejsze w życiu chwile”. Mówiła matce: „Gdyby mnie prosił żebym dla niego się utopiła lub spaliła, to bym też nie mogła na sobie przemóc, żeby mu odmówić, ale to by się nie znaczyło, że za męża pójdę”. Był „zawsze ten sam urok osoby, wstręt rzeczy”. Nie zdobyła się aby mu odmówić — przez „słabość serca” i nie mogła sobie tej słabości darować. Po ślubie złożyła sama przed ołtarzem ślub

wyrzeczenia się własnej woli, własnego szczęścia, własnego zadowolenia. Po latach pisała: „Nie pojmuję by mi Pan Bóg mógł być zrobić większą łaskę, jak takie mi dając natchnienie”.

Krasiński pisał wtedy do Zamoyskiego po wspólnym z nimi pobycie w Heidelbergu: „Masz przy tobie istotę, której przeznaczaniem co dzień rósć duchowo i dzielniej się rozwijać. Wielka w niej jest postępu moc i w górę ściąga możebność. Myślę, że Opatrzność to ci właśnie zesłała, co najskładniej mogło się z twoim duchem i losami zespolić i ujednić...”.

Może i on jeszcze nie doceniał z jakich duchowych wyżyn ściągało ją małżeństwo w ten świat od którego się odgradzała, w dole i niedole żony i matki, w życie z niespospolitym i umiłowanym człowiekiem, którego cała działalność zmusza do ciągłego wchodzenia między ludzi i dantejskiego „deptania obcych schodów” w służbie sprawy polskiej. Życie takie odrzucała do tąd w myślach. W kilka tygodni, po ślubie pisała jednak do ojca z Paryża: „Gdyby nie to, że oprócz Poznania i Kórnik o mało co mi się dbać chce, to bym powiedziała, że Bóg mnie nad wyraz wielkim szczęściem darzy, a prawdziwie nie moja w tym zasługa”. Pojęła zapewne, że jest mężowi bardzo drogą, że nie jest niewolnicą, ale towarzyszem pracy i walki. Że jest potrzebna ludziom, potrzebna Polsce.

Było nieustannie przez lata rozdwojenie między jej życiem wewnętrznym a życiem „nie swoim”, jakie musiała prowadzić — rozdwojenie takie że „chodząc po ziemi”, nawet na balach i wieczorach „gubiła się w Bogu”. I temu przypisywała podziw męża: „Wszak ty nigdy w świecie nie bywałaś i nikt cię nie uczył jak się w nim zachowywać a taką masz godność, taką szlachetność, takie nad sobą panowanie że tego pojąć nie mogę. Dumny jestem z mojej żony”. Później razem z nim a okresami sama znalazła się w niełatwych sytuacjach młodej żony wyższego oficera na Wschodzie, w najprymitywniejszych warunkach zakwaterowania czy obozowania, wśród tylu i tak różnych ludzi, wielu narodowości i tak trudnych we współżyciu rodaków, wielu oderwana od malutkiego synka, często sama chora i wśród chorych. Tam z własnego natchnienia została sekretarzem męża, z jego natchnienia potem, a śladem Florence Nightingale zorganizowała i zaopatrzyła szpitalik, „a rachunki szpitalika zatrzymała sobie przez wiele lat na pamiątkę najmiłszą”. Gdy zaś mąż powtarzał, że kiedykolwiek jest przy nim, to Pan Bóg przy nich trzeć i że jak wchodzi do pokoju, to mu się zdaje że mu Pana Boga przynosi, że jest jego dobrą gwiazdą, mogła powiedzieć z Faustem: „Stań chwilo, jesteś tak piękna”. Ale nie ma śladu, by czytała Fausta i w ogóle po niemiecku. Więc tylko z pokorą ducha wyznawała, że zgodnie z przepowiednią Krasińskiego rozwijało się pod wpływem męża wszystko co było w niej lepsze. A głód intelektualny nasyciała ucząc się Wschodu, ucząc się języka perskiego i tureckiego. Za powstania styczniowego nauczyła się w 10 dni po szwedzku wobec zamie-

także z francuskiego — pani Dacier) „psuł arcydzieła już raz przez innych zepsute”. Miejmy nadzieję, że czytelnik przekładu Wieniewskiego sam sięgnie do obiektywnej i wyczerpującej relacji kompetentnego znawcy, jakim był bezsprzecznie H. Zathy, gdyż wobec ukazania się nowego przekładu stała się ona ponownie aktualna. Odwaga i decyzja Wieniewskiego, że po tak długiej nieobecności „Iliady” w Polsce, zdobył się na dojrzały i odpowiedzialny przekład jest — pierwszą jego zasługą. Następną zasługą jest, że nie uległ pokusie poprawiania, aktualizowania czy nawet „upiększania” Homera. Nie tu miejsce o tym mówić, ale warto przypomnieć, że od jakich trzech wieków w każdej prawie z europejskich literatur zjawiają się także pokusy o takie próby. Świadom swego zadania nowy tłumacz polski trzyma się ściśle tekstu, zachowując wszakże rozmach poetycki za pomocą heksametru wcale nie monotonnego.

Z konieczności muszę się przyznać do własnej metody czytania przekładów Homera. Wspominam o tym, gdyż chciałbym, aby moje uznanie dla Wieniewskiego nie brzmiało zdawkowo, lecz aby czytelnik nabrał przekonania, że jest uzasadnione. Moja „metoda” polega na tym, że ktoś z bliskich czyta mi przekład, a ja bez przerwy śledzę tekst oryginału. Dodam jeszcze, że podczas lektury zarówno z miłości do Homera jak z zaufania do tłumacza, notowałem szczegóły, które, jak mi się zdawało, można by zakwestionować bądź też wytknąć.

Wieniewski tłumaczy precyzyjnie i można by prawie obawiać się, że przez przesunięcie punktu ciężkości w kierunku precyzji, ośmieli albo nawet wyzwie recenzenta do zbyt dokładnego sprawdzania, czyli po prostu do drobiazgowości. Lecz w ten sposób recenzent, a za nim może czytelnik mógłby przeoczyć kardynalne zalety przekładu, liczne szczęśliwe akordy polskie do Homera,

po których wstępując Norwid szuka po omacku. Myśl zasadniczą tych poszukiwań, już przedtem podaną na posiedzeniu Towarzystwa Filozoficznego w Paryżu, wypowiada z mozołem, z nawrotami, powtarzając się i prawie jękając. I dlatego tak cenna może jest jej zawartość. Brzmi ona w tekście następująco: „Żadna epoka, o ile co ją stanowi, nigdy nie ginie. Żaden wiek w tym co go stanowi, osobiście nigdy nie zginie. I nasze poczucia obecności i przytomności, z tego niezaginienia wieczystego pochodzą.

Oczywiście nie chodzi mu o etnografię właściwą, opisową ni systematyczną, ani tym mniej o kolekcję malowniczych ciekawostek, tylko o to, do czego mogą dać okazję widzającemu, czyli współżyjącemu, żyjące jeszcze iskry i powiewy archaiczne. Archeolog duchowy kultur staroafrykańskich, Huge Frobenius, ostatni wielki Niemiec na horyzoncie naszego pokolenia, o pokroju Kepplera, Kanta, Goethego czy Schillera, wyraził to: „Styl przeżyje wyobraźność, bo wszelka kultura jest tym jednym głównie: przejęciem się”. Nie o etnografię zatem chodzi lecz o platońskie dotknięcie archetypu czyli wzoru wychowawczego (paideuma), zachowanego szczerze na dnie podświadomości niektórych grup ludowych. — Podobną wskazówkę dostrzegamy u Norwida w urywku „O fabulizmie Darwina”, w wyrażeniu „Delficka bajka Darwina” („Delficka” bo ziszczająca napomnienie boga z Delf do samopoznania ludzkości).

rozmach poetycki, który porywa, i który ostatecznie nakazuje czytelnikowi nie troszczyć się zbytnio o oryginał. Słowem odbiorca przekładu mógłby zacieśnić się, uganiać się za szczegółnikami, a mniej troszczyć się o całość. Inaczej mówiąc, powyższa meta-toda okaże się podejrzana, co najmniej niekompletna w sensie oceny tekstu przydatnej dla czytelnika. I rzeczywiście warto by przypomnieć, że istnieje jeszcze inna, wprost przeciwna metoda. Ta mianowicie, którą zalecają nowsi znawcy elżbietańskiej literatury angielskiej, w szczególności przekładu Chapmana. Jeden z nich doradza: „czytajcie prędko”, wyraża się nawet jeszcze radykalniej: „read rapidly”. Bo gdy będziecie czytać powoli, będziecie bez przerwy natykać się na wyrażenie niezrozumiałe, nieco trudnego języka. Rzecz w tym, że język Chapmana chociaż nie wprowadza tylu inowacji co Szekspir, następuje różnie trudności także z powodu oryginalnego wysnuwania i dodawania różnych esencjonalnych sentencji z samego Homera. Lecz przekład Chapmana należy do tych koncepcji, które otwierają w jednym rozmachu wizję żywiołu u Homera, podczas gdy Wieniewski daje dostęp do bogactwa arcyzmu zarówno przedhomeryckiego, który zapewne odziedziczył Homer, jak i tego, który sam Homer rozwinął, szczególnie w dziedzinie heksametru. Wszelako jeden z nowszych krytyków Chapmana, Douglas Busch, wyraził się, że gdyby Homer wrócił z Elysjum, aby przeczytać swe teksty po angielsku, odnalazłby w Chapmanie swego najprawdziwszego syna, człowieka karmionego szpikiem lwa. Dodajmy że od czasów poety Keatsa głośna recytacja tekstów Chapmana, w zasadzie makroskopijna, ułatwia ogarnianie całości, porywając czytelnika żywiołem muzycznym języka potężności, bujnego, lecz bądź co bądź zbyt archaicznego dla dzisiejszych czytelników, podczas gdy Wieniewski wybrał sobie inne zadanie językowe: zupełnej dostępności dla dzisiejszego czytelnika, z lekką tylko archaizacją, wprost konieczną dla tematów wojennych, gdyż wątpić należy czy dzisiejszy język wojenny nadawałby się dla opisów bitew w „Iliadzie”.

Można by jeszcze zauważyć, że Chapman zjawiał się na początku pewnego okresu literackiego podniecając ambicję tego okresu poprzez czeladnictwo zresztą zupełnie samodzielne w szkole Homera. Podczas gdy Wieniewski finalizuje pewien okres, dając jak gdyby *résumé* poetyckich doświadczeń w Polsce z Homerem i w ogóle doświadczenia w dziedzinie przekładów. Wydaje się, że zasługa Wieniewskiego polega na skromnym samoograniczeniu się, przy ukryciu niezmiernie pracy dla osiągnięcia swego zamiaru, a zapewne także w odsunięciu licznych pokus, którym ulegał Chapman, a do ulegania którym skłania porywające natchnienie samego Homera. (Kto by miał czas i chciał się o tym przekonać, wystarczy że porówna rozmowę Hektora z Andromachą w wersji Chapmana, — VI księga przekładu Chapmana w nowym wydaniu, od wiersza 480-505, z odnośnym ustępem przełożonym przez Wieniewskiego na str. 100).

Tak się składa, że w stosunku do Wieniewskiego wypada powtórzyć uznanie H. Zathey dla Siemieńskiego jako tłumacza „Odysei”, że „wykonał najszczytniejsze zadanie i posłannictwo z taką skromnością, jak gdyby nie robił nic nadzwyczajnego ani wielkiego, jak gdyby był prostym robotnikiem, który znosi cegielki”. Pod takim opancerzeniem dostrzega się u Wieniewskiego to samo, co autor rozprawki „Homer w Polsce” zauważył u Siemieńskiego: „Cechuje go ateńska wykwintność i spartańska siła, polska miłość i niepolaska cierpliwość”.

Dlatego po ponownym przeglądnięciu, notatki z mego zeszytu „cenzorskiego” na wiele się nie przydadzą, przynajmniej w danym momencie. Jeśli jakieś krytyki języka Wieniewskiego byłyby na miejscu, to tylko takie, gdzie wymaga tego styl, głębsze znaczenie wyrażen Homera i duch epoki, którą zamierzył przedstawić. Toteż poniższa uwaga ma zaledwie symboliczne znaczenie. Należy pochwalić tłumacza, że w przemowie Andromachy na str. 99. przełożył homeryckie „sebasato” (z wiersza 417 księgi VI.) „wzdragał się przed tym w swej duszy” chodzi bowiem o pewne uznanie, że Achilles, mimo okrutnej konieczności wojny, której projekcję rzucił w epokę mykeńsko-trojańską postąpił zbrojnie. Zabił jej ojca Etionia po zdobyciu miasta, ale wzdragał się zdrzeć zeń zbroję, natomiast spalił jego ciało na stosie, co także jest wyrazem religijnego lęku. Natomiast można by wytknąć lekko tłumaczowi, że to samo słowo użyte w opowiadaniu Glaukosa na str. 94 przekładu (167 wiersz oryginału) przetłumaczył: „bo w duszy się bał to uczynić”, w szczególności, że nie zabił, mimo podmowy swej żony Belerofonta. Nie chodzi mi tu o małostkowość filologiczną, tylko że słowo „bał się”, nie oddaje lęku religijnego ani moralnego, na który wskazuje słowo „sebasato” w oryginale i stąd motywy lęku Proitosa są niezrozumiałe. Wypada jeszcze dodać, że innych tego rodzaju błędów u Wieniewskiego nie spotkałem. Stąd wszelkie wymądrzenie się w kierunku pedantycznej krytyki byłoby nieuzasadnione. A przecież! Przekład Wieniewskiego doczeka się niewątpliwie nowych wydań. Można go uważać za przekład naszego pokolenia. Kto wie przeto czy w pewnym sensie nie byłoby wskazane, aby autor przekładu usiadł na cenzurowanym. Nie aby dawał sobie narzucać czyjś smak literacki, ani też, broń Boże, był uganiał się za nowszą techniką poetycką. A tak niestety doradza francuskim tłumaczom, dobry zresztą, a nawet subtelny, znawca „Odysei” Gabriel Germain w ocenie takich przekładów, jak Bérarda.

Rzecz w tym, że Homer czaruje, przeto zobowiązuje i niełatwo się odeń uwolnić. Zapewne dobrze by było, gdyby ktoś kompetentny zadał sobie trudu i w formie rad i pomysłów wymienił nasuwające się życzenia, oczywiście nieobowiązujące, i w publikacji bardziej specjalnej, podobnie jak to uczynił w swoim czasie H. Zathey, krytykując Siemieńskiego w skromnych uwagach wydrukowanych *petitem*. Można też wyobrazić sobie, że samo wydawnictwo zorganizowałoby odczytywanie głośne części

przekładu dla większych lub mniejszych audytoriów. Może nawet sam autor skorzystałby, gdyby słyszał swój przekład w tego rodzaju recytacjach na głos.

Po tym wszystkim można spodziewać się, że przekład „Iliady” Wieniewskiego zajmie w naszej literaturze miejsce analogiczne do tego, jaki miał przekład Vossa z r. 1793 w literaturze niemieckiej. O przekładach Vossa wyraził się tenże H. Zathey, że gdyby ktoś tak przetłumaczył Biblię, kościół uznałby ją za autentyczną, bo nie uronił ani jednego wiersza, ani jednej myśli, ani jednego słowa. A jednak nie bez słuszności zarzucano Vossowi, że z nadmiernej wierności stał się niewierny, bo gorliwie trzymając się heksametru, doprowadził do przesadnego patosu, którego nie posiada oryginał. Bowiem ton Homera jest przede wszystkim swobodny, jak gdyby od niechcenia, a nie pozbawiony lekkiego, nieraz ledwie uchwytnego, humoru. Ponadto Homer jest przyjacielski, niekiedy ojcowski. Natomiast Voss jest surowy, jak gdyby kaznodziejski, krótko mówiąc, zbyt „klasyczny”, zatem pseudoklasyczny, w doborze wyrażen nieraz nadto przesunięty w kierunku ściśle literackim, brak mu zatem tej świeżości i bezpośredniości, która jest właściwa Homerowi, także przez wielokrotne kontakty z narzeczami. Więc nie przesadzę chyba, jeśli wskażę, że właśnie przekład Wieniewskiego posiada świeżość i niewymuszoną i to zarówno dzięki możliwościom jak też dzięki ograniczeniom języka polskiego szczególnie w dziedzinie akcentu. Czujny tłumacz-artysta potrafi wykorzystać dla swego celu zarówno silne jak i słabsze strony swego kruszcu językowego. Bez skandowania, tym mniej bez odrębywania heksametrów, w rytmach Wieniewskiego opowiadanie płynie warto a niewymuszenie — to w górnych porywach, to smętnie, to w fechtunku dramatycznych dialogów — jak gdyby statek w pogodne lato przy lekkim wietrze poruszał się wzdłuż brzegów śródziemnomorskich homeryckiego krajobrazu.

◆
Szczere uznanie winniśmy wydawnictwu, zarówno za zewnętrzną szatę, urozmaiconą ilustracjami Tadeusza Terleckiego, które dyskretnie akompaniują przekładowi za pomocą autentycznych motywów greckich, a czasem nawet wprowadzają w sam tekst, jak to czyni winieta u wstępu do księgi VI. Niemniej ważne i to, że wydawnictwo nie skąpiło odstępów między wierszami i między epizodami, bo uwydatniają one odrębność ich i plastykę, a przez to w pewien sposób kierują lekturą.

Pomyłek ważniejszych jest w tekście niewiele. Należy jednak wytknąć że na str. 136 księgi IX, (184 wiersz oryginału) wydrukowano błędnie *Atrydy* zamiast *Ajakidy*, tj. wnuka Ajakosa, bo mowa o Achillesie.

Pod pokrywką popularnego powiedzenia, że przekład nigdy nie może dorównać oryginałowi, kryje się pewne niebezpieczeństwo rezygnacji z kontaktu i z obcowania z arcydziełami, szcze-

gólnie z dziełami odległych czasów. Lecz w tym rzecz, że od kiedy zbudziło się zamiłowanie a nawet miłość dla starożytności, dążenie w kierunku nowych odpowiedzialnych przekładów nie ustaje, co więcej, budzi się ciągle na nowo i to na przekór brutalnym alternatywom i aktualnościom naszych czasów, jakżeż przemijalnym. Ocena nowego przekładu wymaga każdorazowo głębokiego zastanowienia się nad wartością tak szczerego, rzetelnego i czystego dzieła, jakim jest „Iliada”, przez które wieki, a nawet tysiąclecia przemawiają do nas po ludzku.

Niedawno byłem przypadkowym świadkiem rozmowy dwóch znajomych rodaków. Jeden, przybyły z kraju, już niemłody, z żywym rozczarowaniem mówił o emigracji, że nie odgrywa tej roli politycznej, jakiej od niej oczekiwano. Drugi, zupełnie młody, który ukończył studia na uchodźstwie, pocieszał, że należy być cierpliwym, bo na razie takie osiągnięcia jak przekład „Iliady” wraz z nadzieją na dalsze podobne, zapowiadają głębokie — jedyne ważne na daleką metę, gdyż wynikające z trwałego wkładu do kultury — polityczne znaczenie uchodźstwa.

Stanisław VINCENZ

Raptularz poetycki Jastruna

Wielki, bez mała 500-stronicowy zbiór Mieczysława Jastruna „Między słowem a milczeniem” (1) jest jednocześnie książką głęboko poufną i książką o szerszym znaczeniu. Zespala się w niej osobiste wyznanie z wysiłkiem badania i uogólniania. Jest to dziennik doświadczeń laboratoryjnych i agenda propozycji mierzących w przyszłość.

Zasadniczo książka składa się z dwóch pokładów: z tłumaczeń poetyckich i esejów o poezji. Przeplatają się one tutaj tak jak się przeplótły w przeżyciu poety. Kreślą drogi, jakimi szły jego doznania i znaczą postoje refleksji nad tymi doznaniem.

Skala przygód i prób Jastruna jako tłumacza jest bardzo rozległa: obejmuje trzy języki (francuski, rosyjski, niemiecki), 15 poetów, bez mała 60 utworów. Jest wśród nich „Minnesänger” z XII w. Walter von der Vogelweide, są romantycy, jak Hölderlin, symboliści, jak Baudelaire, Rimbaud, Mallarmé, Valéry, Rilke (reprezentowany blisko dwoma dziesiątkami przekładów,

(1) Mieczysław Jastrun: *Między słowem a milczeniem*. Państwowy Instytut Wydawniczy. Warszawa 1960. Stron 486.

m.in. czterema „Sonetami do Orfeusza” i pierwszą „Elegią diuinezyjską”), są wreszcie modernisci rozmaitych wyznań i obrządków, jak Apollinaire, Pasternak, Elward, Jouve; nie brakuje ostatniego laureta Nobla, St. John Perse’a. Uzupełnia tę skalę jeden przekład z włoskiego (Ungaretti) i jeden z hiszpańskiego (Alberti). Jastrun zna również poezję anglosaską, choć jej nie tłumaczy. Kilka razy przytwarzając lub polemicznie powołuje się np. na Eliota.

Przekłady jak wszystkie przekłady poetyckie są różnej jakości, są lepszymi lub gorszymi przybliżeniami. Na ogół szczególnie omijają dwie rasy, Charybdę i Scyllę: unikają „jastrunizowania”, przestrajania utworu tłumaczonego na własną nutę, jak i sprowadzania go do bezdusznej wprawki rzemieślniczej. Przeciwnie, wszystkie przekładane utwory są dla Jastruna w jakiś sposób, z jakiejś przyczyny istotne i ważne.

Osobliwością, oryginalnością książki jest to, że zamieszczone w niej przekłady stowarzyszą się ze szkicami o rozmaitym charakterze. Są to czasem tylko zwięzłe noty objaśniające, czasem artykuły informacyjne, czasem, jak „Lekcja Rilkego”, warsztatowe pokazy tłumacza, czasem eseje pogłębione, które aspirują do własnego spojrzenia na indywidualności czy na prądy poetyckie (np. surrealizm). Z tym zakresem łączą się organicznie ogólne eseje o teorii i filozofii poezji. Stanowią one bodaj najciekawszą, najcenniejszą część składową książki.

W świetle tych szkiców Jastrun ukazuje się jako jeden z najbardziej świadomych, kontrolujących siebie, uczulonych i czujących poetów współczesności polskiej. Jest on przy tym daleki od sekciarstwa i dogmatyzmu, które znamionują inną, pod tym względem podobną osobowość poetycką — Przybosa (w dwóch miejscach „Między słowem a milczeniem” wyraźnie odznacza się od niego). Jastrun cierpi niekiedy na inną przypadłość: na nadmierne wysubtelnienie, rozpylenie, rozchwywanie myśli; zdarza mu się gubić ogniwa łączące wywód rozumowy. To sprawia że jeden i drugi szkic jest trochę pytyjski, trudno uchwytne w swojej treści. Na ogół jednak cechuje je rzeczowość, klarowność, precyzja.

Poprzez teoretyczną część książki Jastruna prześwieca się kilka znamiennych motywów przewodnich.

Najczęściej wraca przeświadczenie, że dzisiejsza poezja przebiega ewolucję podobną do ewolucji malarstwa. Wprzód odeszła od podmiotu, od lirycznego „ja”, spowiadającego się ze swoich uczuć i zwróciła się do przedmiotu, do obrazu. Teraz, zdaniem Jastruna, zmierza ona od przedmiotowości do filozoficznej abstrakcji, od obrazowego przedstawiania do intelektualizmu.

Sam Jastrun ogranicza to rzutowanie w przyszłość stwierdzając, że poezji nie podobna wprowadzić w dokładnie tę samą koleinę, którą idzie muzyka, którą zaczęło iść malarstwo. „Bo, mimo wszystko, — są to jego słowa — nie ma wielkiej poezji bez wielkości znaczenia, niezależnie od środków, jakimi jest wyrażone”. „Poezja nie może być jako forma — pisze gdzie indziej

— równie samoistna (jak malarstwo), gdyż jest z istoty swojej nie tylko formą". Jeśli tak, to słusniejsze, ciekawsze i może płodniejsze byłoby szukanie różnic a nie podobieństw (okazuje się tylko cząstkowych lub pozornych) między współczesną poezją a malarstwem bezprzedmiotowym.

Z tą sprawą łączy się inna — dystansu w poezji, dystansu między poetą a jego dziełem. Jastrun deklaruje się jako przeciwnik poezji „łatwo wzruszeniowej”, poezji będącej wylewem uczuć. Przecistawia jej poezję anty-emocjonalną, anty-sentymentalną, opanowaną, wstydliwą, powściągliwą. „Kierunek poezji w naszym wieku — twierdzi — nadają nie tyle uczucia osobiste, ile świadomość wielkiej jedności istnienia”. Ale jednocześnie wiele razy i bardzo wymownie sprzeciwia się „depersonalizacji”, zacieraniu ludzkiego, jednostkowego, indywidualnego piętna poezji. „Sztuka odczłowieczona byłaby absurdem. Nie mniejszym absurdem byłaby sztuka-filozofia, sztuka-polityka itd.”.

Równie często jak nacisk kładziony na kontrolę intelektualną powtarza się u Jastruna pojęcie i termin: „wiersz nagi”. Jest to wiersz uwolniony od tradycyjnych rygorów metrycznych i oswobodzony od „grzechotki rymu”. Jest to nie tylko wiersz ametryczny i bezrymowy, ale także obywający się bez obrazu, bez metafory, mogący się obywać nawet bez logiki znaczeniowej. Co rozstrzyga o tym, że jest to jeszcze wiersz? „Życie wiersza jest związane najściślej ze znaczeniami. To ostrość znaczenia formuje rytm jako czynnik nadrzędny w stosunku do zasady metrycznej, prowadzi wiersz i zarazem wychodzi poza jego granice”.

Wobec tej skrajnej i spornej koncepcji Jastrun zajmuje dosyć sprzeczne stanowisko. Raz utrzymuje, że „wiersz nagi” jest „zupełnie nową jakością”, że od wiersza tradycyjnego dzieli go taki rozstęp, jaki jest między muzyką dawną a muzyką dodekafoniczną. Innym razem stwierdza, że sam napisał więcej wierszy metrycznych niż niemetrycznych, że ma wiele zastrzeżeń wobec nowej poetyki i sprowadza jej znaczenie do tego, że wyzwala ona wiersz z nadmiernych, mechanicznych rygorów, czyni go bardziej giętkim i podatnym.

Tu wchodzi postulat „formy nieobecnej”, „przezroczystej”, niewidocznej. Jastrun jest urzeczony „procesem przechodzenia słowa w milczenie i rodzenia się słowa z milczenia, które stoi u początku wiersza”. Ta sprawa wraca ciągle, brzmi w tytule zbioru ale nigdzie nie jest rozważona w całej rozciągłości i wyjaśniona do końca. Jastrun cofa się przed nią jak przed ostateczną tajemnicą.

Żądanie formy nieobecnej sprzecza się trochę z atakiem na „metody”, grupy, szkoły, kaplice, sekty poetyckie. Jastrun słusznie stwierdza, że są one schronieniem osobowości słabych, oznaczają chodzenie gromadą, ograniczenie indywidualnego ryzyka i indywidualnej odpowiedzialności. Słusznie żąda stylu własnego, tworzonego poza i ponad „uniwersalną metodą” cza-

su, wychodzącego przeciw konwencji epoki. Zachodzi pytanie: czy taki styl może być niewidoczny?

Już tylko rejestrującą warto wymienić kilka innych zagadnień, które Jastrun roztrząsa: dążenie poezji współczesnej do ujęć syntetycznych, jej cel praktyczny, który zawiera się w formule „poezja pomocna, poezja ocalająca”, położenie akcentu na jej samotność. Zdaniem Jastruna „samotność należy do istoty poezji”, „nie ma prawdziwych poetów nie samotnych”. Przewiduje, że „samotność poezji będzie się z biegiem lat pogłębiała, lecz nie należy przewidywać jej zgonu”. Wyobrażenie poezji jako nieustannego odkrywania, nazywania jeszcze nienazwanego, samotniczego zdobywania nowych światów prowadzi go do zajęcia stanowiska w ciernistej sprawie niezrozumiałości i niekomunikatywności: „Żądanie, aby poezja była od razu dla wszystkich zrozumiała jest jednym z najbardziej absurdalnych żądań”.

Z reguły Jastrun jest rzadko kiedy tak apodyktyczny. Jego książka jest pisana jakby *staccato*. Co bardziej skrajnej formule towarzyszy zastrzeżenie, stanowczym twierdzeniom przecistawiają się wątpliwości. Przez to książka jest sympatyczna i pobudzająca. Jastrun ma swój system wierzeń, wyklada go nieraz z żarliwą wymownością, ale wobec czytelnika występuje tylko z propozycjami. Wie, że w poezji, w twórczości artystycznej nie ma dekretoowania, że jest ona nieobliczalna w swoich zrywach i katastrofach, że nie można z pewnością przewidzieć jej znaleziisk i jej pobjążeń.

„Między słowem a milczeniem” ma jeszcze jedną stronę, jakby jeszcze jedno lustro. Tworzy ją spora, osobno zebrana grupa szkiców o poezji polskiej. Niektóre z nich, jak „Wstęp” do tego dialogu, są trochę profesjonalne i elementarne (czuć w nich polonistę i nauczyciela). Ale nawet w tym wstępie znajdzie się niespodziane zestawienie ostatnich poezji, liryków łożańskich Mickiewicza z wierszami Hölderlina, pisanymi w okresie obłędu. Jastrun uważa je za najbliższe nowoczesnemu odczuwaniu, choć gdzieś indziej stwierdza, że „Mickiewicz jest nieporównywalny, jak nieporównywalny jest Szekspir”. Niemniej uderzające jest wpisanie Pawlikowskiej, „Safony słowiańskiej”, w tę tradycję naszej poezji, która „z pominięciem romantyków prowadziła od Kochanowskiego do Norwida, Staffa i niektórych kreacji Tuwima”. To Jastrunowi nie przeszkadza ostro osądzić „Kwiatów polskich” i „wysilonego entuzjazmu” wierszy Tuwima z końcowego okresu. Odważnie stwierdza, że były one pisane w „latach upadku literatury polskiej, zamętu i spaczonych pojęć”.

W olbrzymim, przeszło 50-stronicowym studium rozprawia się Jastrun ze Słowackim. Sprowadza całą jego twórczość do mitotwórstwa, tworzenia legend o sobie i Polsce, co jest formułą chyba zbyt wąską. Poddaje krytyce rozluźnienie formy. W wielkim procesie odburzowania ocalają się nieledwie tylko liryki doby mistycznej. „Ten kto szuka autentycznego przeżycia w

poezji, musi odrzucić mamiące zasłony Słowackiego. Tak zwane mistrzostwo formy, giętkość, barwność oktawy nikomu dziś nie mogą imponować".

Tym samym torem idąc odrzuca Jastrun Młodą Polskę jako formację literacką, wywodzącą się z poetyki Słowackiego, naśladowującą ją w tym co „najłatwiejsze do naśladowania, w rozlewności i barwności”. Za jedyną jej zasługę uważa to, że była kolebką Staffa (którego akceptuje bez zastrzeżeń w ostatnich tomach i Leśmiana).

Równie wymowne są wielkie afirmacje poetyckie. Sprowadzają się one do dwóch nazwisk: Norwida i Leśmiana.

Leśmian jest dla Jastruna „jednym z największych poetów polskich”, równym Mickiewiczowi „mistrzem szczegółu”, którego „pamięć, ścisłość obserwacji dochodzi do granic jasnowidzenia”, „najbardziej ostatecznym poetą w całej poezji polskiej”. Ustawienie go w perspektywie egzystencjalistycznej ma wartość prawdziwego odkrycia: „Świat i zaświat Leśmiana — pisze Jastrun — jest piekłem ustawicznego stwarzania się i znikania w męce bytu i męce niebytu”. Gdzie indziej stwierdza trafnie, że autor „Łąki” i „Dziejby leśnej” jest „w istocie zamknięciem kierunku barokowego w poezji polskiej”.

Natomiast Norwid — „poeta-myśliciel jedyny u nas i jeden z nielicznych na świecie” — stanowi otwarcie najszerszej perspektywy. „Jest pisarzem wyjątkowo żywym dla naszej współczesności. Poeci polscy nowych pokoleń, jeśli po kogo sięgają to właśnie po Norwida. Bodaż on jeden ma dla nich urok nowości, on jeden jest żywą tradycją. Jego forma dotąd nie zastygła, koresponduje z nowoczesną sztuką poetycką”. Ten pogląd rozwija Jastrun w dwóch szkicach, które stopniem zagęszczenia dają się porównać tylko z tym, co o Norwidzie pisał Borowy.

Norwid unosi się nad całą książką i przenika ją na wskroś, jest w niej wszechobecny. Można by powiedzieć, że stanowi jej wszystkie punkty wyjścia i wszystkie punkty dojścia. Poeta-krytyk jest aż niekrytyczny wobec przedmiotu swego kultu; posuwa się do twierdzenia: „nie gorszy nas dyskursywny i dydaktyczny tok wiersza Norwida”.

Jastrun wpisuje go w kontekst współczesnej poezji europejskiej. Raz po raz stwierdza jego prekursorstwo wobec zjawisk i dążeń dzisiejszych, czy wtedy gdy dowodzi, że poezja Norwida „zdążyła ku ubezwzględniowaniu, ku abstrakcji filozoficznej” i czy wtedy gdy ukazuje w nim inicjatora nowych form wierszowych zapoznanego nie tylko przez współczesnych, ale i przez „późnych wnuków”, czy wtedy gdy pisze, że norwidowska „teoria przemilczeń i milczenia wyprzedziła pojmowanie sztuki poetyckiej w naszych czasach”.

Pośmiertny odbiór Norwida trwa u nas przeszło pół wieku, na progu dwudziestolecia drugiej niepodległości Horzycza nazwał go „wieszczem nowej Polski”, wielu poetów, jak Piechal czy Flukowski, świadomie nawiązywało do jego poezji, ale nie było dotąd książki w tym stopniu norwidowskiej jak „Między słowem

i milczeniem”. „Poezja polska — pisze Jastrun — nie zauważywszy Norwida poszła pełną drogą obok wielkiego traktu poezji europejskiej”. Usiłuje on ją nawrócić na ten trakt. Z pomocą Norwida usiłuje myśleć i czuć i widzieć w kategoriach europejskich i globalnych.

Niektóre propozycje Jastruna mogą nie wejść w życie, jedne jego prognozy mogą się okazać słuszne, inne niesłuszne, ale ta książka o norwidowskim tytule jest i pozostanie trwałym dokumentem wpływu Norwida, świadectwem jego przyswojenia, wpisania go w obręb współczesnej poezji obcej i naszej. Pod tym względem można by ją zestawić z książką Ignacego Matuszewskiego „Słowacki i nowa sztuka” (1902), książką programową dla epoki Młodej Polski. Zbiór Jastruna prawie mógłby się nazywać — „Norwid i nowa sztuka”.

To z tej książki-raptularza, wprowadzającej w poufność obcowania z poezją, w tajniki warsztatu czyni również książkę-manifest. To poza jej prywatnością, osobistością otwiera rozległe, pobudzające widoki.

Tymon TERLECKI

Nadesłane nowości wydawnicze

BRZEKOWSKI (Jan). *Dwudziestu czterech kochanków Perdity Loost*. Powieść. Str. 225 i 3 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1961).

WYTRWAŁ (Joseph A.). *America's Polish Heritage. A Social History of the Poles in America*. Str. 350. (Nakład Autora, Detroit, Endurance Press, 1961).

AUBREY (Henry G.). *Coexistence: Economic Challenge and Response*. (With the assistance of Joel Darmstadter and a Statement by the NPA Special Project Committee on the Economics of Competitive Coexistence. Str. XIV i 324; noty i indeks. (Wyd. National Planning Association, Washington, D.C., 1961, cena dol. 5.-).

ZALESKI (Wojciech). *Tysiąc lat naszej wspólnoty*. Społeczne i gospodarcze dzieje Narodu Polskiego w zarysie. Str. 446. (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”. Tom VIII serii Białej (premiowej) „Biblioteki Polskiej”, Londyn, marzec 1961).

OTWINOWSKA (Jadwiga). *Ich młode lata*. Str. 216. (Staraniem Komitetu Uczczenia Pamięci Józefa Piłsudskiego w 25-lecie Jego zgonu. Nakł. „Gryf” Publications, Ltd., Londyn, 1961, cena 9-).

KOSTRZEWSKI (Józef, dr. prof. uniwersytecki). *Na wschód od Odry i Nysy Łużyckiej jest Polska*. Z przedmową i nakładem Zbigniewa Poray-Lukaczynskiego. (Londyn, 1961, cena 4/6).

- BUCZEWSKI (Zenon, podharc-mistrz). *Skauting w świecie*. Str. 22 i XII. (Powielacz, Kitimat, Bryt. Kolumbia, Kanada, 1961).
- CHOJNACKI (W.), KOWALIK (J.). *Bibliografia niemieckich bibliografii dotyczących Polski 1900-1958*. Str. 249 i 3 nlb. (Instytut Zachodni, Poznań, 1961, cena 50 zł.).
- JURČIĆ (Józef). *Jerzy Kozjak jan-czar słoweński*. Powieść historycz-na z XV wieku. (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, Londyn, listopad 1960).
- JORDAN (Zbigniew). *O filozofii analitycznej*. Str. 136-152. (Nad-bitka z czasopisma „Ruch Filozo-ficzny, Tom XX, nr 3).
- ZAJĄC (J.L.). *Depth-perception and Astigmatism*. Str. 133-134. (Nadbitka z „The American Jour-nal of Psychology, March 1961, Vol. 74, Nr 1).
- KOSKO (Maria). *L'auberge de Jérusalem à Dantzig*. Str. 81-98. (Nadbitka z „Fabula 4”).
- JANTA (Alexander). *Early XIX Century American-Polish Music*. Str. 32. (Odbitka z „The Polish Review”, Vol. VI, nr 1-2, 1961 — kwartalnik wydawany przez The Polish Institute of Arts and Sciences in America).
- TARNAWSKYJ (Jurij). *Popołudni w Pokipsi*. Str. 48. (Wydawnictwo Njujorkskoi Hrupy, New York 1960).
- Nowi Poezji 1961*, nr 3 (14 auto-rów). Str. 64. (Wydawnictwo Njujorkskoi Hrupy, New York, 1961).
- KYLYNA (Patrycja). *Trahedia Dźmeliw*. Poezii. Str. 30. (Wy-dawnictwo Njujorkskoi Hrupy, New York, 1961).
- ANDRIJEWSKA (Emma). *Ryba i rozmiar*. Str. 104. (Wydawnictwo Njujorkskoi Hrupy, New York, 1961).
- HORDYNŚKYJ (Światosław). *Poe-ty Zachodu*. 60 perekladiw. Str. 136. (Wyd. Literaturno-Mis-teckij Klub, New York, 1961).
- TYS (Jurij). *Na świtaniku*. Powist z zytia Marka Wowczka. Str. 404. (Wyd. Mykoły Denysiuka, Chicago, 1961).
- LAHODYŃSKA (Hala). *Do soń-cia — do woli*. Mandriwka ju-nosty. Str. 256. (Wyd. Mykoły Denysiuka, Chicago, 1960).
- PAFANOWYCZ (Sofia). *Wirnyj przyjatel*. Opowiadania z zytia domasznoho kota. Str. 208. (Wyd. Mykoły Denysiuka, Chicago, 1961).
- KNYSZ (Zynowij). *Za czużu sprawy*. Przyhody w bolszewyć-komu poloni i w polskij armii he-nerała Andersa. Wyd. II. Str. 368 (Wyd. Stribna Surma, Toronto, 1961).
- Osteuropa-Institut an der Freien U-niversität Berlin. Tätigkeitsbericht 1951-1961*. Str. 52. Berlin, 1961).
- RICHTOFEEN (von Bolko, prof. dr). *Deutschland und Polen*, Vor-trag. Str. 12. (Nadbitka z „Deut-sche Corpszeitung”, nr 3, czer-wiec 1961).
- RICHTHOFEN (von Bolko prof. dr). *Zur Schuldfrage in den Beziehungen zwischen Deut-schland und Polen*. Str. 8. (Nad-bitka z „Schleisischer Heimatka-lender”, 1962).
- ZAJĄC (Józef L.). *Z problematy-ki widzenia przestrzennego*. Str. 19-41. (Nadbitka z „Przeglądu Psychologicznego”, nr 4, 1960, Wrocław).
- SOLSKI (Wacław). *Czarna spo-wiedź*. Opowiadania. Str. 297. Tom XIV Londyńskiej Biblioteki Literackiej. (Wyd. B. Świderski, Londyn 1961).
- CZEREŚNIEWSKI (Wawrzyniec). *Wiersze 1928-1956*. Str. 244. Tom X Londyńskiej Biblioteki Literackiej (Wyd. B. Świderski, Londyn 1961).

Listy do Redakcji

Toronto, 16.6.1961

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z listem płk. dypl. K. Florek, umieszczonym w numerze 6/164 *Kultury* uważam za mój obowiązek sprostować pewne rażące nieścisłości w liście tym podane.

Na str. 148 autor tego listu pisze: „Milicja Ludowa była wrogo ustosunkowana do wojska — głosiła to ówczesna propaganda opozycji. Oto przykład: Na wiosnę 1919 r. całe bataliony Milicji Ludowej odchodziły do oddziałów wojska na froncie (każdy oficer i szeregowy Milicji Ludowej zgłaszał się indywidualnie na ochotnika). Jeden z tych batalionów przejeżdżał przez Siedlce do grupy operacyjnej gen. Listowskiego (Terespol). Byłem wtedy p.o. komendanta okręgu wojskowego Siedlce. Mogłem obserwować zorganizowaną akcję: przez szereg godzin alarmowano wszystkie władze na trasie tego transportu, ostrzegając przed wszelkiego rodzaju przestępstwami, jakie żołnierze tego transportu mogą rzekomo popełnić i żądając silnego woj-skowego kordonu dla obstawiania stacji. Tego samego zażądał ode mnie miejscowy starosta powiatowy. Posłałem na stację — siebie i nikogo więcej. Mogłem się przekonać o wzorowej dyscyplinie tego batalionu. Później od gen. Listowskiego (oficer pochodzący z jednego z korpusów wschodnich) usłyszałem jak NAJLEPSZĄ opinię o tym oddziale”.

W związku z tym oświadczeniem stwierdzam:

1) Na wiosnę 1919 roku byłem szefem sztabu 9 D.P. (Poleskiej), którą dowodził gen. A. Listowski, a więc jako taki miałem ze sprawą owego batalionu Milicji Ludowej bezpośrednią styczność i wobec tego jestem najbardziej uprawniony do sprostowania rażących i tendencyjnych nieścisłości umieszczonych w liście płk. K. Florek.

2) W chwili przybycia do Dywizji owego baonu M.L. wojska nasze znajdowały się w walce z bolszewikami na ogólnej linii rzeki Jasioldy, zaś sztab dywizji był w Pińsku, a nie jak autor listu twierdzi w Terespolu.

3) Ogółem na front wschodni wysłane zostały, jako wzmocnienie dla wojsk walczących trzy bataliony M.L. Jeden do 9 D.P. a dwa na front litewsko-białoruski. Wszystkie trzy zostały bezpośrednio po przybyciu na front rozbrojone, za odmowę wzięcia udziału w walce z bolszewikami.

4) Nie wiem jak zachowywali się milicjanci przed osiągnięciem Brześcia n. B., ale z chwilą wejścia w rejon etapowy 9. D.P., a jechali z Brześcia do Pińska dwa dni, szły za nimi od komendantów stacji kolejowych skargi o awantury wywołane w stanie pijanym, prowokacyjne zachowanie wobec osób wojskowych będących na stacjach i w ogóle niezdiscyplinowane zachowanie, na które zupełnie nie reagowali ich milicyjni oficerowie. Obecny z racji swojego stanowiska na stacji w Pińsku por. T. Wehr, komendant żandarmerii dywizyjnej, meldował do sztabu dywizji zaraz po wyładowaniu batalionu, że znaczna ilość szeregowych jest w nietrzeźwym stanie i dyscyplina baonu jest ogólnie niezadawalająca. Skarżył się na prowokacyjne zachowanie się wobec niego i żandarmów nie tylko szeregowych milicjantów, ale również ich oficerów.

5) Zaraz po przybyciu do Pińska, dowódca batalionu kpt. Sowa (nie wiem czy to było prawdziwe nazwisko czy też pseudonim legionowy, gdyż pochodził z I. Brygady Legionowej) zameldował się w mojej obecności u gen. Listowskiego i gdy generał oświadczył mu że batalion po jednodniowym odpoczynku skierowany zostanie na front, zameldował kategorycznie, że żołnierze jego i on sam w żadnym razie nie będą się bili przeciwko „czerwonym towarzyszom”.

6) Dnia następnego gen. Listowski w otoczeniu ścisłego sztabu przemawiał w sposób przekonujący do całego baonu na stacji kolejowej w Pińsku, przedstawiając im ogólną sytuację na froncie (która w owej chwili była dla nas dosyć niekorzystna) i przemawiając do ich serca i sumienia jako obywateli polskich, obowiązanych do obrony ojczyzny. Przemówienie jego nie odniosło jednak w batalionie żadnego skutku i na zapytanie generała czy obecnie wyrusza na front do walki z wrogiem, padła zgodna odpowiedź — NIE. Rozgoryczony tym generał rzucił czapkę o ziemię i splunąłszy przed frontem baonu wyraził się o jego postępowaniu w słowach bardzo ostrych i ujemnych, po czym opuścił stację, pozostawiając baon tak, jak stał na miejscu.

7) Wobec takiego stanowiska baonu M.L., zmuszony do uważania go za zakapturzonych wrogów na tyłach swoich oddziałów będących w akcji na froncie, a odmowy Warszawy co do odesłania go z powrotem do stolicy, gen. Listowski zdecydował się na jego rozbrojenie, które dokonane zostało dnia następnego przy pomocy pociągu pancernego, kompanii 22 p.p., wypadkowo znajdującej się na odpoczynku w Pińsku, oraz oddziału żandarmerii dywizyjnej. W czasie rozbrajania zabity został jeden żandarm. Milicjanci nie ponieśli żadnych strat, natomiast zostali mocno pobici (szczególnie oficerowie) przez konwojującą ich do więzienia pińskiego kompanię 22 p.p., która mimo protestu i interwencji swoich oficerów „odkuwała się na zdrajcach”.

8) Następnego dnia do przebywających w więzieniu pińskim milicjantów przemówił w przekonujący sposób major Narbut-Łuczyński, dca 34 p.p. proponując im wstąpienie do wojska w charakterze zwykłych żołnierzy W.P. Propozycja ta została przyjęta z entuzjazmem. Odmówiło się tylko od jej przyjęcia dziesięciu milicjantów, oraz wszyscy oficerowie baonu i ci wszyscy zostali odesłani do Warszawy pod konwojem, całość zaś baonu rozdzielona została pomiędzy kompanie liniowe 34 p.p. gdzie pełnili służbę ku zadowoleniu dowódców, choć długo jeszcze razili wśród ogólnej szarzyzny swoimi czarnymi mundurami.

9) Sprawa ta narobiła w sferach lewicowych dużego hałasu i celem jej zbadania przybyła z ramienia Belwederu komisja śledcza, która jednak po stwierdzeniu faktów na miejscu odjechała nie wydawszy żadnego orzeczenia i wobec rozbrojenia na froncie litewsko-białoruskim pozostałych dwóch baonów M.L. za takie same przewinienia, cała sprawa została zatu-

szowana, choć pozostawiła po sobie opinię że 9 D.P. jest „białogwardyjska”.

10) Wobec powyższych faktów uważam twierdzenie ppłk. K. Florek iż gen. Listowski wyrażał się do niego osobiście „z jak najlepszą opinią o tym oddziale”, za bardzo nieprawdopodobne i nie mogące odpowiadać rzeczywistości.

11) Odniesienie się Milicji Ludowej do wojska R.P. było rzeczywiście „wrogie”, jak to mógł doświadczyć na sobie każdy wojskowy, przebywający w owych czasach w Warszawie. Milicjanci ludowi odznaczali się wobec wojskowych na każdym kroku lepszym od nich umundurowaniem (nie wiem kto go im dostarczał?) i równoczesnym prowokacyjnym zachowaniem, szczególnie wobec oficerów, arogancją i gburowatością. Nieporozumienia i awantury w tym względzie były na porządku dziennym.

Łączę wyrazy poważania.

J. GROBICKI

Buenos Aires

Do Redaktora „Kultury”

Dawno już zwróciłem uwagę na poniżej wyrażone — powiedzmy — niedomaganie, ale czekałem, że może ktoś bardziej kompetentny zabierze głos. Ponieważ tak się nie stało, pozwoli Pan, że zabiorę głos ja.

Chodzi mi o naciąganie treści pewnych słów do celów, potrzebnych autorowi artykułu. Przyzwyczailiśmy się już, że wyznawcy tak zwanego marksizmu-leninizmu z wszystkimi swymi herezjami włącznie, wywrócili i wciąż wywracają do góry nogami wartość całego szeregu pojęć, aby bijać naiwnych, którzy może w to wierzą. Mam wrażenie jednak, że tutaj — w wolnym świecie — a szczególnie w piśmie takim jak „Kultura”, czynić tego się nie powinno. A jednak czyni to stale i systematycznie w swych artykułach pan Mieroszewski.

A więc w pierwszym rzędzie pojęcie komunizmu i socjalizmu stawia obok siebie jako pojęcie jedno, względnie bliskoznaczne. Nie będę tutaj rozwijał znaczenia tych pojęć, niemniej jednak warto wskazać fakt, że komuniści uważając socjalistów za swych największych wrogów — większych od wszelkiego rodzaju faszystów, kapitalistów, imperialistów, konserwatystów itp. — i słusznie. Niestety nie chcą zrozumieć tego niektórzy lewicowcy, a pan Mieroszewski między innymi.

Drugim konfundowaniem pojęć u niego to mieszanie upaństwowienia z uspołecznieniem. Są to znowu pojęcia przeciwstawne sobie a nie jednoznaczne. Naturalnie więc, że komunizm, który wszystko centralizuje przez upaństwowienie, będzie nieprzyjacielem uspołeczniającego socjalizmu.

W końcu w artykule „Rosyjski Commonwealth” w numerze 6/164 „Kultury” znowu stawia znak równości między nacjonalizmem i patriotyzmem. I znowu nie potrzeba się chyba rozwodzić, że są to rzeczy zupełnie odmienne.

Mam wrażenie, że jeśli te skądinąd inteligentne i mądre, a bardzo często i słuszne artykuły zostaną zrewidowane pod kątem widzenia moich skromnych uwag, to wtedy niektóre tezy będą wymagały znacznie solidniejszego podmurowania. Ale na ten temat nie zabieram głosu, bo nie jest moim celem dyskusowanie z tezami pana Mieroszewskiego.

Witold KUSS sr.

Los Angeles 4, C., dn. 12 lipca 1961

Szanowny Panie Redaktorze!

Przeczytałem w „Kulturze” artykuły gen. J. Zająca i p. F. Kalinowskiego, oraz związane z nimi listy pp. B. Kwiecińskiego, B. Pomian-Piatkowskiego i F. Kalinowskiego, jak również wymieniane w nich — broszurę gen. L. Rayskiego i artykuł p. S. Sep-Szarzyńskiego.

Gdy rozważałem potem ich treść, wypełnioną głównie wspominkami o intrygach i panującym źle w polskim lotnictwie przed drugą wojną światową oraz w czasie jej trwania, zobaczyłem w mych myślach przykry obraz ludzi, którzy stracili bezpowrotnie swą polską ojczyznę i porają się teraz ze swym własnym sumieniem, szukając równocześnie winnych tej narodowej tragedii. Ponieważ są z urodzenia Polakami, których nagminną chorobą jest wybujały indywidualizm i przerost osobistej ambicji, więc nie szukają winy w sobie samych, lecz wyłącznie w innych. Oni to zawsze widzieli zło i intrygi, szerzone w polskim lotnictwie przez innych, ale sami nie byli w stanie, ich zdaniem, skutecznie przeciwstawić się im, gdyż takie to były niefortunne dla nich okoliczności. Żadnemu z nich nawet nie przyjdzie na myśl, by uderzyć się we własną pierś i powiedzieć sobie i innym — „była w tym wszystkim również i moja własna wina choćby z tego tylko tytułu, że urodziłem się Polakiem”. Droga przez pisma publiczne wyciągają oni na światło dzienne przeróżne podwórkowe dziwactwa, intrygi i brudki różnych niedowarzonych lotniczych „geniuszów”, którzy zawsze znajdowali niezawodne recepty na zwalczanie zła w polskim lotnictwie i zastąpienie go przez rzekome dobro. Uważając siebie za autorytety w sprawach lotniczych, nazywając tego rodzaju własne wspominki nowoczesną historią Polski.

Po przeczytaniu ich długich i szczegółowych „historycznych” wywodów na temat intryg i brudków w polskim lotnictwie, od których skrzętnie odzegnywują samych siebie, czytelnik wzrusza z politowaniem ramionami, a potem mówi do siebie z ulgą — „jak to dobrze, że już nigdy tym ludziom nie będzie dane brać czynny udział w istnieniu polskiego lotnictwa i że pozostają im jedynie wspominki, które wcale ich nie wybielają”.

Z poważaniem

Piotr PODGÓRSKI

Sydney, 7 sierpnia 1961

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Będę bardzo Mu wdzięczny za umieszczenie (mimo przedawnienia) niniejszego listu do Redakcji w sprawie wspomnień gen. Zająca „Nasze przygotowania do wojny” (Nr 1/2 „Kultury”, 1961), skreślonego na skutek nalegań przyjaciół.

Stanowisko Inspektora Obrony Powietrznej Państwa, które — niestety — tak krótko zajmował śp. gen. Dreszer, a następnie (1936-1939) gen. Zając — należało do stanowisk wyjątkowych zarówno w wyższej hierarchii wojskowej jak i państwowej. Wydaje mi się wskazane przypomnieć — w bardzo ogólnym zarysie — historię, raczej podłoże powstania tego urzędu, co niewątpliwie przysłuży się do zrozumienia jednego z najważniejszych zagadnień z działy przygotowań obronnych Polski.

Gdy po śmierci marszałka Piłsudskiego — gen. Śmigły i Stachewicz objęli naczelne kierownictwo nad przygotowaniem naszych sił zbrojnych zastali oni — wśród wielu nieuregulowanych spraw — jak najbardziej zlekceważone i niewyjaśnione zagadnienie „Obrony Powietrznej Polski”, a więc lotnictwa i obrony przeciwlotniczej. Co więcej: zetknęli się oni na początku swych prac z szeregiem prądów i to kontrowersyjnych jak (z grubsza): 1) niewątpliwy postęp techniczny lotnictwa w państwach sąsiednich, a więc wyraźny wzrost zagrożenia powietrznego Polski, 2) lekceważenie zagrożenia powietrznego Polski zarówno ze wschodu jak i z zachodu ze strony dowódcy lotnictwa gen. Rayskiego, który opierał się na przeświadczeniu, iż będzie w stanie przeciwstawić się napastnikowi, i to skutecznie, własnym potężnym lotnictwem, na które, w jego przekonaniu, stać było Polskę, 3) ruch wszczęty przez „Młodoturków” (co prawda nielicznych), idących za postęпами i techniki i nowych idei i wskazujących na groźne następstwa dla kraju z racji zagrożenia powietrznego, i wreszcie 4) wyraźne domaganie się „aktywizacji” spraw obrony powietrznej państwa przez szerokie masy społeczeństwa, zespolone w potężną organizację LOPP (szczęśliwie pod dynamiczną prezesurą gen. Berbeckiego), która to organizacja stawała się siłą faktów namiastką najwyższych władz obrony powietrznej Państwa, nie mając — poza najlepszymi chęciami — ani uprawnień ani możliwości.

W tej „atmosfera” general (podówczas) Rydz, jak i szef Sztabu Głównego gen. Stachewicz, nie będąc sami fachowcami w tej nowej dziedzinie, lecz oceniając jej ważność i szukając właściwego oświecenia zwalczających się poglądów — uznali za wskazane powołać do życia wysokiego „arbitra” (niejako dla nich samych), który byłby w stanie zapłodnić najwyższe wojskowe kierownictwo — nie szczegółami lub rozważaniami, lecz konkretną syntezą i wnioskami.

Oto geneza powstania urzędu „Inspektora Obrony Powietrznej Państwa”, bezpośrednio przy osobie przyszłego Naczelnego Wodza. Rzecz zrozumiała, że nowokreowany Inspektor nie miał — i nie mógł mieć — na tym szczeblu określonego z góry „zakresu działania”, nie miał on jednak „znizać” się do stanowiska „dowódcy” lotnictwa i OPL, tym bardziej, że obok od dawna już istniejącego dowódcy lotnictwa jednocześnie stworzono nowy urząd przy MSWojsk „Dowódcy obrony przeciwlotniczej”, z płk. Ludwigiem na czele.

Podówczas stałem bardzo blisko (jeśli nie „wewnątrz”) tych spraw, skłonny jestem twierdzić, iż wiele (jeśli nie „wszystko”) zależało od osoby przyszłego Inspektora. General — o podejściu męża stanu, o horyzontach obejmujących wszystkie dziedziny życia państwowego, o umyśle twórczym i przewidującym — a cieszący się przy tym zaufaniem marszałka Śmigłego — mógł stać się nie tylko najbliższym doradcą Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych i Szefa Sztabu Głównego, lecz i doradcą rządu w sprawach rozbudowy kraju i przygotowania go do wojny oraz poważnym opiniodawcą w sprawach polityki zagranicznej. Toteż stanowisko Inspektora Obrony Powietrznej Państwa, śmiem twierdzić, znacznie przewyższało, w najwyższej hierarchii wojskowej, stanowisko inspektora armii, obarczonego podczas pokoju przeważnie zadaniem kontroli stanu wyszkolenia podległych mu oddziałów. Niewątpliwie taka była intencja najwyższych władz, nakazujących utworzenie stanowiska Inspektora Obrony Powietrznej Państwa.

Pierwszym Inspektorem został gen. Gustaw Dreszer. Wybór był wyjątkowo trafny, bowiem Dreszer, człowiek światły i rzutki, blisko stojący gen. Śmigłego i — śmiem przypuszczać — posiadający pełnię jego zaufania, od dawna był wciągnięty w arkana zagadnień państwowych i w politykę zagraniczną, a to chociażby z tytułu zajmowanego podówczas stanowiska Prezesa Ligi Morskiej i Kolonialnej. Ponadto, co było niezwykle ważne, gen. Dreszer był od dawna żyły z lotnictwem, jako inspekcjonujący prawie po-

lowę lotnictwa, co pozwalało mu zrozumieć „generalność” zagadnień lotniczych, nie dając się wciągać w szczegóły, przesłaniające dalekie horyzonty.

Gen. Dreszer już od początku objęcia stanowiska wypowiedział się wyraźnie, że nie leży w jego intencji zejście na szczebel „dowodzenia”; mając zaszczyt pracowania pod rozkazami Generała w ciągu kilku miesięcy (jeszcze przed ukazaniem się dekretu Prezydenta R.P. o jego nominacji) niejednokrotnie słyszałem od niego, że zamierza pracować na „bardzo wysokich diapozonach”.

Po jego tragicznej śmierci w wypadku lotniczym, stanowisko Inspektora Obrony Powietrznej Państwa domagało się szybkiego obsadzenia; nieoczekiwanie objął je gen. Józef Zając, który po 11 czy 12 latach dowodzenia dywizją piechoty w prowincjonalnym garnizonie, nie wciągnięty w arkana zagadnień państwowych, od dawna bez kontaktów z najwyższym kierownictwem wojskowym i — co gorsza, osobiście mało znany marszałkowi Śmigłemu — usiadł przy biurku ustawionym na miarę kogo innego i... począł „sprawować” urządowanie aż do września 1939 roku.

Z poważnym i pozytywnym nastawieniem począłem studiować wspomnienia byłego Inspektora Obrony Powietrznej Państwa, powtarzam Państwa, — generała, który winien być jednym z najbliższych doradców nie tylko przyszłego Naczelnego Wodza, lecz i rządu, generała — którego rola podówczas sprowadzała się do wypośrodkowania syntezy najważniejszej, wniosków najbardziej przemyślanych w sprawie:

„Jak przedstawia się zagrożenie powietrzne Polski, zarówno ze strony Niemiec jak i Rosji, jakie mogą być tego następstwa dla kraju i wobec tego — jakie środki natury państwowej — i to w każdej dziedzinie — należy na czas przedsięwziąć”. Oto „wszystko”.

Generała Zająca wprowadzałem (w lipcu czy sierpniu 1936 r.) po schodach Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych, do gabinetu śp. gen. Dreszera, jako ta „wdowa”, były szef sztabu tragicznie zmarłego gen. Dreszera. Wręczając wówczas gen. Zającowi „abecadła” lotnicze i przeciwlotnicze, uczucia moje — wyznam — nie były zbyt skryształizowane; współpracując z gen. Zającem przez następne prawie 1 1/2 roku nie nabrałem przekonania, by mógł on stać się Inspektorem Obrony Powietrznej Państwa, powtarzam, Państwa, na miarę Dreszera, by mógł zrozumieć ogrom zagadnień natury państwowej. Co prawda rzetelnie chciał się tego nauczyć.

Toteż „nasze przygotowania do wojny” jeśli chodzi o dziedzinę zagrożenia powietrznego winny być uznane przez historyków jako *pitiful* and *childish* — po prostu: żalosne i dziecinne. Spotkałem się ponadto co najmniej z „nieścisłym” oświeceniem wydarzeń, opisów, dat, wypadków, poczynając od słynnego planu mob. „S”, który był zatwierdzony w styczniu 1924 roku przez ówczesnego Szefa Generalnego — generała Stanisława Hallera (a nie przez marszałka Piłsudskiego, który odszedł ze stanowiska Szefa Sztabu Generalnego w maju 1923 r.), jak przesunięcie daty „ultimatum do Litwy” pod koniec 1937 r., jak opisywanie „przez gen. Zająca prowadzonej wielkiej gry wojennej opl., w której... „Strona atakująca miała duże obsady”... (!) i szeregiem innych. Na tego rodzaju — i tę ilość — sprostowań nie stać mnie w liście do Redakcji; ujawnię je w swoich pamiętnikach. Stać mnie obecnie jedynie na wyrażenie współczucia *a posteriori* śp. marszałkowi Śmigłemu i gen. Stachiewiczowi i tym wszystkim „excelencjom”, którzy 25 lutego 1939 roku, *gdy ziemia się paliła pod nogami*, zostali oderwani od swych prac, by wysłuchać, na zwolanej konferencji, wniosków Inspektora Obrony Powietrznej Państwa, co do „rachunku różniczkowego” w podchorążówce! Lecz *vous l'aviez bien voulu* — *Messieurs les Dandins...*

W mych szpargałach, które wędrują ze mną poprzez morza i oceany, znalazłem dziwny świstek papieru, zachowany co najmniej przez 30 lat. Jest to sentencja byłego szefa Sztabu Generalnego Niemiec (czy ministra wojny) generała von Hammersteina, wyrażona — nie wiem dlaczego w języku angielskim. Dotyczy ona oceny podwładnych, przytaczam ją w formie i brzmieniu oryginalnym:

I divide my officers into four classes: the clever, the stupid, the industrious, the lazy. Each officer possess at least two of those qualities. Those who are clever and industrious — are fitted for high staff appointments. Use can be made of those who are stupid and lazy. The man who is clever and lazy, however is fitted for the highest command. He has the temperament and requisite nerve to deal with all situation. But whoever is stupid and industrious — is a danger and must be removed immediately.

Wyrazy głębokiego szacunku.

Marian ROMEYKO

Londyn, 7 lipca 1961 r.

Redaktor „Kultury”

W związku z listem p. Hoffmana do Redakcji „Kultury” (numer lipcowy), może zainteresują Pana Redaktora następujące dane:

W r. 1937 powstał na terenie DOK. II, Lublin, tzw. Komitet Koordynacyjny. Zadaniem jego było (przede wszystkim):

a) w odniesieniu do tzw. Pasa Nadbużańskiego (woj. lubelskie) stopniowa likwidacja sieci placówek prawosławnych, zamkniętych i opieczętowanych przez władze administracyjne, niejednokrotnie 10 i więcej lat temu, a obecnie przez popów-nacjonalistów pochodzących spoza terenu woj. lubelskiego, przy pomocy ukraińskiego elementu miejscowego — przemocą otwierane, jako rzekomo potrzebne dla kultu religijnego, w rzeczywistości mające służyć propagandzie ukraińskiej. Ośrodki dyspozycyjne tej akcji znajdowały się w Pradze i Gdańsku. Akcja ta zgrana była również z aktem państwowym o Autokefalicznym Kościele Prawosławnym w Polsce.

b) w odniesieniu do woj. wołyńskiego plus pow. Kamień Koszyrski, woj. poleskiego, należącego do DOK II Lublin — tzw. akcja rewindykacyjna, religijno-narodowościowa elementu zruszczonego w czasie niewoli. Inicjatorzy tej akcji, wychodząc z założenia że synonimem polskości na Kresach Wschodnich jest kościół rzym.-katolicki — w planowanej, długo falowej akcji zamierzali wyłuskiwać poszczególne jednostki, wciągać je do organizacji i wpływów ośrodków polskich, drogą ostrożnej ewolucji wprowadzać w zasięg kultury polskiej. Jakikolwiek stosowanie nacisku, przymusu czy gwałtu — włączali inicjatorzy tej akcji (Pplk. Krogulski i mgr. Broszkiewicz, o których mowa poniżej).

W skład Komitetu wchodziły takie organizacje jak: kol. Towarzystwo Rozwoju Ziemi Wschodnich, Związek Osadników, Macierz Szkolna, Związek Nauczycielstwa, Przysposobienie Wojskowe, Harcerstwo, a poza tym oficerowie oświatowi poszczególnych jednostek wojskowych, kapelani wojskowi, sieć placówek kościoła rzym.-kat. itp.

Akcja społeczna, w założeniu pojęta idealistycznie miała być pod opieką wojska ze względów na to, że prowadząc tę akcję działała na korzyść bezpieczeństwa wojennego tego terenu.

To co się później w praktyce działo zaczęło, na skutek super-gorliwości wykonawców terenowych, prześcigających się w tej gorliwości i wyżywa-

jących się „po wojskowemu”, licząc na bezkarność a wprost przeciwnie na odznaczenia i awanse z tytułu „osiągniętych” rezultatów, przekreśliło znaczenie i wartość zamierzonych akcji, doprowadzając do nieokiełznanych wybryków nieprzygotowanych do takiej pracy jednostek (np. płk. Płachta-Płatowicz).

Pierwszym przewodniczącym Komitetu Koordynacyjnego był d-ca dywizji w Zamościu, gen. Olbrycht. Z jego ramienia na terenie woj. lubelskiego działał płk. dypl. S. Sosabowski (późniejszy dca bryg. spad. w W. Bryt.). Później kierownictwo Komitetu objął dowódca DOK II Lublin, gen. bryg. Smorawiński, a organami jego pracy był sztab, zgrupowany w Sam. Ref. Bezpieczeństwa Wojennego DOK II, którego Szefem był ppłk. dypl. kaw. Stan. Krogulski. (Tak jak gen. Smorawiński — zginął w Katyniu). Poza tym zcą ppłk. Krogulskiego był mgr. Tadeusz Broszkiewicz (sprawy wyzn. nar.) inż. J. Stroynowski (ref. terenowy, mgr. T. Drelich (działacz Str. Narodowego) łączność z organizacjami społecznymi).

(O ile mi wiadomo mgr. Broszkiewicz i inż. Stroynowski przebywają w W. Brytanii i zdaje się w Londynie).

Wielką rolę odgrywał w Komitecie ks. dr. Nowak, dziekan duszpasterstwa DOK II (a więc podległy służbowo ks. arcybp. Gawlinie). Ks. Nowak również zginął w Katyniu.

Z działaczy terenowych wymienić należy ppor. rez. osadnika Podhorskiego, (na terenie Londynu był działaczem Akcji Katolickiej, prezesem Veritatu itp.). Wrócił 3 lata temu do Polski.

Komitet Koordynacyjny podlegał służbowo w następnej już fazie Szefowi Dep. Og. Min. Spraw Wojsk. płk. Sadowskiemu, a ten z kolei również w tym charakterze i wicemin. gen. dyw. Głuchowskiemu. Z Komitetem współpracowali nacz. wydzw. społ. polit. urzędów woj. w Lublinie i Lucku.

Jak wyżej wspomniano, brak odpowiednich ludzi i stosowane przez nieodpowiedzialne jednostki metody, spłodziły Hryny i wiele innych karygodnych epizodów tej akcji.

Nie pomógł nawet „liczny” Zjazd Szlachty Zagrodowej w Horochowie 1939 r. obeszany przez nowokreowanych i nawróconych na wiarę „polską” notablów.

Nic nie wyszło również z inicjatywy mgr. T. Broszkiewicza — polonizacji polskiego prawosławia, jako reakcji przeciw dzielnemu nawracaniu na cbrz. rzym.-kat. Sprzeciw wyszedł przede wszystkim od czującego się w stanie zagrożenia duchowieństwa rzym.-kat. oraz elementów narodowej demokracji, wchodzącej w skład poszczególnych organizacji Komitetu.

W samym Komitecie, tuż przed wojną, poczęła się zarysowywać silna opozycja przeciwko metodom Komitetu, a raczej jego terenowych działaczy. Szef Sztabu, płk. dypl. Michalski (o ile pamiętam sam wyznania prawosł.) i mgr. Broszkiewicz wnieśli prośby o przeniesienie z DOK II. Wojna przeszkodziła w ich przeniesieniu (jak mi wiadomo) karnym.

Trzeba wreszcie powiedzieć, że właśnie ci nowo-nawróceni i odszukani dla polskości szlachcice zagrodowi, w pierwszym ogniu padli ofiarą mordów na Wołyniu w 1939 r., dokonywanych zarówno przez elementy nacj. ukraińskie i później przez NKWD.

Na zakończenie: zcą dcy Korpusu (DOK II Lublin) był wówczas gen. Kleeberg (Australia) a Pomocnikiem Dcy OK II — płk. Alf. Tarczyński (Londyn).

Poruszam to zagadnienie ponieważ nie było ono jeszcze nigdzie omawiane. Podalem tylko w skrócie to co zanotowałem i przechowałem w swoich notatkach, jako urzędnik jednego z Urzędów Wojewódzkich.

Wyrazy prawdziwego poważania.

S.K.

SPROSTOWANIE

W moim liście do Redaktora „Kultury”, (lipiec-sierpień rb.) pomijając nieważne opuszczenie części jednego ze zdań, zakradła się omyłka wymagająca sprostowania. Mianowicie jest: „Autor pisze jakoby R. Czerniawski wróciwszy do służby w lotnictwie polskim (tzn. od końca r. 42 moje objaśnienie) miał być cały czas w służbie wywiadu brytyjskiego. Takie twierdzenie bez wyjaśnień, jest równoznaczne z zarzutem zdrady. Moim zdaniem takich zarzutów nie wolno wysuwać bez ich uwiarogodnienia i w formie jednoznacznej, jak to uczynił p. Kalinowski”. Winno być „w formie niejednoznacznej”.

Stanisław SEP-SZARZYŃSKI

W związku z listem S.K.J., zamieszczonym w nrz 165/166 „Kultury” prof. dr B. Bornstein z Tel-Awivu prosi nas o zamieszczenie poniższych wyjaśnień:

1) W obozie Mauthausen przebywałem od 9.8.1944 do 12.5.1945 roku. tzn. tydzień po wyzwoleniu. W tym czasie wielokrotnie stykałem się z Kazimierzem Rusinkiem, którego poprzednio osobiście nie znałem.

2) Uwagi p. Wiesenthala na temat Kazimierza Rusinka, jakoby był on „dobrze widziany przez Niemców”, nie są oparte na żadnych faktach i rzeczywistości nie odpowiadają. Żaden z więźniów obozowych nie odnosił nigdy wrażeń, jakoby istniały jakiekolwiek związki osobiste między Rusinkiem, a niemieckimi władzami obozowymi. A jeżeli takowe kiedykolwiek istniały, to były one przez Rusinka przemysłane — jedynie tylko dla dobra współwięźniów a nie dla korzyści osobistych. Rusinek był jednym z przywódców podziemnego ruchu oporu w obozie o czym p. Wiesenthal wiedzieć nie mógł, jako że przybył do obozu na krótko przed wyzwoleniem.

3) Blok VI, tzw. żydowski blok śmierci, był z góry skazany na zagładę (w bloku tym śmiertelność była najwyższa na skutek głodu). Rusinkowi udało się w pewnym okresie czasu dostarczyć młodym więźniom żydowskim na tym bloku proszku mlecznego (z pewnością nie za zgodą Niemców). Tylko byli więźniowie obozów koncentracyjnych potrafili należycie ocenić wartość tej pomocy.

4) Na skutek rozkazów Niemców blok żydowski był pozbawiony lekarstw. Wiadomo mi, że lekarstwa, które mimo to okresowo dochodziły docierały dzięki pomocy podziemnej Kazimierza Rusinka.

5) Szereg osób wśród nich większość Żydów zostało uratowanych przed zagładą dzięki bezpośredniej pomocy Rusinka.

6) Każdy kontakt Rusinka z więźniami podnosił skazanych na duchu. Tego rodzaju moralna pomoc była nieraz kotwicą nadziei w obozie śmierci.

7) Działalność Rusinka, w szczególności w stosunku do Żydów, narażała jego życie na bezustanne niebezpieczeństwo.

Jako były więzień obozu Mauthausen uważam za swój moralny obowiązek, zając stanowisko wobec krzywdzących wypowiedzi p. inż. Wiesenthala.

Prof. dr B. BORNSTEIN
Tel Aviv, Sokółow 25.

Ramat Gan, dnia 30 lipca 1961

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Na marginesie wspomnień inż. Szymona Wiesenthala, odnoszących się do osoby Kazimierza Rusinka, jako byłego KZ-tnika i jeden z pozostałych przy życiu a przez niego uratowanych, obozowiczów — spełniam potrzebę mego serca i protestuję w najbardziej ostry sposób przeciwko wszelkim zarzutom, skierowanym przeciwko temuż Kazimierzowi Rusinkowi i pragnę oświadczyć co następuje:

Jako były więzień obozu koncentracyjnego w Mauthausen znałem i znam w szczególności działalność Kazimierza Rusinka jako jednego z przywódców podziemnego ruchu oporu w obozie. Stwierdzam z całą stanowczością, że Rusinek należał do tego rodzaju ludzi, którzy czuli kiedy działa się komuś krzywda; narażając życie swoje i członków kierownictwa organizacji ruchu podziemnego, pomagał na każdym kroku swym współwięźniom Żydom, wyciągając ku nim ręce we wszystkich momentach, kiedy najbliżsi nawet tego nie czynili. Rusinek pomagał radą i czynem.

Należę do małej grupy z tych pozostałych przy życiu, których Rusinek wyciągnął z krematorium, a byłem już przeznaczony na śmierć. Ja Rusinkowi zawdzięczam swoje życie.

Adolf NICHTBERBER
malarz pokojowy

Nazaret, sierpień 1961

Redaktor Jerzy Giedroyc — Paryż

Ja też przeżyłem Mauthausen Nr 85058

Powołując się na artykuł Sz. Wiesenthala przeciwko Kazimierzowi Rusinkowi, proszę o łaskawe umieszczenie w „Kulturze” następujących wyjaśnień: Rusinek współpracował w konspiracji pod pseudonimem „Kazik” w obozie w Mauthausen z towarzyszami ruchu oporu z Francji, którzy byli znani na terenie Paryża jako działacze polityczni.

1) Przypominam sobie przyjazd transportu z Powstania Warszawskiego do Mauthausen w 1944 — „Kazik” organizuje doraźną pomoc.

2) w końcu stycznia 1945 przybył transport z Oświęcimia — ratuje towarzyszy z ruchu oporu „Oświęcim”.

3) w kwietniu 1945 przybył duży transport kobiet, przebywając tzw. „Marsz Śmierci” — okazuje im pomoc żywnościową oraz lekarską z dr. Czaplińskim i personelem szpitalnym.

Jak jest mi wiadomo „Kazik” mógł sobie pozwolić na okazywanie pomocy będąc w czołówce podziemnego ruchu oporu dla Polaków w Mauthausen. Wraz z tow. prof. Busek z Pragi, fałszowali obozowe raporty zgonu i w ten sposób „organizowali” (kradli) żywność.

Przy likwidacji (Sonder Kommando — 1-2.V.1945) obsługi krematorium przy pomocy prof. dr. Podlahy z Pragi i dr. Czaplińskiego z Gdyni ratuje tow. A. Nichtbergera rodem z Krakowa; resztę załogi krematorium Niemcy spalili.

Ja oraz mój brat Adolf, którzy pracowaliśmy na VI bloku tzw. żydowskim zawdzięczamy życie Rusinkowi.

Stała się wielka niesprawiedliwość w stosunku do „Kazika”, wyrządził ją p. Wiesenthal z *premedytacją*, po 16 latach „wolności”, gdyż Kazimierz Rusinek z narażeniem życia służył drugiem, niósł pomoc drugiem bez względu na narodowość.

Zamieszczeniem obiektywnego głosu prawdy b. więźnia obozu w Mauthausen zamierzam wyrównać krzywdę wyrządzoną Rusinkowi przez Wiesenthala.

Panie Redaktorze z góry dziękuję i zasylam pozdrowienia z Izraela.

Marian SZCZĘSNY, Nazaret 92/4

ZWIĄZKOWIEC

Jedynе pismo polskie w Kanadzie ukazujące się dwa razy na tydzień Służę Polonii Kanadyjskiej od roku 1933 przynosząc regularne korespondencje i informacje ze wszystkich ośrodków polonijnych w Kanadzie i innych krajach świata.

Związkowiec

informuje obszernie o życiu w Polsce tak przez własnych wysłanników jak i poprzez korespondencje z kraju

Związkowiec

zamieszcza informacje i artykuły o sytuacji międzynarodowej

Związkowiec

drukuje w odcinkach dwie powieści współczesnych autorów polskich, oraz posiada działy: Kobiety i Dla Dzieci

Związkowiec

dociera do wszystkich ośrodków polonijnych jest więc doskonałym instrumentem reklamy handlowej.

Związkowiec

jest jedynym pismem polonijnym, które od roku 1957 do chwili obecnej miało w Polsce czterech specjalnych korespondentów.

Abonament roczny wynosi w Kanadzie — dol. 6,00, w Stanach Zjednoczonych i w innych krajach — dol. 7,00.

Wpłaty należy kierować do administracji ZWIĄZKOWCA:

1475 Queen Street West, TORONTO 3, Ont., Canada

Administracja wysyła na żądanie egzemplarze okazowe.

W najbliższym czasie ukaże się
nakładem Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu książka

ADAMA UZIEMBLY

pt.:

RYTM I MELODYKA BENIOWSKIEGO

Autor poddał analizie rytm tego poematu i wykazuje, że nie jest on jedynie formą, lecz zmieniając się nieustannie służy Poecie jako narzędzie wyrazu, jako środek ekspresji. W dalszym ciągu rozpatruje Autor czynniki melodyki używane przez Słowackiego w Beniowskim, ugrupowanie głosek wiodących, a następnie asonanse, antysony, rymy i ich wartość dźwiękową. I znów przeprowadza dowód, że to wszystko pozostaje na usługach plastyki utworu.

Książka obejmuje ponad 300 stron druku i stanowi pierwszą próbę tego rodzaju w naszej literaturze.

Cena książki 3 dolary

W przygotowaniu tegoż Autora „Rytm prozy polskiej”. Praca ta ukaże się w druku z końcem bieżącego roku.

Polsko-szkocki Hotel

"STRATHCONA COURT"

(Właśc. C.C. Slezakowie)



Pokoje z ciepłą wodą, śniadaniem, telefonem, radiem, telewizją i obsługą od 21 szylingów

Przyjęcia towarzyskie i weselne do 70 osób

198, Cromwell Road, London, S.W. 5. Tel. FRE 7878/9

Stacje kolejki Earls Ct i Gloucester Rd, autobusy 31 i 74

W bezpośrednim sąsiedztwie stacji autobusowej lotniska londyńskiego.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI.
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CH1swick 1860.

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA”,
12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris (4^e)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.
Dépôt légal 3^e trimestre 1961



KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, Av. de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Telefon: 962 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

AFRYKA POLUDNIOWA: Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg
ARGENTYNA: Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires
AUSTRALIA: « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney
BELGIA: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 116, rue Joseph-II, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315-20...
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: Julia Barcinska, r. Italpava 101 (J. Botânico), Rio de Janeiro; Franciszek Socha-Paprocki, rua Martins Fontes 197, apt. 74, Sao Paulo. Tel.: 34.18.59.
FRANCJA: « Libella », 12, r. St.-Louis-en-l'Île, Paris-4
HOLANDIA: T. Szpilezynski, Ruysdaelkade 5 Amsterdam-Z, Tel.: 716080. Nr Konta poczt. 13500 — t.b.v.S. 6538
IZRAEL: « Sifri-Holon », Stanislaw Wytrzyk, Holon, Sokolow Nr. 40
KANADA: M. Jaxa-Debicka, 221 Howard Park Av., Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. N.D. de G., Montreal/Queb., Tél.: HU 8-5224; H.R. Radomski, 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tél.: HU 9-0829; Andrzej Monteuffel, 797 Jessie Ave, Winnipeg, Man.; « Zwiazkowiec », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél.: LE 1-2491; Olgierd Kiersnowski, 36 Bermuda Ave., Toronto 18., Ont.
MEKSYK: Victor Stanislawski, Av. Libertad 1350, dep. 1, Guadalajara, Jal. Tél. 49855
NIEMCY: St. Mikicluik, (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/1
NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél.: 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431
SZWECJA: Red Norbert Zaba, Kallskärgsgatan 3/IV Stockholm
U.S.A.: W. Bienkowski, 738 Hampton Avenue, Schenectady, N.Y.; S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; L. Dudarew Ossetyński, 143, 16-th street, Brooklyn 15, N.Y.; S. Dziarczykowski, 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, Cal.; M.K. Dziewanowski, 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; T. Konopacki, 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 2109 Robinwood Av., Toledo 2, Ohio; V.B. Kwast, 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; A. Pleszczyński, 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; The Polish Book Importing Co, Inc., 38 Union Sq., New York 3, N.Y.; K. Trojanowski, 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich. Tél. T.W. 2.0890; R.J. Sas-Babczynski, 1819 B.W. Commonwealth Ave, Alhambra, Cal.

W. BRYTANIA: « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11
WLOCHY: Aleksander J. Mikucki, via Giulio Bechi, 2, int. 14, Roma. Tél.: 87-87-89.

Egz. poj.	Prenumerata	
	1/2-roczn	Roczna
55 cent. (5 sh. 6 d.)	3,10 rand (31 sh.)	6 rand (60 sh.)
5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
7 sh. (a)	£.A.2.0.0.	£.A.3.15.0
45 fr. b.	240 fr. b.	450 fr. b.
3,50 NF	5 dol. am. 19 NF	9 dol. am. 37 NF
3 fl. hol.	18 fl. hol.	34 fl. hol.
£. izr. 1,70	£. izr. 9,15	£ izr. 17,75
1 dol.	5 dol.	9 dol.
1 dol.	5 dol.	9 dol.
4.- DM	22 DM	40 DM
5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
3,50 fr. s.	22 fr. s.	40 fr. szw.
5 kor.	25 kor.	45 kor.
1 dol.	5 dol.	9 dol.
5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
500 lires	2.800 lires	5.000 lires

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta
2 NF półrocznie i 4 NF rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 NF.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
C.C.P. PARIS 7585-94

TOM LXV BIBLIOTEKI "KULTURY"

PAWEŁ HOSTOWIEC

ESEJE DLA KASSANDRY

Wybór przedwojennych i powojennych esejów autora „Notatnika niespiesznego przechodnia” — odznaczonego w bieżącym roku nagrodą „Kultury” za najlepszy esej.

Str. 300.

Cena egzemplarza 15 NF (22/-; \$ 3)

TOM LXVI BIBLIOTEKI "KULTURY"

ALEKSANDER HERTZ

ZYDZI

W KULTURZE POLSKIEJ

„Żydokomuna” i „żydorewizjonizm”! Na pozór rzeczy diametralne różne, w rzeczywistości identyczne. Albowiem w obu wypadkach chodzi o te same treści. Nie ulega wątpliwości, że wśród „rewizjonistów” w Polsce wybitną rolę odgrywają jednostki pochodzenia żydowskiego ...do rewizjonizmu prowadzi tych ludzi ta sama droga, która niegdyś zaprowadziła ich do komunizmu. Jest nią wstręt do konformizmu, jest nią krytycyzm jest nią zamiłowanie do myślenia... „Żydzi i tu okazują się owymi „drożdżami”, budzącymi ferment i niepokój...

...Rewizjonizm jest groźbą dla komunizmu, możliwe że największą ze wszystkich. Albowiem idzie od wewnątrz, jest buntem rozumu i uczucia przeciwko załganiu, obłudzie oficjalnej doktryny...

...W Polsce dzisiejszej antysemityzm jest zjawiskiem szczególnie groźnym Jednostki pochodzenia żydowskiego, zaliczane do „rewizjonistów”, są w pierwszym szeregu bojowników o przyszłość kultury polskiej. Antysemityzm, bijąc w nich, bije w tych, którzy szerzą twórczy ferment, rozsadzając skorupę zakłamanego komunistycznego konformizmu.

Str. 288

Cena egzemplarza 15 NF (22 sh.; \$ 3,00)